



UUK

JAMES WHITE

GWIEZDNY CHIRURG



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.	2
Rozdział pierwszy	3
Rozdział drugi	9
Rozdział trzeci	15
Rozdział czwarty	21
Rozdział piąty	27
Rozdział szósty	31
Rozdział siódmy.	36
Rozdział ósmy	42
Rozdział dziewiąty.	48
Rozdział dziesiąty	53
Rozdział jedenasty	59
Rozdział dwunasty	66
Rozdział trzynasty	71
Rozdział czternasty	77
Rozdział piętnasty	81
Rozdział szesnasty	86
Rozdział siedemnasty.	91
Rozdział osiemnasty	97
Rozdział dziewiętnasty	104
Rozdział dwudziesty	109
Rozdział dwudziesty pierwszy	115
Rozdział dwudziesty drugi.	121
Rozdział dwudziesty trzeci	126
Rozdział dwudziesty czwarty	130
Rozdział dwudziesty piąty	136

Rozdział pierwszy

Szpital Kosmiczny Sektora Dwunastego wisiał w próżni już poza dyskiem galaktyki, gdzie nie było prawie żadnych gwiazd, toteż panowały tu niemal absolutne ciemności. Na jego trzystu osiemdziesięciu czterech poziomach odtworzono środowiska odpowiadające warunkom życia wszystkich znanych w Federacji istot inteligentnych, począwszy od kruchych mieszkańców metanowych olbrzymów, przez tleno- i chlorodysznych, po stworzenia, które przetrwać mogły jedynie w strumieniach twardego promieniowania. Tysiące iluminatorów jarzyło się nieustannie różnorodnym blaskiem dostosowanym do potrzeb pacjentów oraz wielorasowego personelu. Załogom podchodzących do niego statków Szpital jawił się jako wyrosła do monstrualnych rozmiarów cylindryczna choinka.

Do jej powstania przyczynili się zarówno inżynierowie, jak i psychologowie. Ci ostatni rekrutowali się głównie z szeregów Korpusu Kontroli, ramienia sprawiedliwości Federacji. Oni też zajmowali się sprawami administracyjnymi, jednak do tradycyjnych w całej galaktyce tarć pomiędzy mundurowymi a cywilnymi pracownikami służby zdrowia tutaj jakoś nie dochodziło. Nie notowano także poważniejszych konfliktów wśród personelu medycznego, chociaż liczył on kilka tysięcy istot sześćdziesięciu gatunków różniących się nie tylko wyglądem, zachowaniem i wydzielanymi zapachami, ale i filozofią życiową. Praktycznie łączyło ich tylko przekonanie, że zadaniem lekarza jest leczyć chorych.

Cały personel traktował poważnie swoją pracę i chociaż nie zawsze zachowywał przy tym powagę, tolerancję wobec różnych, niekiedy bardzo znaczących odmienności uważał za sprawę absolutnie, bezwzględnie wręcz priorytetową. Brak skłonności do ksenofobii był zresztą podstawowym warunkiem stawianym kandydatom do pracy w Szpitalu, którzy potem z dumą deklarowali, że dla nich wszyscy pacjenci zawsze są i będą równi. Ich porady były niezmiennie cenione przez specjalistów z całej galaktyki. Chociaż wszyscy mienili się pacyfistami, toczyli nieustanną i bezkompromisową wojnę z cierpieniem i chorobami trawiącymi zarówno jednostki, jak i całe społeczeństwa.

Czasem jednak zdarzało się, że leczenie nie przebiegało bezkonfliktowo. Zwłaszcza wtedy, gdy diagnoza dotyczyła przyczyn zaburzeń funkcjonowania całych obcych kultur, a kuracja wymagała usunięcia z chirurgiczną precyzją głęboko

zakorzenionych przesądów albo chorych zespołów wartości. W takich razach nie było co liczyć na współpracę pacjenta, a działania lekarzy, mimo ich zdeklarowanego pacyfizmu, mogły doprowadzić na skraj prawdziwej wojny.

* * *

Poddany obserwacji pacjent należał do dużych: Conway ocenił jego masę na jakieś pół tony. Przypominał monstrualną, ustawioną ogonkiem do góry gruszkę. W górnej części ciała miał pięć grubych mackowatych wyrostków, a muskularny dół kadłuba sugerował, że istota owa przemieszcza się podobnie jak wąż, chociaż być może znacznie szybciej. Cała powierzchnia skóry była poszarpana i poraniona, jakby ktoś potraktował ją ostrą, drucianą szczotką.

Conway nie dostrzegął nic niezwykłego w stanie pacjenta. Sześć lat praktyki w Szpitalu przyzwyczyliło go do znacznie gorszych widoków, zbliżył się zatem, żeby przeprowadzić wstępne badanie, a tuż za nim stanął nadzorujący umieszczenie pacjenta w izolatce porucznik Korpusu. Conway nie lubił wprawdzie, gdy ktoś dyszał mu w kark, ale zignorował gościa i zajął się chorym.

Pod każdą z pięciu macek widniały otwory gębowe. Cztery były pełne zębów, piąty zaś krył aparat głosowy. Same macki wykazywały pewną specjalizację. Trzy były zwykłymi kończynami chwytynymi, czwarta kończyła się narządem wzroku, a ostatnia rogatą kostną maczugą. Najwyższa partia tułowia, którą wypadałoby nazwać głową, nie miała cech szczególnych. Zwykły czerep kryjący mózg.

Conway uznał, że standardowe oględziny nie dostarczą mu więcej informacji, obrócił się więc, żeby sięgnąć po sprzęt... i zderzył się z funkcjonariuszem Korpusu.

— Zamierza pan studiować medycynę, poruczniku? — spytał zirytowany.

Mężczyzna okrył się rumieńcem, co w zestawieniu z ciemną zielenią kołnierza munduru wyglądało fatalnie.

— Ten pacjent to kryminalista — odparł urzędowym tonem. — Został znaleziony sam na pokładzie statku kosmicznego. Wszystko świadczy o tym, że zabił i zjadł jedyne go towarzysza podróży. Przez całą drogę tutaj był nieprzytomny, ale i tak nakazano mi go strzec jak najpilniej. Postaram się nie wchodzić panu w drogę, doktorze.

Conway z trudem przełknął ślinę i spojrzał na groźną, zrogowaciałą kończynę, która bez wątpienia pomogła temu gatunkowi wspiąć się na najwyższy szczebel drabiny ewolucyjnej.

— Tylko proszę nie oddalać się za bardzo, poruczniku — powiedział.

* * *

Conway obejrzał sobie pacjenta z pomocą przenośnego rentgena, pobrał kilka wycinków, w pierwszej kolejności zmienionej chorobowo skóry, i zaraz posłał wszystko na patologię do analizy. Na wszelki wypadek dołączył jeszcze trzy kartki z pospiesznie skreślonymi uwagami. Potem odstał od pacjenta i podrapał się po głowie.

Istota była ciepłokrwista, tlenodyszna i nawykła do ciężenia oraz ciśnienia zbliżonych do ziemskich, co biorąc pod uwagę jej budowę anatomiczną, pozwalało ją zaklasyfikować do typu EPLH. Zdawała się cierpieć na nowotwór skóry. Zmiany na ciele były zaawansowane i rozległe, a ich charakter wskazywał na rozrost typu *epithelioma*. Objawy były tak jednoznaczne, że w zasadzie można by zacząć leczenie, nie czekając na raport z patologii. Gdyby niejedno... Żaden rak skóry, nawet bardzo złośliwy, nie powodował zwykle długotrwałej utraty przytomności.

Owszem, to ostatnie mogło być skutkiem wstrząsu psychicznego, a przy podobnych powikłaniach należało sięgać po pomoc specjalistów, najlepiej któregoś ze szpitalnych telepatów. Tylko którego? Większość z nich nie potrafiła pracować z osobnikami, którzy nie mieli zdolności telepatycznych albo nie należeli do tego samego gatunku. Mało było wyjątków od tej reguły. A to oznaczało, że należało wezwać nie kogo innego, ale doktora Prilicę, reprezentującego typ GLNO przyjaciela Conwaya.

Porucznik zakaszła lekko, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— Panie doktorze, gdy pan już skończy, O'Mara chciałby pana widzieć u siebie.

Conway pokiwał głową.

— Zaraz przyślę jeszcze kogoś, by rzucił okiem na naszego pacjenta. Mam nadzieję, że będzie pan czuwał na jego bezpieczeństwie równie pilnie jak nad moim — odrzekł z uśmiechem.

W dyżurce wybrał jedną z ładniejszych ludzkich pielęgniarek i przedstawivszy pokrótce, o co chodzi, wysłał ją do izolatki. Owszem, mógłby przekazać te same polecenia również jakiejś Tralthance klasy FGLI, poruszającej się na sześciu nogach i tak masywnej, że słoń uchodziłby przy niej za stworzonko drobne i wrażliwe, jednak chciał wynagrodzić jakoś porucznikowi swoją nieuprzejmość.

Dwadzieścia minut później, po trzykrotnej zmianie ubioru ochronnego i przejściu przez sekcję chlorodysznych, korytarz żyjących pod wodą AUGL oraz lodowate przedziały metanowców, Conway zameldował się w gabinecie majora O'Mary.

Naczelny psycholog wiszącego w próżni Szpitala był odpowiedzialny za stan umysłów całego personelu, który nie dość, że liczył dziesięć tysięcy istot, to jeszcze składał się z przedstawicieli osiemdziesięciu siedmiu różnych gatunków. Tym

samym O'Mara był tutaj kimś nad wyraz ważnym. Nie wywyższał się jednak i zawsze miał czas dla każdego. Jak sam powiadał, był gotów wysłuchać potrzebnego o dowolnej porze dnia i nocy, lecz pod jednym warunkiem: że nie będzie mu się zawracać głowy głupstwami. Takie próby, dodawał, skończą się nieuniknioną burą.

Dla niego wszyscy byli tu pacjentami — i chorzy, i personel. Panowało powszechne przekonanie, że dobra atmosfera utrzymująca się pomiędzy przedstawicielami różnych, niekiedy bardzo drażliwych i dumnych ras, była przede wszystkim jego zasługą. Nawet najwięksi obrażalscy bali się go po prostu rozzłościć. Dziś jednak był prawie że do rany przyłoż.

— To zajmie więcej niż pięć minut, proponuję zatem, żeby pan usiadł, doktorze — rzucił, gdy Conway stanął przed jego biurkiem. — Zakładam, że obejrzał pan już sobie naszego ludożercę?

Conway pokiwał głową i usiadł. W paru słowach przedstawił wyniki wstępnych badań pacjenta i dodał, że jego zdaniem problem ma chyba podłoże psychologiczne. Na koniec spytał:

— Ma pan jeszcze jakieś informacje na jego temat? Poza tym podejrzeniem o kanibalizm, naturalnie. . .

— Owszem, ale nie ma tego wiele — odparł O'Mara. — Znalazł go patrol Korpusu. Jego statek, chociaż w ogóle nie uszkodzony, wysłał wezwanie o pomoc. Nasz gość był wyraźnie zbyt chory, żeby go pilotować. Na pokładzie nie było nikogo więcej, ale ponieważ ratownicy nigdy wcześniej nie spotkali żadnego EPLH, na wszelki wypadek przeszukali drobiazgowo całą łajbę. I wyszło im, że jednak ktoś jeszcze tam wcześniej był. Doprowadził ich do tego wniosku prywatny dziennik nagrywany przez chorego. To samo wynikało z rejestrów obsługi śluzu i temu podobnych zapisów. . . W tej chwili to nieistotne. Ważne, że wszystko świadczyło o tym, że była tam jeszcze jedna istota, która skończyła marnie za sprawą naszego pacjenta. I ku jego gastronomicznemu pożytkowi. . .

O'Mara przerwał i opuścił trzymane w ręku papiery. Conway zdążył na nie zerknąć. Był to wypis ze wspomnianego przed chwilą prywatnego dziennika, a widoczny akurat fragment informował, że ofiarą kanibala padł okrętowy lekarz.

— Jednak nie wiemy nic o planecie, z której pochodzi — powiedział psycholog, unosząc ponownie papiery. — Tyle tylko, że leży w innej galaktyce. Jeśli wziąć pod uwagę, że naszą przebadaliśmy dopiero w ćwierci, nie wiem, kiedy uda nam się trafić na ojczyznę tego tam. . .

— A może Ianie mogliby pomóc? — spytał Conway.

Ianie należeli do pozagalaktycznej cywilizacji, która założyła niedawno kolonię w sektorze Szpitala. Byli niezwykłymi istotami klasy GKNM: pierwszy okres życia spędzali pod postacią dość szpetnych dziesięcionogich poczwerek, z których wykluwały się następnie istoty nie dość, że piękne, to jeszcze skrzydlate. Conway miał jednego z nich pod swoją opieką trzy miesiące wcześniej i chociaż

pacjent opuścił już Szpital, to dwaj lekarze jego gatunku, którzy przybyli mu na pomoc, zostali jako członkowie personelu.

— Galaktyka jest wielka... ale spróbujemy — mruknął O'Mara z wyraźnym brakiem entuzjazmu. — Ale wracając do pacjenta: najbardziej martwi mnie, co z nim zrobimy, kiedy już go pan wyleczy. Bo widzi pan, doktorze, został znaleziony w okolicznościach, które jednoznacznie świadczą, że popełnił czyn uznawany przez istoty inteligentne za przestępstwo. Jest zatem kryminalistą, a Korpus Kontroli pełni w takich wypadkach funkcję policji. Musimy doprowadzić do procesu, w którym zostanie albo uniewinniony, albo skazany. Tylko jak mamy mu zapewnić sprawiedliwy proces, jeśli nie wiemy nic o kulturze, w której wyrósł? Jak zdołamy odróżnić obciążające dowody od okoliczności łagodzących? Ale z drugiej strony nie możemy go tak po prostu wypuścić...

— Dlaczego? — spytał Conway. — Gdyby odesłać go w tym samym kierunku, z którego przybył, tylko cięższego o akta sprawy...

— A pan pozwoliłby umrzeć pacjentowi, żeby oszczędzić sobie fatygi? — przerwał mu z krzywym uśmiechem O'Mara.

Conway nie odpowiedział. Argument był z tych poniżej pasa. Psycholog użył go jednak świadomie: obaj świetnie wiedzieli, że nikt nigdy nie zdoła przekonać Korpusu Kontroli, by odstąpił od czynienia swojej powinności.

— Od pana zaś oczekuję, że podczas leczenia, a także później, postara się pan dowiedzieć jak najwięcej o pacjencie i świecie, z którego przybył. Wiem wprawdzie, że ma pan miękkie serce i własne spojrzenie na sprawę, więc się nie zdziwię, jeśli awansuje pan na nieoficjalnego pomocnika obrony, ale w tej chwili mnie to nie obchodzi. Ważne, żeby dostarczył pan obiektywnych informacji, które pozwolą nam wnieść sprawę przed trybunał. Rozumiemy się?

Conway skinął głową.

O'Mara odczekał dokładnie trzy sekundy i powiedział:

— A teraz, jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty, jak tylko wylegiwać się w moim fotelu...

Zaraz po opuszczeniu gabinetu psychologa Conway skontaktował się z patologią i poprosił, żeby jeszcze przed lunchem wysłali mu wyniki badań skóry pacjenta. Potem odszukał obu Ianów i zaprosił ich na ten lunch. Na koniec umówił się z Prilicłą na konsultację i uznawszy, że załatwił wszystko, co należało, udał się na obchód.

Przez następne dwie godziny nie znalazł nawet chwili, aby pomyśleć o nowym pacjencie. Obecnie miał pod opieką pięćdziesięciu trzech chorych, trzech stażystów oraz całe stadko pielęgniarek. Łącznie należeli oni do jedenastu typów fizjologicznych, zatem żaden obchód nie mógł być nudny. Niektórzy z jego współpracowników tak różnili się od niego i od pacjentów, że musieli nosić kombinezony pozwalające im przeżyć w całkiem obcym środowisku, a mimo to

należało nauczyć ich obsługi urządzeń i instrumentów służących do badania istot rozmaitych gatunków.

Mimo liczego personelu Conway z zasady sam doglądał wszystkich pacjentów, nawet rekonwalescentów. Wiedział, że to niemądre i przydaje mu tylko roboty, ale zbyt niedawno został awansowany na starszego lekarza, aby porzucić dawne nawyki. Poza tym jednoznacznie rozumiał słowo „odpowiedzialność” i nie potrafił spokojnie zlecać zbyt wiele podwładnym.

Po obchodzie rozkład zajęć przewidywał wykład ze wstępnych kursów dla położnych klasy DBLF. Były to porośnięte nitrem wielonogie stworzenia o sylwetkach podobnych do olbrzymich gąsienic. Pochodziły z planety Kelgia i oddychały tym samym powietrzem co ludzie, udział w zajęciach nie wymagał więc nakładania specjalnego kombinezonu. Na dodatek sam temat też był stosunkowo prosty, jeśli wziąć pod uwagę, że Kelgianki miawały potomstwo tylko raz w życiu i niezmiennie rodziły wówczas całą grupę młodych, pół na pół męskich i żeńskich. Conway nie musiał zatem przesadnie koncentrować się na temacie i co rusz wracał myślą do dziwnego kanibala tkwiącego w strzeżonej izolatce.

Rozdział drugi

Pół godziny później siedział wraz z dwoma łanami w głównej jadalni Szpitala, która obsługiwała po równi Tralthańczyków, Kelgian, ludzi i wszystkich innych, niezależnie od tego, czym oddychali i co jedli. Przeżuwał nieśmiertelną sałatę, co nawet zbytnio mu nie wadziło, jako że w porównaniu z daniami, które musiał czasem jadać, goszcząc różnych nieziemców, zielenina była całkiem apetyczna.

Lekarze z planety Ia byli delikatnymi skrzydlatymi istotami i do pewnego stopnia przypominali ważki. Ich podłużne, gibkie ciała były wyposażone w cztery owadzie nogi, kończyny chwytne, zwykłe organy zmysłów oraz trzy okazałe pary skrzydeł. Niemniej manier przy stole im brakowało. Nie siadali do jedzenia, lecz zawisali w powietrzu nad daniem. Widać wzlatywanie do jedzenia było dla nich od dawna wyuczonym odruchem, możliwe, że poprawiało też trawienie.

Conway położył na stole raport z patologii i postawił na kartkach cukiernicę, żeby nie odfrunęły.

— Jak się przekonacie, gdy zajrzycie do tych materiałów, przypadek wygląda na prosty. Ale tylko wygląda, bo chociaż badania nie wykryły obecności chorobotwórczych drobnoustrojów, a objawy wskazują na jedną z postaci *epithelioma*, pacjent wciąż jest nieprzytomny i nie wiemy dlaczego. Może zdołalibyśmy to wyjaśnić, wiedząc coś więcej o jego naturalnym środowisku, cyklu dobowym i tak dalej. Właśnie dlatego chciałem z wami porozmawiać. Pacjent na pewno pochodzi z waszej galaktyki, może więc moglibyście cokolwiek o nim powiedzieć?

GKNM po prawej Conwaya odleciał na kilka centymetrów od stołu.

— Obawiam się, że nie opanowaliśmy jeszcze zasad waszej klasyfikacji fizjologicznej, doktorze — powiedział za pośrednictwem autotranslatora. — Jak wygląda pacjent?

— Przepraszam, zapomniałem — mruknął Conway, jednak zamiast odpowiedzieć, zaczął szkicować podobiznę pacjenta na odwrocie raportu patologii. Po chwili skończył i pokazał łanom rysunek.

— Mniej więcej tak.

Obaj skrzydlaci runęli na podłogę.

Conway osłupiał. Nigdy jeszcze nie widział, aby GKNM przerwał nagle jedzenie albo lot podczas posiłku.

— Więc ich znacie? — spytał.

GKNM po prawej wydał serię dźwięków, które autotranslator Conwaya przetłumaczył jako mało wyraźne chrząknięcia, świadectwo skrajnego zaskoczenia.

— Owszem, znamy ich — odparł w końcu skrzydlaty. — Ale nigdy żadnego nie widzieliśmy, nie wiemy, z jakiej planety pochodzą, a jeszcze przed chwilą nie mieliśmy nawet pojęcia, czy na pewno istnieją. Doktorze, to są... bogowie.

Jeszcze jeden VIP! — pomyślał z niechęcią Conway. Jego doświadczenia z VIP-ami w roli pacjentów były wyłącznie złe. Zawsze wiązały się z komplikacjami, i to wcale nie medycznej natury.

— Mój kolega zareagował nieco emocjonalnie — odezwał się drugi GKNM. Conway ich nie odróżniał, jednak ten akurat był bardziej cyniczny, a może po prostu widział więcej świata. — Spróbuję może przekazać, co naprawdę o nich wiemy albo czego się domyślamy. Nie ma tego wiele, ale snucie dywagacji teologicznych nic nam teraz chyba nie da...

Istoty, do których należał pacjent, były niezbyt liczne, jednak wywierały wielki wpływ na historię ich galaktyki. Przodowały w naukach społecznych, w tym także w psychologii, były przy tym wybitnie inteligentne. Z sobie tylko znanych powodów rzadko szukały nawzajem swego towarzystwa: nie słyszano, żeby na jakiejś planecie mieszkał przez dłuższy czas więcej niż jeden tylko osobnik.

Mimo to przejmowali władzę nad planetami. Czasem z pożytkiem dla ich mieszkańców, czasem zaś doprowadzali do tarć, których skutki jednak na dłuższą metę okazywały się korzystne. Zaprzęgali całe populacje, a niekiedy i międzygwiazdne kultury, do rozwiązywania problemów, które oni sami tylko dostrzegali i potrafili zdefiniować, a załatwiwszy sprawę, wynosili się bez śladu. Takie w każdym razie opowieści krążyły o nich z dawna po galaktyce.

— ...legandy mówią, że kiedy któryś z nich ląduje na jakiejś planecie, mając tylko swój statek i towarzystwo istoty odmiennego gatunku, zawsze zresztą innego, najpierw przełamuje lody uprzedzeń, a potem zaczyna przejmować władzę. No i się bogacić. Przebiega to powoli, ale oni się nie spieszą. Są oczywiście nieśmiertelni — dokończył GKNM, a Conway usłyszał brzęk spadającego na podłogę widelca. To był jego własny widelec...

Minęło trochę czasu, nim doszedł do siebie. W Federacji było tylko kilka długowiecznych gatunków i większość z nich wytworzyła zaawansowane technologicznie cywilizacje, które opanowały sztukę odmładzania organizmów. Dotyczyło to także Ziemi. Jednak żaden z nich nie był nieśmiertelny, nigdy też nie słyszano, aby ktoś taki się pojawił. Aż do teraz... I jak tu leczyć kogoś takiego? Chyba że... Ale nie, przecież GKNM też był lekarzem i chyba wiedział, co mówi.

— Jesteście pewni? — spytał Conway. — Na pewno nieśmiertelni, nie długowieczni?

Odpowiedź Ianina ciągnęła się niemiłosiernie długo, wyliczył bowiem wiele wiarygodnych przekazów, teorii oraz legend na temat tych istot, które nie potrafiły

zadowolić się niczym skromniejszym niż władza nad całą planetą. Pod koniec Conway nie był wcale bardziej przekonany, że na pewno chodzi o nieśmiertelność, ale coraz więcej na to właśnie wskazywało.

— Po tym wszystkim, co od was usłyszałem, może w ogóle nie powinienem o to pytać — odezwał się po chwili. — Mimo to zapytam. Czy waszym zdaniem taka istota zdolna byłaby do morderstwa i kanibalizmu...?

— Nie! — odparł jeden z GKNM.

— Nigdy! — dorzucił drugi.

Autotranslatory nie przekazały oczywiście towarzyszących wypowiedziom emocji, ale oba okrzyki były tak głośne, że wszyscy obecni w jadalni spojrzeli ku stolikowi Conwaya.

Kilka minut później obaj skrzydlaci pospieszyli obejrzeć legendarnego EPLH. Wcześniej poprosili oczywiście o zgodę. Mili ludzie, pomyślał Conway, chociaż ciągle coś mu nie pasowało. Spojrzał na stół. No tak, sałata. Jak te króliki mogą na tym wyżyć? Odsunął stanowczo talerz z zieleniną i zamówił stek z podwójnymi dodatkami.

Zapowiadał się długi i ciężki dzień.

Gdy wrócił do izolatki, usłyszał od personelu, że Ianie byli i już sobie poszli, a stan pacjenta nie uległ zmianie. Porucznik zdawał się niezmiennie patrzeć pielęgniarkę na ręce, jednak z jakiegoś powodu ciągle się rumienił. Conway pokiwiał głową, westchnął i odprawił pielęgniarkę. Brał się właśnie do ponownej lektury raportu z patologii, gdy w izolatce zjawił się Prilicla.

Pajęczy asystent Conwaya należał do klasy GLNO, żyjącej na planecie o niewielkiej sile przyciągania. Prilicla musiał więc nieustannie korzystać z antygravitatorów, żeby nie zmiażdżyło go ciężenie, które większość innych istot uznawała za normalne. Poza tym, że był nad wyraz kompetentnym lekarzem, cieszył się wielką popularnością w całym Szpitalu. Wynikało to z wrodzonych zdolności empatycznych pozwalających tej kruchej istocie unikać jakichkolwiek konfliktów. Chociaż miał parę wielkich, niemal przezroczystych skrzydeł, zwykł siadać podczas posiłków, a ze spaghetti radził sobie normalnie, widelcem. Conway miał powody, aby go lubić.

W kilku zdaniach przekazał Prilicli najważniejsze informacje o stanie pacjenta oraz jego pochodzeniu i poprosił o pomoc.

— Wiem, że nie sposób się wiele dowiedzieć od nieprzytomnego, ale byłbym wdzięczny za cokolwiek...

— Ależ to chyba jakieś nieporozumienie, doktorze — przerwał mu Prilicla nader uprzejmie, gdyż inaczej nie potrafił, oznajmiając, że kolega popełnił tu poważny błąd diagnostyczny — pacjent jest przytomny...

— Cofnąć się!

Prilicla, ostrzeżony zarówno bijącymi od Conwaya emocjami, jak i widokiem maczugowatej kończyny pacjenta, która w mgnieniu oka mogłaby go zmiażdżyć,

odskoczył pod ścianę. Porucznik natomiast zbliżył się do chorego i zmierzył go uważnym spojrzeniem. Przez parę chwil milczeli, wpatrzeni w pacjenta, który jednak się nie poruszył.

Conway spojrzał pytająco na Prilicę.

— Wyczuwam w nim aktywność emocjonalną charakterystyczną jedynie dla istot przytomnych i w pełni świadomych swych poczynań. Niemniej procesy myślowe wydają mi się dziwnie spowolnione i do tego słabe, przynajmniej jak na potencjał, z którym mamy do czynienia. Emocjonalnie natomiast wyczuwam w pacjencie zaburzenie poczucia bezpieczeństwa, bezradność i zagubienie. Wiele wskazuje również, że jego obecne zachowanie jest zachowaniem celowym.

Conway westchnął.

— Symulant — warknął porucznik, interpretując sprawę po swojemu.

Conwayowi też bardzo się to nie podobało, ale z innych powodów. Uważał, że żadna, nawet najnowocześniejsza aparatura diagnostyczna nie może do końca zastąpić kontaktu z pacjentem. Jednak... jak tu otwarcie rozmawiać z istotą niemalże bogom podobną?

— Zamierzamy ci pomóc — odezwał się w końcu. — Rozumiesz, co mówię?

Pacjent się nie poruszył.

— Nic nie wskazuje na to, aby pana usłyszał, doktorze — oznajmił Prilicla.

— Ale jeśli jest przytomny... — zaczął Conway, lecz urwał i wzruszył bezradnie ramionami.

Ponownie rozstawili aparaturę i razem przebadali dokładnie EPLH. Szczególną uwagę zwrócili na narządy słuchu i wzroku. Nie doczekali się jednak żadnej psychicznej ani fizycznej reakcji, chociaż nie postępowali wcale z pacjentem jak z jajkiem. Nie znaleźli niczego, co mogłoby sugerować jakiegokolwiek dysfunkcje narządów zmysłów, a mimo to EPLH ciągle wydawał się nieczuły na bodźce zewnętrzne, chociaż Prilicla obstawał przy tym, że osobliwa istota jest przytomna.

Co za trzepnięty półbóg, pomyślał Conway. O'Mara naprawdę dba, żebym się nie nudził.

— Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy — odezwał się — to że ten umysł, którego aktywność pan wyczuwa, odciął się w jakiś sposób od narządów zmysłów. Nie ma to bezpośredniego związku z chorobą pacjenta, pozostaje więc podłoże psychiczne. Trzeba nam zatem pomocy psychiatry. Niemniej, ponieważ wszelkie choroby somatyczne zawsze tylko utrudniają psychoterapię, proponuję, abyśmy najpierw zajęli się tymi zmianami skórnymi...

Patologia szybko opracowała środek przeciwko trapiącemu EPLH *epitheloma*, który miał być odpowiedni do jego metabolizmu i nie wywoływać skutków ubocznych. Conway w parę minut obliczył dawki i zaraz wstrzyknął pierwszą. Prilicla zbliżył się doń, aby obserwować przebieg leczenia. Obaj wiedzieli, że w takich wypadkach poprawa powinna nastąpić nie za kilka dni czy godzin, ale w ciągu paru chwil.

Jednak minęło dziesięć minut i nic się nie zmieniało.

— Twarda sztuka — mruknął Conway i wstrzyknął maksymalną bezpieczną dawkę.

Niemal natychmiast sucha, popękana skóra pociemniała wokół miejsca iniekcji i stała się jędrna. Ciemny obszar powiększał się w oczach, aż w końcu jedna macka drgnęła lekko.

— I jak? — spytał Conway, patrząc na Prilicłę.

— W zasadzie tak samo jak przedtem. Tyle że wyczuwam narastającą obawę wywołaną ostatnim zastrzykiem. . . Teraz próbuje podjąć jakąś decyzję. . .

Nagle Prilicla zadrżał silnie, co oznaczać mogło tylko jedno — odebrał nagły wzrost emanacji emocjonalnej pacjenta. Conway otwierał już usta, aby spytać o szczegóły, gdy nagle głośny trzask sprawił, że spojrzął znów na EPLH, który zaczął się szamotać w podtrzymującej go uprzęży. Dwa zapięcia już puściły i chory zdołał uwolnić jedną kończynę. Właśnie tę z maczugą. . .

Conway pochylił się odruchowo i uniknął o włos zmiążdżenia głowy. Poczuł tylko, jak masywna pałka przeczesuje mu grzywkę. Porucznik nie miał tyle szczęścia. Sam koniec trafił go w ramię i odrzucił na ścianę. Prilicla, dla którego granicząca z tchórzostwem ostrożność była warunkiem przetrwania, ewakuował się błyskawicznie na sufit, jedyne obecnie naprawdę bezpieczne miejsce. Szczęściem odnóża miał wyposażone w przyłgi.

Leżąc na podłodze, Conway usłyszał, jak puszczają kolejne zapięcia. Pacjent uwolnił jeszcze dwie macki i machał nimi dziko. Było oczywiste, że za chwilę się uwolni. Conway pozbierał się szybko na kolana i rzucił ku wojowniczemuto pacjentowi. Objął go poniżej pasa kończyn i omal nie ogłuchł od wrzasków wydobywających się z otworu gębowego, który znalazł się tuż obok jego ucha. Autotranslator przetłumaczył te krzyki jako „Pomocy! Pomocy!” Kątem oka dojrzał, jak kościana maczuga opada i uderza w podłogę dokładnie w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jego głowa. Powstałe od ciosu wgłębienie miało co najmniej siedem centymetrów. . .

Takie zapasy z dziwnym pacjentem mogły się wydawać szaleństwem, jednak Conway wiedział, co robi. Przytulony do wielkiego cielska, trzymał się poza zasięgiem morderczej pałki.

Nagle ujrzał, jak porucznik, który leżał na wpół oparty o ścianę, sięga do pasa i opiera zaciśniętą na kolbie dłoń na kolanie. Jedno oko przymrużył diabolicznie, ale drugim spoglądał wzdłuż linii wytyczanej przez muszkę i szczerbinę. Conway krzyknął do niego, żeby jeszcze poczekał, ale ryki pacjenta zagłuszyły jego wołanie. Przeświadczony, że lada chwila padną strzały, tak się przeraził, że całkiem już nie wiedział, co zrobić.

I nagle było po wszystkim. Pacjent oklapł, upadł na bok i dostawszy drgawek, po chwili ponownie znieruchomiał. Porucznik wstał z trudem. W dłoni ciągle ścisnął broń, której nie zdążył użyć. Prilicla zszedł z wahaniem z sufitu.

— Co, nie chciał pan strzelać, żeby mnie nie trafić? — wykrztusił w końcu Conway.

— Nie, doktorze — odparł Kontroler, kręcąc głową. — Jestem dobrym strzelcem. Mógłbym zrobić co trzeba, nawet pana nie drasnawszy. Ale ten cholernik wołał ciągle o pomoc i jakoś dziwnie się poczułem. . .

Rozdział trzeci

Ze dwadzieścia minut później, gdy Prilicla odesłał już porucznika na opatrzenie złamanego barku, a potem wraz z Conwayem założył pacjentowi nową, mocniejszą uprząż, zauważyli obaj, że ciemna plama na skórze EPLH zniknęła. Jego stan powrócił do wyjściowego. Zastryk pomógł tylko chwilowo, co było nad wyraz dziwne i w zasadzie nie powinno się zdarzyć.

Odkąd Prilicla zrobił użytek ze swoich telepatycznych zdolności, Conway był już praktycznie pewien, że powody dziwnego stanu chorego tkwią głęboko w jego psychice. Wiedział, że zaburzenia umysłowe mogą czasem poważnie zaszkodzić całemu organizmowi, jednak zmiany skórne były typowym problemem somatycznym, a leczenie zaproponowane przez patologię oddziaływało bezpośrednio na tkankę skóry i na nic więcej. Żadne moce umysłu, nieważne jak zaburzonego, nie powinny mieć na nie wpływu. Koniec końców pewne prawa obowiązywały tak samo w całym wszechświecie.

Jak dotąd Conwayowi przyszły do głowy tylko dwa prawdopodobne wyjaśnienia. Albo ta istota naprawdę była bogiem i omijała uniwersalne prawa, które sama zapewne ustanowiła, albo dziwnym zbiegiem okoliczności dochodziło po prostu do błyskawicznego nawrotu choroby. Conway skłonny był postawić na drugą hipotezę, jako że pierwsza nazbyt wybiegała w obszary, w które wolałby się nie zapuszczać. Naprawdę nie zależało mu na obcowaniu z aż tak dostojnym pacjentem. . .

Niemniej opuściwszy izolatkę, złożył wizytę w biurze kapitana Brysona, kapelana Korpusu, i na wszelki wypadek skorzystał z jego wiedzy fachowej. Następnie skontaktował się z pułkownikiem Skemptonem, który odpowiadał w Szpitalu za zaopatrzenie, konserwację oraz łączność, i poprosił, żeby dostarczono mu do pokoju kompletny zapis dziennika pacjenta wraz ze wszystkimi danymi, które zgromadzono na jego temat. Potem w ramach obowiązków przeprowadził w basenie AUGL pokaz technik operowania podwodnych form życia, przed obiadem zaś zdążył jeszcze przepracować dwie godziny na patologii, gdzie dowiedział się całkiem sporo o nieśmiertelności swego podopiecznego.

Gdy wrócił wreszcie do siebie, znalazł na biurku gruby prawie na pięć centymetrów plik papierów i jęknął. Normalnie czekałoby go teraz sześć godzin czasu

wolnego, który najchętniej spędziłby z niewiarygodnie piękną pielęgniarką Murchison, z którą od pewnego czasu dość regularnie się spotykał. Niestety, Murchison pracowała na oddziale położniczym FGLI i jeszcze przez dwa tygodnie nie mieli mieć przerwy w tym samym czasie.

Chwilowo może to nawet i lepiej, pomyślał Conway i zasiadł do długiej lektury.

Kontrolerzy, którzy badali statek obcego, nie potrafili dokładnie przeliczyć jego jednostek czasu na ziemskie lata, ale ustalili ponad wszelką wątpliwość, że wiele części dziennika zostało sporządzonych bardzo dawno, co najmniej dwadzieścia wieków temu, albo i wcześniej. Conway zaczął od najstarszych. Szybko stwierdził, że zapiski nie przypominają typowego dziennika. Wtręty osobiste były stosunkowo rzadkie, a większość informacji miała charakter techniczny. Niewiele z tego rozumiał. Dopiero samo zakończenie, które odnosiło się do domniemanego morderstwa, okazało się dramatyczne. „Mam dość tego lekarza”, zaczynał się ostatni wpis. „Zabija mnie. Muszę coś zrobić. Zły to lekarz, który pozwala mi chorować. Muszę się go jakoś pozbyć...”

Conway odłożył ostatnią kartkę, westchnął i przyjął pozycję bardziej sprzyjającą twórczemu myśleniu, to jest odchyliwszy się na fotelu, złożył nogi na biurku i praktycznie siadł na własnym karku.

Ale pasztet, pomyślał.

Niemniej teraz miał już wszystkie albo prawie wszystkie elementy układanki i musiał tylko poumieszczać je we właściwych miejscach. Po pierwsze, stan pacjenta: na razie nie aż taki poważny, przynajmniej jak na normy przyjęte w tym szpitalu, ale stanowiący zagrożenie dla życia, jeśli nie podejmie się leczenia. Po drugie: zapewnienia obu Ian, jakoby ta rasa była równa bogom i żadna władzy, ale zasadniczo skłonna czynić dobro. Po trzecie: towarzyszące samotnym półbogom istoty, zawsze innego gatunku. Musiały zmieniać się co pewien czas, gdyż w odróżnieniu od EPLH starzały się i umierały. Na koniec miał też dwie opinie patologów. Pierwszą, pisemny raport dostarczony mu jeszcze przed lunchem, i drugą, którą usłyszał od Thornnastora, naczelnego Diagnostyka patologii, istoty klasy FGLI. Po badaniach doszedł on do wniosku, że pacjent najpewniej nie jest jednak nieśmiertelny, a opinia naczelnego Diagnostyka, nawet wygłoszona w trybie przypuszczającym, nie podlegała dyskusji. Niemniej... jakkolwiek nieśmiertelność z rozmaitych przyczyn fizjologicznych rzeczywiście należało wykluczyć, testy wykazały, że tkanki obcego cechuje fenomenalna wręcz żywotność i zdolność do kompleksowej regeneracji.

No i było jeszcze to, co Prilicla wyczuł podczas próby leczenia schorzenia skóry. Najpierw dość łagodne zagubienie, bezradność i lęk, a po drugim zastrzyku czyste szaleństwo. Jak stwierdził Prilicla, emocje pacjenta były tak silne, że omal nie wypaliły mu mózgu. Z tego też powodu nie potrafił odtworzyć dokładnie, co właściwie wyczuł. Nastawiony był na odbiór subtelnych sygnałów i nagły

skok natężenia wręcz go ogłuszył. Zgadzał się jednak, że mogą to być zaburzenia o charakterze schizoidalnym.

Conway rozsiadł się jeszcze wygodniej, zamknął oczy i zaczął zestawiać znane mu fakty.

Wszystko musiało zacząć się na planecie, na której istoty EPLH stały się dominującą formą życia. Z czasem stworzyły cywilizację znającą i loty kosmiczne, i zaawansowaną medycynę. Zapewne już z natury długowieczne, jeszcze wydłużyły sobie życie, i to tak, że inne rasy, jak Ianie, uznały ich za nieśmiertelnych. Jednak słono zapłacili za swoją długowieczność. Najpierw spadł drastycznie ich przyrost naturalny, jako że niemal nieśmiertelnym istotom obcy staje się ten lęk przed przemijaniem, który pcha zwykle innych do płodzenia potomstwa. Krótco potem ich cywilizacja musiała zacząć upadać... a raczej rozpadać się, aż miast zwartej społeczności pojawiła się niezbyt liczna grupa samotnych międzygwiazdnych wędrowców. Każdy z nich był skrajnym indywidualistą, na dodatek odsunięcie fizycznego zagrożenia bytu nie oznaczało zażegnania ryzyka chorób psychicznych. A te miały przecież masę czasu, aby się wyklucić i zaatakować...

Biedni półbogowie, pomyślał Conway.

Unikali się nawzajem z bardzo prostego powodu — mieli już siebie serdecznie dość. Przez stulecia musieli przecież znosić wciąż te same cudze przyzwyczajenia, miny i powiedzonka, aż w końcu jeden nie mógł patrzeć na drugiego. Zgłębianiem problemów socjologicznych i działalnością filantropijną na wielką skalę zajęli się najpewniej po prostu z nudów i dlatego, że ogólnie byli życzliwi światu. A ponieważ jedną z nieodłącznych cech długowieczności musiał być narastający przez lata strach przed śmiercią, każdemu z nich towarzyszył zawsze osobisty lekarz wybrany zapewne z samej medycznej śmietanki tamtej galaktyki.

Jednego tylko Conway ciągle nie rozumiał: dlaczego pacjent tak dziwnie zareagował na próbę leczenia? Niemniej skłonny był uważać, że to tylko nie najistotniejszy szczegół, który się niebawem wyjaśni. Najważniejsze, że teraz już wiedział, jak postępować.

Wbrew twierdzeniu Thornnastora uważał, że nie każdą chorobę można leczyć farmakologicznie. Conway już wcześniej pomyślałby o rozwiązaniu operacyjnym, gdyby nie te wszystkie zaciemniające obraz dywagacje, kim jest pacjent i co zrobił. A przecież to akurat w ogóle nie powinno go obchodzić, podobnie jak sprawa domniemanej boskości.

Westchnął i opuścił nogi na podłogę. Ogarnęło go tak wielkie rozleniwienie, że postanowił położyć się do łóżka, zanim zaśnie na siedząco.

* * *

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, zaczął przygotowania do operacji EPLH. Kazał przysłać do izolatki stosowny sprzęt. Pamiętał też, by udzielić dokładnych

instrukcji w kwestii sterylizacji narzędzi. Skoro pacjent zapewne zabił już jednego lekarza za błędy w sztuce, nie należało ryzykować kolejnego konfliktu, związanego z aseptyką. Zażądał też asysty jednego Tralthańczyka na wypadek, gdyby potrzebna była misterna chirurgiczna robota, a na pół godziny przed operacją skontaktował się z O'Marą.

Naczelny psycholog wysłuchał go cierpliwie i bez komentarzy. Odezwał się, dopiero gdy Conway skończył.

— Zdaje pan sobie sprawę, do czego dojdzie w Szpitalu, jeśli ta istota wam się wymknie? Nie myślę tylko o samych szkodach fizycznych, bardziej martwię się reperkusjami natury społecznej. Sam pan powiedział, że pacjent ma silne zaburzenia, jeśli nie cierpi wręcz na psychozę. Na razie jest niby to nieprzytomny, ale skoro ma taką biegłość w dziedzinie psychologii i potrafi doskonale manipulować innymi... Poważnie się obawiam, że gdy się tylko obudzi, zaraz nas omota swoim gadaniem i pożre z butami...

Po raz pierwszy Conway usłyszał, że coś obudziło niepokój O'Mary. Gdy kilka lat wcześniej pewien statek kosmiczny przypadkiem staranował Szpital, niszcząc albo poważnie uszkadzając aż szesnaście poziomów, major O'Mara wyraził jedynie „głęboką troskę”...

— Dla dobra pacjenta staram się o tym nie myśleć — wyjaśnił Conway.

O'Mara wciągnął powietrze i wypuścił je powoli przez nos, co w jego wypadku znaczyło więcej niż kilka minut gorzkich wymówek.

— Ktoś jednak musi myśleć o takich sprawach, doktorze — stwierdził lodowatym tonem. — Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko mojej obecności podczas tej operacji?

Na tak uprzejmie przekazane polecenie służbowe Conway mógł odpowiedzieć tylko w jeden sposób:

— W żadnym razie, sir.

Tymczasem w izolatce „łóżko” pacjenta było już ustawione na odpowiedniej wysokości, a EPLH został doń dodatkowo przypasany. Tralthańczyk, który czekał już przy aparaturze rejestrującej i zespole znieczuleniovym, jednym okiem zerkał na chorego, jednym na sprzęt, a pozostałymi dwoma na Priliclę. Gawędzili sobie o wyjątkowo smakowitym skandalu, który wyszedł na jaw poprzedniego dnia. Mimo że dotyczył on chlorodysznych istot PVSJ i sprawa mogła mieć dla obu lekarzy wymiar wyłącznie akademicki, uznali najwyraźniej, że prawdziwy fachowiec korzysta z każdej okazji, by wzbogacić swą wiedzę. Niemniej na widok O'Mary porzucili temat i Conway oznajmił, że czas już zaczynać.

Najpierw podano starannie dobrany przez patologię anestetyk, jeden z nielicznych środków odpowiednich dla EPLH. Czekając, aż znieczulenie zadziała, Conway przyjrzał się swojemu tralthańskiemu asystentowi.

Chirurgowie tej rasy byli w gruncie rzeczy dwiema istotami, FGLI i OTSB. Na grzbiecie słoniowatego Tralthańczyka tkwił drobny i pozbawiony niemal inte-

ligencji symbiont, który na pierwszy rzut oka przypominał futrzaną kulkę z długim końskim ogonem, jednak tenże ogon był tak naprawdę wiązką dziesiątków precyzyjnych manipulatorów zaopatrzonych w większości w miniaturowe organy wzroku. Dzięki ścisłej więzi psychicznej obie istoty osiągały w fachu chirurga mistrzostwo niedostępne żadnej innej rasie w całej galaktyce. I choć nie wszyscy Tralthańscy zdecydowali się na przyjęcie symbionta, lekarze obnosili się z nimi niczym ze znakiem swojej profesji.

Nagle OTSB przebiegł po grzbiecie nosiciela, przysiadł na szczycie kopulastej głowy pomiędzy dwiema szypułkami ocznymi i zwiesił swój „ogon” nad pacjentem. Był gotowy do operacji.

— Jak sami zauważycie, zmiany skórne mają charakter powierzchniowy — powiedział Conway, wspominając wyniki wcześniejszych badań. — Cały płat chorej skóry robi wrażenie wyschniętego i obumarłego, jakby zaraz miał odpaść. Jednak odpaść nie może. Wierzchnie próbki dało się pobrać bardzo łatwo, ale potem trafiliśmy na kłopoty. Dopiero przy dokładnych oględzinach okazało się, że dzieje się tak za sprawą drobnych, wrastających w ciało korzonków długich na blisko pół centymetra i niewidocznych gołym okiem. Przynajmniej dla mnie. Wydaje się zatem, że choroba weszła w nową fazę i zaczyna ogarniać głębsze partie skóry. Im szybciej więc zadziałamy, tym lepiej.

Conway podał dla porządku numer raportu patologii i sygnatury własnych notatek w sprawie, po czym przeszedł do konkretów:

— Ponieważ z nieznanymi obecnie powodów pacjent nie reaguje na leczenie farmakologiczne, zaproponowałem interwencję chirurgiczną w celu usunięcia chorej tkanki, oczyszczenia pola i wszczepienia sztucznej skóry. Prowadzony przez Tralthańczyka OTSB zajmie się mikrokorzonkami, które także trzeba usunąć bez śladu. Operacja powinna być prosta, tyle że potrwa długo, gdyż nasze działanie obejmie znaczny obszar skóry pacjenta. . .

— Przepraszam, doktorze — wtrącił Prilicla — pacjent wciąż jest przytomny.

Doszło do uprzejmej, ale i zdecydowanej wymiany argumentów pomiędzy małym telepatą a Tralthańczykiem. Jeden twierdził, że EPLH ciągle wykazuje aktywność umysłową i emocjonalną charakterystyczną dla istot w pełni przytomnych, drugi upierał się, że po takiej dawce anestetyku na pewno już śpi i nie obudzi się przed upływem sześciu godzin.

Conway przerwał im, gdy przeszli od argumentów merytorycznych do osobistych wycieczek.

— Spotkaliśmy się już z tym problemem — powiedział zirytowany. — Poza paroma minutami w dniu wczorajszym pacjent wydaje się nieprzytomny, chociaż Prilicla twierdzi co innego. Jak teraz widzimy, anestetyk również nie ma wpływu na aktywność jego ośrodkowego układu nerwowego. Nie potrafię tego wyjaśnić i zapewne nie obejdzie się bez drobiazgowych badań tego fenomenu, jednak to akurat musi na razie poczekać. W tej chwili najważniejsze, że pacjent nie będzie

odczuwał bólu. Możemy zaczynać? — spytał głośno, a do Prilicli szepnął: —
Gdyby coś się zmieniło, daj znać. . .

Rozdział czwarty

Przez pierwsze dwadzieścia minut pracowali w milczeniu, chociaż ten etap nie wymagał szczególnej koncentracji. Przypominał plewienie ogrodu. Conway zdejmował kawałek chorej skóry, a OTSB badał mackami korzonki, po czym je usuwał. I zaraz przechodzili dalej. Szykowała się najnudniejsza operacja w całej karierze Conwaya.

— Wyczuwam narastający lęk pacjenta oraz zamiar działania — oznajmił nagle Prilicla. — Lęk jest coraz silniejszy. . .

Conway chrząknął. Nie wiedział, co powiedzieć.

Pięć minut później Tralthańczyk przerwał milczenie:

— Musimy zwolnić, doktorze. Dotarliśmy do miejsca, gdzie korzonki sięgają głębiej.

Minęły kolejne dwie minuty.

— Ależ ja je widzę! Jak głęboko teraz wrastają?

— Na dziesięć centymetrów — odparł Tralthańczyk. — Doktorze, one się wyraźnie i w oczach wydłużają.

— Przecież to niemożliwe! — wyrwało się Conwayowi, ale zaraz się opanował. — Przenosimy się kawałek dalej.

Pot wystąpił mu na czoło, a stojący obok Prilicla aż zadrżał, ale nie z powodu emocji żywionych przez pacjenta. Wystarczyło to, co pomyślał sobie Conway, gdy w dwóch wybranych przypadkowo miejscach znalazł dokładnie to samo. Korzonki wrastały głębiej w ciało wprost na jego oczach.

— Przerrywamy — rzucił ochryple.

* * *

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, tylko Prilicla ciągle nie mógł się opanować i jego kruche ciało kołysało się jak na silnym wietrze. Tralthańczyk zajął się swoją aparaturą, chociaż nie miał już przy niej nic do roboty, O'Mara zaś wpatrywał się uważnie w Conwaya i wyraźnie się nad czymś zastanawiał. Niemniej w jego szarych oczach widać było też cień współczucia dla kogoś, kto naj-

zwyczajniej znalazł się w kropce. Należało jednak ustalić, czy zdecydował przypadek, czy może błąd Conwaya.

— Co się stało, doktorze? — spytał łagodnie.

Zirytowany Conway potrząsnął głową.

— Nie wiem. Wczoraj pacjent sprzeciwił się leczeniu farmakologicznemu, dzisiaj stawiał opór interwencji chirurgicznej. Reaguje zupełnie bez sensu! Próba usunięcia chorej tkanki uruchomiła jakiś dziwny mechanizm obronny i wrosty zaczęły sięgać błyskawicznie tak głęboko, że jeszcze trochę, a osiągnęłyby życiowo ważnych organów. Nie muszę panu mówić, co by to znaczyło. . .

— Lęk u pacjenta maleje — odezwał się Prilicla. — Chociaż wciąż coś go mocno absorbuje.

— Zauważyłem coś ciekawego, jeśli chodzi o te wyrostki — włączył się Tralthańczyk. — Mój symbiont ma doskonały wzrok i twierdzi, że one są tak samo zakorzenione z obu stron. Trudno więc orzec, czy to chora tkanka trzyma się ciała, czy ciało przytrzymuje zmieniony płat skóry.

Conway pokręcił głową. Przypadek był pełen niepojętych sprzeczności. Przede wszystkim żaden pacjent, choćby i kompletnie zakrecony psychicznie, nie powinien być zdolny wstrzymać działania silnego leku, który mógłby go uleczyć w pół godziny. A ten tutaj tego dokonał, i to w parę minut, chociaż usunięcie chorego płata skóry i zastąpienie go nową, sztuczną tkanką byłoby działaniem jak najbardziej naturalnym. Zdumiewający i beznadziejny przypadek.

A z samego początku wydawał się taki prosty. Conway bardziej interesował się wtedy pochodzeniem pacjenta niż jego stanem i leczeniem, gdyż to akurat nie budziło szczególnych wątpliwości. Jednak musiał gdzieś coś pominąć i teraz przez jego zaniedbanie pacjent umrze zapewne w ciągu kilku godzin. Wszystko przez pospieszną diagnozę, zbytnią pewność siebie i karygodną beztroskę.

Utrata pacjenta zawsze była dramatem, a w tym szpitalu zdarzało to się niezmiernie rzadko. Jednak dopuścić do śmierci chorego, którego stan nigdzie w cywilizowanej części tej galaktyki nie zostałby uznany za poważny. . . Conway zaklął szpetnie pod nosem i poczuł, że nie wie, co powiedzieć.

— Spokojnie, synu.

O'Mara podszedł do Conwaya i po ojcowsku położył mu dłoń na ramieniu. Normalnie naczelnemu psychologowi brakło cierpliwości do ludzi i traktował ich niczym tyran. Każdemu, kto zgłaszał się do niego po pomoc, nie szczędził sarkastycznych uwag i był tak uparty, że nieszczęśnicy ze wstydem zaczynali się w końcu zastanawiać, jak samodzielnie rozwiązać własne problemy. Obecne, całkiem nietypowe zachowanie dowodziło, że zdaniem O'Mary Conway stanął przez dylematem, z którym samodzielnie nijak sobie nie poradzi.

Jednak było w tym coś więcej niż tylko troska o lekarza, który znalazł się w kropce. W głębi ducha naczelnny psycholog był w jakiejś mierze zadowolony z takiego rozwoju wypadków. Nie, żeby Conway podejrzewał go o niecne my-

śli, wiedział, że na jego miejscu O'Mara starałby się tak samo, a może nawet i bardziej wyleczyć pacjenta i byłby równie zasmucony niepowodzeniem. Tyle że jako naczelny psycholog musiał myśleć o zagrożeniu dla Szpitala ze strony istoty o nieznanym, choć na pewno nadprzeciętnych możliwościach umysłu, który był na dodatek nie zrównoważony. Mógł się również zastanawiać, czy przy żywym i przytomnym EPLH nie wyjdzie na niedokształconego adepta swojej dziedziny...

— Spróbujmy raz jeszcze od początku — powiedział, przerywając zamyślenie Conwaya. — Czy znalazł pan w informacjach o pacjencie cokolwiek, co sugerowałoby skłonności do autodestrukcji?

— Nie — odparł z przekonaniem Conway. — Wręcz przeciwnie. Powinien desperacko czepiać się życia. Poddawał się kompleksowej kuracji odmładzającej, czyli takiej, która regularnie obejmowała wszystkie komórki ciała. Włącznie z komórkami mózgu. Tym samym... usuwając stare komórki, usuwał też zapisane w nich wspomnienia... Po każdej kolejnej kuracji tracił pamięć...

— I dlatego właśnie ten jego dziennik był tak naszpikowany szczegółami technicznymi — wtrącił O'Mara. — Miał służyć odtwarzaniu pamięci. Wolę już naszą metodę, przy której regeneruje się zużyte organy, ale nie rusza się mózgu. Nawet jeśli nie żyjemy przez to tak długo jak oni.

— Wiem — mruknął Conway, zastanawiając się nad przyczyną nagłej rozmowności psychologa. Czyżby uważał, że nieprofesjonalne spojrzenie na sprawę pomoże coś wyjaśnić? — Niemniej, jak pan wie, skutkiem ubocznym sztucznego przedłużenia życia jest narastający lęk przed śmiercią. Mimo dokuczliwej samotności i znudzenia długą egzystencją strach ten wciąż się powiększa. Dlatego te istoty podróżowały zawsze z osobistym lekarzem. Panicznie bały się choroby albo wypadku. I dlatego skłonny jestem mu współczuć w sytuacji, gdy miast dbać o niego, lekarz zaczął mu szkodzić. Chociaż nie wiem, czy trzeba było go aż zjadać...

— Więc jest pan po jego stronie — rzucił O'Mara.

— Można by to zapewne uznać za działanie w samoobronie. Ale ważniejsze jest co innego. Skoro panicznie boi się śmierci, powinien raczej poszukać innego, lepszego doktora... A!

— Co „a”? — spytał O'Mara.

— Doktor Conway właśnie na coś wpadł — odezwał się czuły na bodźce emocjonalne Prilicla.

— Na co mianowicie? To jakaś tajemnica? Wolałbym wiedzieć... — Głos O'Mary stracił paternalistyczne brzmienie i psychologowi wyraźnie coś błysnęło w oku. Chyba ulżyło mu, że nie musi już udawać dobrego wujka. — O co chodzi z tym pacjentem?

Zadowolony z odkrycia, choć wciąż niezbyt pewny siebie Conway podszedł do interkomu i zamówił całkiem niezwykły zestaw sprzętu. Potem sprawdził jeszcze uprząż pacjenta i dopiero wtedy się odezwał.

— Pomyślałem, że wbrew naszym przypuszczeniom pacjent może być całkiem zdrowy psychicznie. Problem zaś w tym, co zjadł. . .

— Byłem pewien, że w końcu powie pan coś w tym rodzaju — wycedził O'Mara z wyraźną niechęcią.

Po chwili dostarczono zamówione przedmioty: zaostrzony drewniany kołek i statyw z serwomotorem pozwalający opuszczać go pod żądanym kątem i z dowolną szybkością. Z pomocą Tralthańczyka Conway ustawił urządzenie nad ciałem pacjenta i wycelował ostrze kołka w tułów w miejscu, gdzie kryło się kilka ważnych organów, chronionych grubą na piętnaście centymetrów muskulaturą i warstwą tłuszczu. Potem włączył silniczek i kołek zaczął się zagłębiać w ciało ze stałą szybkością pięciu centymetrów na godzinę.

— Co pan wyprawia? — warknął O'Mara. — Myśli pan, że to wampir?

— Oczywiście, że nie — odparł Conway. — Użyłem drewnianego kołka, aby ułatwić pacjentowi obronę. Stalowego przecież nie zdołałby zatrzymać, prawda?

Skinął na Tralthańczyka i razem zaczęli obserwować miejsce, gdzie drewniane ostrze wnikało w skórę. Prilicla zdawał co parę minut relację z emocji pacjenta, O'Mara zaś chodził po izolatce tam i z powrotem, mruczając coś pod nosem.

Kolek wszedł prawie na pół centymetra, gdy Conway zauważył lekkie pogrubienie i stwardnienie skóry pacjenta. Miało kształt kolisty i obejmowało jakieś dziesięć centymetrów, środek zaś wypadł dokładnie w zranionym miejscu. Skaner pokazywał postępujące zwłóknienie tkanki skórnej, i to na głębokość trzech centymetrów. Wystarczyło dziesięć minut, aby powstała tam twarda, kościana płytka, kołek zaś wygiął się na niej tak bardzo, że lada chwila mógł się złamać.

— Powiedziałbym, że wszystkie siły obronne pacjenta skoncentrowały się w tym punkcie — stwierdził Conway. — Nie ma co czekać, wycinamy.

Razem z Tralthańczykiem czym prędzej nacięli płytkę dookoła i podcięli ją od spodu. Conway przeniósł ją do sterylnego naczynia z przykryciem. Zaraz potem przygotował zastrzyk tego samego specyfiku, który podał bez powodzenia poprzednim razem. Wstrzyknął środek i pomógł asystentowi dokończyć opatrywanie rany, co było rutynowym zadaniem i potrwało niecały kwadrans. Gdy skończyli, było już jasne, że pacjent zaczął pozytywnie reagować na leczenie.

Tralthańczyk pogratulował Conwayowi zabiegu, O'Mara zaś zaczął głośno i trochę nieuprzejmie domagać się od niego natychmiastowych wyjaśnień. Jednak pierwszy odezwał się Prilicla.

— Udało się, doktorze, ale poziom lęku pacjenta wzrasta zastraszająco. Teraz jest bliski paniki.

Conway uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Jest teraz jest pod pełnym znieczuleniem i nie wie nawet, co się z nim dzieje. Niemniej zgadzam się, że obecnie jego osobisty lekarz musi przeżywać ciężkie chwile — dodał i popatrzył znacząco na pojemnik z wycinkiem.

Z mięknącej wolno kościanej płytki uchodził jakiś bladopurpurowy płyn, który rozlewał się po dnie naczynia, ale trochę dziwnie, całkiem niczym rozumna istota badająca swoje nowe więzienie. Bo w gruncie rzeczy tak właśnie było...

* * *

Conway zdawał w gabinecie O'Mary raport z przypadku EPLH. Ogólnie spotykał się z uznaniem, ale wyrażanym na sposób naczelnego psychologa, którego komplementy trudno było odróżnić od obelg. Conway zaczynał już pojmować, że w tym gabinecie na życzliwe traktowanie można było liczyć jedynie wówczas, gdy przychodziło się w roli pacjenta. Na razie gospodarz zasypywał go pytaniami.

— ...inteligentna ameboidalna forma życia, kolonia mikroskopijnych, przypominających pod pewnymi względami wirusy komórek to najlepszy możliwy lekarz — mówił w odpowiedzi na kolejną indagację. — Żyjąc w ciele pacjenta, ma wszystkie potrzebne dane, by reagować natychmiast od środka na każdy objaw chorobowy albo uraz. Istocie, która panicznie boi się śmierci, takie rozwiązanie musiało się wydać naprawdę idealne. I tak też zresztą było, ponieważ ostatnie kłopoty nie wynikły z winy lekarza. Chodziło o ignorancję pacjenta w kwestii własnej fizjologii. Myślę, że było tak: pacjent przyjął leki odmładzające, nie czekając na starość ani nawet na wiek średni. Zrobił to za wcześnie, a na dodatek sporo zaniedbał. Musiał też ostatnio dużo pracować albo zamartwiać się czymś, dość że przy osłabieniu nabawił się tej choroby skóry, o której wiemy. Patologia mówi, że to chyba dość pospolita sprawa u tego gatunku i że zapewne zwykle wystarcza proste, operacyjne leczenie. Jednak kuracja odmładzająca upośledziła pamięć pacjenta. Nie wiedział, co mu jest, a skoro on tego nie wiedział, to lekarz tym bardziej. A mimo to próbował go leczyć. Widać kieruje się zasadą „utrzymać status quo za wszelką cenę”. Na próbę usunięcia chorej tkanki, co byłoby równie naturalne, jak wypadanie włosów czy zrzucenie skóry przez gada, zareagował protestem. Uniemożliwił interwencję tym bardziej, że jego nosiciel nie objaśnił mu, że tak trzeba. Tam, w środku, musiała wywiązać się zażarta walka pomiędzy naturalnymi mechanizmami obronnymi organizmu a jego lekarzem, którego zaczęła też w końcu potępiać świadomość pacjenta. Stąd lekarz uznał, że jeśli ma wykonywać swoje obowiązki, musi pozbawić nosiciela przytomności... Gdy podałem pierwszy zastrzyk, lekarz zaraz go zneutralizował jako obcą substancję wprowadzoną do ciała pacjenta. Co się działo, gdy zaczęliśmy operację, sam pan widział. Musieliśmy dopiero zagrozić zranieniem życiowo ważnych organów drewnianym kołkiem, aby lekarz podjął obronę pacjenta w tym jednym punkcie...

— Gdy poprosił pan o ten kołek, pomyślałem, że chyba teraz pana z kolei przyjdzie mi ubrać w kaftan — rzucił O'Mara.

Conway wyszczerzył radośnie zęby.

— Proponuję, aby EPLH ponownie przyjął swojego medyka. Teraz, gdy patologia przekazała mu już komplet danych o funkcjonowaniu jego nosiciela, będzie zapewne idealnym lekarzem, EPLH zaś jest wystarczająco rozgarnięty, aby zrozumieć przyczynę wcześniejszych kłopotów.

— A ja się martwiłem, do czego dojdzie, gdy odzyska przytomność — rzekł z uśmiechem psycholog. — Ale daje się lubić. Okazał się bardzo sympatyczny, wręcz czarujący.

— To dlatego, że jest dobrym psychologiem — stwierdził Conway, wstając, i skierował się do wyjścia. — Stara się zawsze być miły dla innych. . .

Zdążył zamknąć drzwi za sobą dość szybko, by nie słyszeć odpowiedzi.

Rozdział piąty

Z czasem pacjent EPLH, który nazywał się Lonvellin, znikł Conwayowi z oczu. Lekarz musiał się zająć całym szeregiem nowych obcych, więc i wspomnienie o dziwnym gościu przyblakło. Conway nie wiedział nawet, czy EPLH wrócił do swojej galaktyki, czy może nadal wędruje w tej i szuka okazji, żeby dokonać czegoś dobrego. Natłok zajęć nie pozwalał zresztą Conwayowi zajmować się podobnymi drobiazgami. Jednak sprawa nie miała się skończyć tak prosto...

Ścisłej rzecz biorąc, Lonvellin nie zamierzał na dobre rozstać się z Conwayem.

— Co by pan powiedział na to, żeby wyrwać się ze Szpitala na kilka miesięcy? — spytał O'Mara, gdy Conway stawiał się, pilnie wezwany, w gabinecie naczelnego psychologa. — Nie miałby pan ochoty na urlop? No, prawie urlop...

Conway nie na żarty się przeraził. Miał ważne powody, aby przez kilka najbliższych miesięcy nie opuszczać Szpitala na zbyt długo.

— No... — zaczął, nie wiedząc, jak skończyć.

Psycholog uniósł głowę i spojrzał na Conwaya spokojnymi szarymi oczami, za którymi krył się sprawny analityczny umysł pozwalający Kontrolerowi na niemal telepatyczne badanie pacjentów.

— Podziękowania nie należą się mnie — powiedział. — Jeśli ktoś zabiera się do leczenia wpływowych pacjentów, powinien się czegoś takiego spodziewać. — Przerwał na chwilę, po czym przeszedł do rzeczy: — Sprawa jest ważka, ale w gruncie rzeczy rutynowa. Normalnie skierowalibyśmy tam Diagnostyka, ale wszystkim rządzi ten EPLH, Lonvellin. Zażądał wsparcia Korpusu Kontroli oraz pomocy Szpitala, konkretnie pańskiej. Ma się pan zająć całą medyczną stroną operacji. Przypuszczam, że potrzebują tam nie tyle geniusza, ile kogoś, kto umie spojrzeć na sprawy konkretnie...

— Nie przecenia mnie pan przypadkiem, sir? — spytał Conway.

— Mówiłem już panu, że jestem tu od chłodzenia głów, nie odwrotnie — odparł z uśmiechem O'Mara. — A oto, co wiemy o tej sprawie... — Podał Conwayowi papiery, które dopiero co przeczytał, i wstał z fotela. — Zapozna się pan z tym na pokładzie statku. Proszę się stawić o dwudziestej pierwszej trzydzieści przy luku szesnastym, statek nazywa się Vespasian. Ma pan zatem chwilę na uporządkowanie swoich spraw. I proszę nie patrzeć na mnie, jakbym wymordował

panu całą rodzinę. Bardzo możliwe, że ona na pana poczeka. A jeśli nie, to w naszym szpitalu jest jeszcze dwieście siedemnaście innych kobiet klasy DBDG, za którymi może pan zacząć ganiać. Do widzenia, doktorze. I powodzenia. . .

Za drzwiami gabinetu O'Mary Conway zastanowił się poważnie, jak ma niby uporządkować wszystkie swoje sprawy w Szpitalu ledwie w sześć godzin? Za dziesięć minut miał wstępne spotkanie ze stażystami i było już za późno, żeby znaleźć zastępstwo. Zajmie mu to trzy ze wspomnianych sześciu godzin, jeśli zaś będzie miał pecha, to nawet cztery. . . A dzień wyglądał na pechowy. Potem jeszcze godzina na przygotowanie zaleceń co do leczenia pacjentów w poważniejszym stanie, których miał akurat pod opieką. No i obiad. Może się uda. . .

Pospieszył na sto ósmy poziom, do śluzy numer siedem.

Przybył akurat na czas. Wewnętrzne drzwi śluzy właśnie się otwierały. Łapiąc oddech, przyjrzał się wychodzącym stażystom. Najpierw minęli go dwaj Kelgianie, wielkie i porośnięte srebrzystym futrem gąsienice klasy DBLF. Za nimi pojawił się kolczasty PVSJ z Illensy w skafandrze wypełnionym mgiełką opartej na chlorze mieszkanki oddechowej, dalej bulgotał skrzelodyszny ośmiornicowaty Kreppelianin, klasyfikacja AMSL. Potem pokazało się kolejno pięciu AACP, których dalecy przodkowie byli obdarzonymi zdolnością ruchu warzywami. Nadal nie poruszali się zbyt szybko, za to nie potrzebowali innych strojów ochronnych, jak tylko lekkie kombinezony wypełnione dwutlenkiem węgla. I jeszcze jeden Kelgianin. . .

Gdy wszyscy byli już w środku, Conway uznał, że pora przełamać pierwsze lody, i zagał całkiem banalnie:

— Nikogo nie brakuje?

Odruchowo odpowiedzieli mu chórem, od czego zawył przesterowany auto-translator, a Conway westchnął, przedstawił się i przywitał nowych kolegów. Dopiero pod koniec krótkiej przemowy przypomniał uprzejmie, że ponieważ auto-translator działa tak, a nie inaczej, nie należy go przeciążać i wskazane jest, aby tylko jedna osoba mówiła naraz. . .

Na własnych światach wszyscy oni byli kimś, przynajmniej w branży medycznej. Niemniej tutaj, w Szpitalu Kosmicznym Sektora Dwunastego, stawali się zwykłymi nieopierzeńcami, co niektórych z początku zaskakiwało, stąd zawsze przywiązywano wielką wagę do taktownego traktowania przybywających stażystów. Później, gdy nabierali obycia, zwykle śmiali się z różnych nieporozumień i własnych gaf tak samo jak wszyscy.

— Proponuję zacząć nasz obchód od izby przyjęć — ciągnął Conway. — Oprócz tego, że przyjmujemy tu pacjentów, w razie potrzeby zaczynamy ich wstępne leczenie. Zobaczymy, kogo tam spotkamy. Jeśli nie będzie konieczne umieszczenie pacjenta w specyficznym środowisku, które wymagałoby od nas nowych ubiorów ochronnych, ani jego stan nie okaże się krytyczny, udamy się następnie wraz z nim do gabinetu, gdzie odbywa się badanie ogólne. Jeśli ktoś

będzie miał jakiegokolwiek pytania, proszę się nie krępować. Do izby przyjęć pójdziemy korytarzem, który może być zatłoczony. W naszym szpitalu obowiązują dość złożone reguły pierwszeństwa młodszego i starszego personelu medycznego. Z czasem je poznacie, jednak na razie wystarczy przestrzegać jednej zasady: jeśli nadchodząca istota jest większa od was, schodźcie jej z drogi.

Już miał dodać, że nikt tutaj nie rozdeptuje z rozmysłem mniejszych kolegów, ale ugryzł się w język. Nie wszyscy mieli rozwinięte poczucie humoru i niewykluczone, że zrozumieliby uwagę dosłownie, z czego mogłyby wynikać niepotrzebne komplikacje. Zakończył więc prosto:

— A teraz proszę za mną.

Piątkę powolnych AACP ustawił zaraz za sobą, aby nadawali tempo marszu. Za nimi szli niewiele szybsi Kelgianie, a pochód zamykał chlorodyszny Kreppelianin. Nieustanny chlupot dobiegający ze skafandra ośmiornicowatego informował, że jego czterdziestopięciometrowy ogon, chociaż zwinięty, miewa się dobrze.

W rozciągniętej kolumnie rozmowy nie miały sensu i pierwszy etap drogi minął im w milczeniu. Musieli pokonać trzy rampy i kilkaset metrów korytarzy, ale napotkali przy tym jedynie samotnego Nidiańczyka z opaską dwuręcznego stażysty na ramieniu. Nidiańczycy mieli zwykle około metra dwudziestu wzrostu, zatem nikomu w żadnym razie nie groziło zdeptanie.

W końcu dotarli do śluzy wiodącej na oddział skrzelodysznych i Conway znowu musiał się zająć swoją grupą. Kelgianie nałożyli lekkie kombinezony, AACP oznajmili, że jako istoty z roślinnym metabolizmem mogą bez żadnego problemu przebywać przez długi czas pod wodą. Illensańczyk miał już na sobie porządną strój chroniący go zarówno przed zabójczym tlenem, jak i nie mniej groźną wodą i tylko Kreppelianin sprawił przewodnikowi nieco kłopotów właśnie dlatego, że należał do rasy żyjącej zwykle pod wodą. Miał wielką ochotę zdjąć swój kombinezon i rozprostować osiem zdrętwiałych ramion, ale Conway przekonał go argumentem, że zabawią w zbiorniku mniej niż kwadrans.

Za śluzą rozpościerał się cienisty basen dla klasy AUGL. Głęboki na sześćdziesiąt i szeroki na sto pięćdziesiąt metrów wypełniony był zielonkawą wodą, w której podopieczni Conwaya zaczęli się zachowywać niczym stado spłoszonego bydła. Wszyscy, z wyjątkiem Kreppelianina, stracili w parę minut orientację i żeby przeprowadzić ich do drugiej śluzy, Conway musiał ich co chwila opływać, aby gestami i krzykiem wskazywać właściwy kierunek, aż w klimatyzowanym skafandrze zrobiło mu się gorąco niczym w łaźni tureckiej. Kilka razy stracił nawet panowanie nad sobą i posłał głośno podopiecznych całkiem gdzie indziej niż do śluzy.

Na dodatek w pewnej chwili gdzieś z głębi wyłonił się jeden z pacjentów AUGL, długa na blisko dwanaście metrów istota z planety Chalderescol II przypominająca opancerzoną rybę. Podpłynęła tak blisko, że czwórka rozumnych marchewek omal nie wpadła w panikę. „A, studenci”, mruknął AUGL i zniknął

w mroku. Było to zachowanie typowe dla tak aspołecznych pacjentów jak Chalderoscolanie, ale Conway i tak się zdenerwował.

Na drugą stronę dotarli po kwadransie, który Conwayowi wydawał się całą godziną. Gdy zebrali się już na zwykłym korytarzu, lekarz powiedział:

— Dziewięćdziesiąt metrów dalej znajduje się śluza prowadząca do części izby przyjęć dla tlenodysznych, skąd najprościej będzie nam obserwować, co się tam dzieje. Ci z was, którzy włożyli skafandry tylko dla ochrony przed wodą, mogą już je zdjąć, resztę proszę od razu za mną. . .

Zastanowił się, czy nie powinien przeprosić, że tak nakrzyczał na podopiecznych, ale wcześniej, pod sam koniec drogi, usłyszał, jak Kreppelianin mówi do jednego z AACP:

— . . . nasze pełne jest przegrzanej pary, ale trzeba zrobić coś naprawdę paskudnego, żeby tam trafić.

— Nasze piekło też jest gorące — odparł AACP. — Ale całkiem suche. . .

Nie powiedział więc nic. Widać praktykanci nie wzięli sobie jego rugania aż tak bardzo do serca. . .

Rozdział szósty

Przez przezroczystą ścianę galerii ciągnącej się nad izbą przyjęć widać było wielkie, pogrążone w półmroku pomieszczenie z trzema stanowiskami kontrolnymi. Tylko jedno z nich było zajęte, przez Nidiańczyka, niewysokiego humanoida z siedmiopalczystymi dłońmi i ciałem porośniętym gęstym futrem o czerwonej barwie. Układ światełek na pulpicie informował, że dyżurny nawiązał właśnie łączność ze zbliżającym się do Szpitala statkiem.

— Słuchajcie. . . — szepnął Conway.

— Proszę się przedstawić — szczechnął staccato czerwony misiaczek, a autotranslator Conwaya przetłumaczył to na beznamienne wypowiedziane angielskie zdanie. Autotranslatory pozostałych widzów przekazały to samo po kelgiańsku, illensańsku i w pozostałych używanych przez grupę językach. — Pacjent, gość czy personel? Jaki gatunek?

— Na pokładzie jest pilot i jeden pasażer. Pacjent — nadeszła odpowiedź. — Obaj ludzie.

— Proszę o podanie klasyfikacji fizjologicznej albo włączenie przekazu na wizji — powiedział dyżurny i całkiem po ludzku mrugnął ku widzom na galerii. — Wszystkie inteligentne rasy nazywają siebie ludźmi, a innych mają za obcych. Ja zaś muszę wiedzieć, na jakiego pacjenta się przygotować. . .

Conway ściszył głośnik przekazujący rozmowę pomiędzy Nidiańczykiem a statkiem i powiedział:

— Ta chwila jest równie dobra jak każda inna, aby wyjaśnić, na czym opiera się stosowany przez nas fizjologiczny system klasyfikacji gatunków. Zarysuję tylko temat, bo niebawem czekają was zajęcia z tej dziedziny. — Odchrząknął i zaczął: — W czteroliterowym systemie pierwsza litera oznacza stopień fizycznego zaawansowania ewolucyjnego, druga określa rodzaj i liczbę kończyn oraz organów zmysłów, a kombinacja pozostałych dwóch: typ metabolizmu, właściwe dla danej istoty ciśnienie atmosferyczne oraz stosowną dla niej siłę ciężenia, co z kolei informuje o jej masie i rodzaju ewentualnej zewnętrznej powłoki ochronnej. Na wypadek, gdyby któryś z was wziął sprawę za bardzo do siebie, nadmieniam, że stopień fizycznego zaawansowania ewolucyjnego nie ma nic wspólnego z poziomem inteligencji. . .

Potem wyjaśnił, że A, B i C jako pierwsze litery oznaczają skrzelodysznych. Na wielu planetach życie zaczęło się w wodzie i dotarło do etapu rozumnego bez opuszczania tego środowiska. D do F oznaczały ciepłokrwistych tlenodysznych i do tej grupy należała większość inteligentnych istot galaktyki. Klasy od G do K też były tlenodyszne, ale miały cechy owadów. L oraz M opisywały skrzydlate istoty przystosowane do niewielkiej siły grawitacji.

Chlorodyszne formy życia opisywano literami O i P, następne zaś odnosiły się do istot o wiele rzadziej spotykanych. Były wśród nich takie, które potrzebowały do życia twardego promieniowania, istoty zimnokrwiste albo krystaliczne, a także zmiennokształtne. Te, którym dodatkowe zmysły zastępowały kończyny, otrzymywały zawsze oznaczenie V, i to niezależnie od wielkości i pozostałych cech budowy.

Conway przyznał, że system ów nie jest doskonały, ale wynika to z braku wyobraźni jego autorów. Dobrym przykładem były jedne z istot obecnych akurat na galerii: obdarzone roślinnym typem metabolizmu AACP. Normalnie pierwsza litera A oznaczała skrzelodysznych, bo twórcy systemu nie sądzili, by istoty rozumne mogły mieć tak prostą ewolucyjnie postać. Niemniej rośliny były niewątpliwie ewolucyjnie wcześniejsze niż ryby.

— ...zawsze kładziemy wielki nacisk na szybkie i trafne rozpoznanie klasy przybywających pacjentów, którzy często są w takim stanie, że nie mogą udzielić o sobie żadnych informacji. Z czasem powinniście osiągnąć taką biegłość w ich rozpoznawaniu, by określić prawidłowo typ osobnika ledwo po trzysekundowym spojrzeniu na jego stopę albo grzbiet. Na razie jednak popatrzcie, co tam się dzieje — dodał, wskazując na izbę przyjęć.

Nad biurkiem dyżurnego rozjarzyły się trzy ekrany i wyświetlacze podające dodatkowe informacje o przekazywanych obrazach. Pierwszy ukazywał wnętrze luku numer trzy, gdzie czekało już dwóch ludzkich pielęgniarzy z wielkimi noszami. Mieli ciężkie kombinezony robocze z modułami antygravitacyjnymi, w czym nie było akurat nic dziwnego. Luk numer trzy i przyległe do niego pomieszczenia zostały przeznaczone dla istot żyjących na planetach o ciężeniu trzech g i stosownym do tego ciśnieniu atmosferycznym. Na drugim ekranie było widać dokujący statek, a trzeci przekazywał obraz z pokładu tej jednostki.

— Jak widzicie, jest to ciężka i przysadzista istota wyposażona w sześć kończyn, które pełnią zarazem funkcję rąk i nóg. Ma grubą i twardą dziobatą skórę. W niektórych miejscach widać, że pokryta jest ona brunatną, złuszczejącą się przy ruchach pacjenta substancją. Zwróćcie na nią szczególną uwagę i pomyślcie, czego pacjentowi brakuje. Odczyty informują, że jest stałocielny, tlenodyszny i żyje w środowisku o ciężeniu dochodzącym do czterech g. Czy któryś z was spróbowałby go zaklasyfikować?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— FROL, sir — powiedział w końcu Kreppelianin, ruszając macką.

— Blisko — stwierdził z uznaniem Conway — niemniej wiem skądinał, że ta istota żyje w atmosferze gęstej jak zupa. Podobieństwo do zupy jest tym bliższe, że w dolnych partiach atmosfery jej rodzinnej planety żyją całe chmary małych latających organizmów, które służą naszemu pacjentowi za pożywienie. Umknęło ci, że widoczna tu istota nie ma ust, pokarm zaś przyjmuje bezpośrednio poprzez pory skóry. Podczas podróży kosmicznych musi zatem spryskiwać się mieszanką pokarmową, i to jest właśnie ta krucha brunatna powłoka. . .

— FROB — poprawił się szybko Kreppelianin.

— Właśnie.

Conway zastanowił się, czy AMSL jest nieco bystrzejszy niż pozostali, czy może tylko mniej nieśmiały. Zanotował sobie w pamięci, żeby przyjrzeć się lepiej tej grupie stażystów. Chętnie przyjąłby nowego, zdolnego asystenta.

Conway pomachał dyżurnemu na do widzenia i zebrawszy swoje stadko, ruszył pięć poziomów niżej, na oddział dla FGLI. Potem odwiedzili jeszcze inne oddziały, aż Conway uznał, że pora pokazać stażystom również inne działy Szpitala, które chociaż nie medyczne, umożliwiały funkcjonowanie całej maszyny oraz zapewniały pacjentom i personelowi warunki do życia.

W końcu poczuł się głodny i pokazał grupie, gdzie tu się jada.

AACP nie przyswajali pokarmów jak inni, tylko zasadzali się na czas snu w specjalnie przygotowanej glebie, z której czerpali składniki odżywcze. Dopilnowawszy, żeby znaleźli się we właściwym miejscu, skierował PVSJ do mrocznej i hałaśliwej sali, gdzie stołowali się chlorodyszni, i zostało mu tylko pożywić siebie, dwóch osobników klasy DBLF i jednego AMSL.

Największa, przeznaczona dla tlenodysznych jadalnia Szpitala mieściła się całkiem niedaleko. Conway usadził obu Kelgian wraz z innymi osobnikami ich gatunku, spojrzął tęsknie na rewir starszego personelu medycznego i pogonił zając się Kreppelianinem.

Przejście do stołówek dla istot wodnych wymagało piętnastominutowego spaceru najbardziej ruchliwymi korytarzami Szpitala, na których polatywały, pełzały, a czasem i chodziły istoty wszelkich możliwych kształtów. Conway został boleśnie potrącony przez słoniowatego Tralthńczyka i co rusz musiał manewrować, aby omijać kruchych LSVO. Kreppelianin zaś chwilami bał się po prostu ruszyć, jakby nagle znalazł się w składzie porcelany. Na dodatek bulgot dobiegający z jego skafandra wyraźnie się nasilił.

Conway próbował go trochę uspokoić, pytając o przebieg pracy zawodowej, ale niewiele z tego wynikło, gdy zaś skęcili za róg i z jednego z gabinetów wyłonił się stary znajomy, Prilicla. . . AMSL krzyknął coś nieartykułowanego i odskoczył jak oparzony, korzystając z wszystkich ośmiu kończyn, machnął kilkoma z nich, podcinając Conwayowi nogi, i cały zapłakany uciekł korytarzem.

— Co za. . . ! — warknął Conway, zbierając się z podłogi, lecz nie dokończył. Resztę komentarza wołał zatrzymać dla siebie.

— To moja wina, przestraszyłem go — powiedział Prilicla, podbiegając do Conwaya. — Nic się panu nie stało, doktorze?

— Przestraszyłeś go?

— Obawiam się, że tak — odparł pająkowaty tonem przeprosin. — Wyczułem u niego skrajne zaskoczenie połączone z głęboko zakorzenioną, neurotyczną ksenofobią. Jego reakcja była bliska paniki. Wciąż się boi, ale do pewnego stopnia panuje nad sobą. Na pewno nic panu nie jest, doktorze?

— Poza zranioną dumą wszystko w porządku — jęknął Conway, prostując grzbiet, i ruszył za Kreppelianinem, który prawie zniknął mu już z oczu.

Biegając przypominającym jakiś dziwny taniec slalomem, krzyczał co chwila „Przepraszam!” do przełożonych i „Z drogi” do stażystów oraz równych sobie. Pościg nie trwał długo, co jawnie dowiodło, że w warunkach lądowych dwie nogi sprawiają się o wiele lepiej niż osiem. Był już prawie obok AMSL, gdy stażysta sam zapędził się w pułapkę, skręcając w otwarte drzwi składu pościelowego. Conway zatrzymał się z poślizgiem przed nimi, wszedł do środka i zdyszany zamknął je za sobą.

— Dlaczego uciekałeś? — spytał najłagodniej, jak w tej sytuacji potrafił.

AMSL odpowiedział prawdziwym słowotokiem, który docierał do Conwaya odarty z emocjonalnych zabarwień, ale sama liczba wypowiedzianych słów świadczyła jasno, że Kreppelianin popadł w stan będący odpowiednikiem ludzkiej histerii. Prilicla jak zwykle miał rację. To musiał być przypadek neurotycznej ksenofobii.

No, to O'Mara ma robotę, pomyślał ponuro Conway.

Nawet przy olbrzymiej tolerancji i najwyższym wzajemnym szacunku w Szpitalu zdarzały się takie sytuacje. Te naprawdę niebezpieczne wynikały zwykle z ignorancji, braku zrozumienia albo i ksenofobii, która zaburzała jasność umysłu albo utrudniała właściwe wykonywanie obowiązków. A czasem jedno i drugie. Ziemiński lekarz, który cierpiał na nieświadomą arachnofobię, nie mógł przecież znieść spokojnie obecności cinrussańskiego pacjenta, a tym samym nie mógł też należycie leczyć. Gdyby zaś ktoś taki jak Prilicla trafił na ludzkiego pacjenta z arachnofobią...

Wykrywanie i usuwanie takich problemów było właśnie zadaniem naczelnego psychologa. Jeśli wszystkie terapeutyczne metody zawodziły, zapadała decyzja o odesłaniu kogoś takiego, zanim niechęć przerodzi się w otwarty konflikt. Conway nie miał pojęcia, jak O'Mara podejrze do przypadku wielkiego AMSL, który uciekł przed kruchym doktorem Prilicla.

Gdy Kreppelianin nieco się uspokoił, Conway uniósł dłoń, aby przykuć jego uwagę, i zaczął mówić:

— Rozumiem już, że doktor Prilicla przypomina zewnętrznie pewien gatunek małego wodnego drapieznika żyjącego w twoim świecie, a ty miałaś w młodości bardzo nieprzyjemne spotkanie z tymi stworzeniami. Jednak doktor Prilicla

nie jest tamtym drapieżnikiem, a podobieństwo ma jedynie charakter zewnętrzny. Nie jest dla ciebie niebezpieczny, już prędzej ty mógłbyś mu zrobić krzywdę nieostrożnym dotknięciem. Czy teraz, gdy wiesz to wszystko, nadal uciekałbyś, spotkawszy tę osobę?

— Nie wiem — jęknął AMSL. — Możliwe, że tak.

Conway westchnął i mimowolnie przypomniał sobie własne początki w Szpitalu. Przez kilka tygodni nie mógł się pozbyć upiornych snów. Co gorsza, świetnie wiedział, że te powracające co noc upiory nie były wytworami jego wyobraźni, ale odbiciem postaci spotykanych codziennie współpracowników.

Nigdy nie zdarzyło mu się uciekać przed żadną z tych istot, które zostały potem jego nauczycielami, kolegami albo i przyjaciółmi, jednak, jak przyznawał w duchu, nie wynikało to ze szczególnej odwagi, ale po prostu z tego, że ogarniał go taki paniczny strach, iż nogi wrastały mu w ziemię...

— Myślę, że skoro tak, nie obejdzie się bez pomocy psychiatry — powiedział łagodnie do Kreppelianina. — Naczelnny psycholog Szpitala na pewno coś wymyśli. Jednak doradzałbym nie zwracać się z tym do niego od razu. Proponuję poczekać z tydzień, zaaklimatyzować się nieco i dopiero potem zastukać do jego drzwi. Zapewniam cię, że doceni ten twój wysiłek.

I mniejsze będzie prawdopodobieństwo, że odeśle cię stąd jako nie nadającego się do pracy w Szpitalu, dodał w myślach Conway.

Kreppelianin opuścił w końcu składzik, gdy usłyszał, że Prilicla to jedyny GLNO w całym Szpitalu i zapewne nie zdarzy się, aby spotkali się tego samego dnia po raz drugi. Dziesięć minut później AMSL siedział już w basenie stołówkowym, a Conway wyciągał nogi, aby też zdążyć coś przekąsić.

Rozdział siódmy

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wypatrzył doktora Mannona, który siedział przy wyjątkowo pustym stole w części dla starszego personelu medycznego. Mannon był Ziemianinem, niegdyś bezpośrednim przełożonym Conwaya, a obecnie starszym lekarzem z dużymi szansami na status Diagnostyka. Ostatnio dostał pozwolenie na zachowanie zawartości aż trzech taśm fizjologicznych — tralthańskiego specjalisty od mikrochirurgii i dwóch przygotowanych dla chirurgów żyjących przy niskiej grawitacji klas LSVO i MSYK. Mimo to wciąż zachowywał się w znacznej mierze jak człowiek. Męczył akurat sałatkę, a oczy zwrócił ku sufitowi stołówki, żeby nie widzieć, co je. Conway usiadł naprzeciwko niego i chrząknął na powitanie.

— Miałem dziś po południu dwie długie operacje, Tralthańczyk oraz LSVO — mruknął Mannon. — Wiesz, jak to jest. Za bardzo myślałem na ich sposób. Żeby chociaż ci skórkowani Tralthańczycy nie byli wegetarianami. Albo LSVO nie dostawali mdłości od wszystkiego, co przypomina karmę dla ptaków. A ty kim dzisiaj jesteś?

Conway pokręcił głową.

— Tylko sobą. Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zamówię stek?

— Ależ proszę. Tylko mi nie mów, co jesz.

— Ani mru-mru.

Conway aż za dobrze wiedział, jak to jest. „Podwójne widzenie” i poważne zaburzenia emocjonalne były nieuniknionymi konsekwencjami przyjęcia hipnotaśmy z zapisem fizjologii innego gatunku. Pamiętał, jak trzy miesiące wcześniej zakochał się beznadziejnie w jednej z wizytujących Szpital specjalistek z Melf IV. Melfianie należeli do klasy ELNT, mieli sześć nóg, byli dwudyszni i przypominali wielkie kraby. Conway niby o tym wiedział, ale i tak co rusz coś mu podszeptowało, jaki ta dziewczyna ma cudownie nakrapiany pancerz, i w ogóle skowronki mu w uszach śpiewały.

Hipnotaśmy były zatem wątpliwym ułatwieniem życia, chociaż z drugiej strony okazywały się konieczne, bo żaden lekarz nie zdołałby zapamiętać wszystkich informacji niezbędnych do leczenia pacjentów w tak wielogatunkowym szpitalu.

Otrzymywał je zatem każdorazowo z taśm edukacyjnych, na których przechowywano wiedzę fachową największych specjalistów od medycyny poszczególnych istot. I tak, jeśli ziemski lekarz miał leczyć Kelgianina, przyjmował zapis taśmy opisującej fizjologię DBLF, który usuwano po zakończeniu kuracji. Niemniej starsi lekarze, których obowiązki obejmowały również prowadzenie wykładów, często zatrzymywali te zapisy na dłużej i sporo za to na co dzień płacili.

Mogli się tylko pocieszać tym, że i tak mieli lepiej niż Diagnostycy.

Diagnostycy tworzyli elitę Szpitala. Rekrutowali się z osobników o stabilnych osobowościach, by móc trzymać w głowach wiele zapisów jednocześnie. Czasem nawet dziesięć. Tak przygotowani zajmowali się pracą badawczą w obrębie ksenomedycyny, stawiali diagnozy i ustalali tryb leczenia dopiero poznanych form życia. W Szpitalu krążyło powiedzenie, którego autorstwo przypisywano O'Marze, że tylko ktoś tak normalny, że aż szalony, może chcieć zostać Diagnostykiem.

Problem polegał na tym, że zapis edukacyjny obejmował nie tylko suche dane, ale i oddziaływał na pamięć oraz cechy osobowości osoby, która go przyjęła. W ten sposób Diagnostycy skazywali się dobrowolnie na coś przypominającego schizofrenię, i to niezwykle złożoną, rozbijającą ich umysł na wiele osobnych, mocno zróżnicowanych części. Niekiedy były one niespójne nawet pod względem stosowanej logiki!

Conway powrócił myślami do tu i teraz. Mannon znowu coś mówił.

— Śmieszna sprawa z tą sałatką — rzucił, ciągle patrząc w sufit. — Jej smak nie wadzi zbytnio żadnemu z moich alter ego, chociaż widok owszem. Dobrze, że tylko tyle. Chociaż jest też kilka stworzeń, które za nią przepadają. Dałyby się pokroić za jeden kęs. A skoro mowa o namiętnościach, jak ci się układa z Murchison?

Mannon zwykle zmieniał tematy tak szybko, jakby mu w głowie fiszki przeskakiwały.

— Może uda mi się znaleźć chwilę, żeby spotkać się z nią wieczorem — odparł ostrożnie Conway. — Powiedziałbym, że zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Aha.

Conway czym prędzej zmienił temat i wspomniał o swoim nowym skierowaniu. Mannon był najpocziwszym człowiekiem na świecie, ale potrafił czasem zadreczyć pytaniami i nie rozumiał, co w tym złego. Jakoś udało się jednak Conwayowi doprowadzić konwersację bezpiecznie do końca obiadu.

Gdy tylko wstali od stołu, podszedł do interkomu i zamienił po kilka zdań z lekarzami różnych gatunków, którzy mieli przejąć od niego stażystów, a potem spojrzął na zegarek. Do stawienia się na pokładzie *Vespasiana* została mu prawie godzina. Ruszył przed siebie krokiem nieco szybszym, niż przystało starszemu lekarzowi...

Napis nad wejściem głosił: „Strefa rekreacyjna dla DBDG, DBLF, ELNT, GKNM oraz FGLF. Conway wszedł, zamienił swój biały strój na szorty i zaczął szukać Murchison.

Zmyślne oświetlenie oraz inspirujący sztuczny krajobraz sprawiały, że pomieszczenie rekreacyjne wydawało się o wiele obszerniejsze, niż było. Przedstawiono w nim małą tropikalną plażę otoczoną klifami i morzem. Fale ciągnęły się aż po osłonięty lekką mgiełką horyzont. Niebo było błękitne, bez jednej chmurki, gdyż jak powiedział kiedyś Conwayowi technik z obsługi, obłoki były zbyt trudne do odtworzenia. Woda mieniła się ciemnym błękitem, który miejscami przechodził w turkus. Fale załamywały się na złocistym piasku lekko pochyłej plaży, która była niemal zbyt gorąca, aby chodzić po niej boso. Tylko sztuczne słońce, jak na gust Conwaya trochę za bardzo czerwone, oraz niezemska roślinność wokół plaży i na klifach sprawiały, że złudzenie ziemskości tego miejsca nie było pełne.

Niemniej ten zakątek stworzono nie tylko dla Ziemi. Inne rasy też oczekiwały chociaż jednego swojskiego akcentu, a przestrzeń Szpitala była zbyt cenna, aby ją trwonić. Oczekiwano zatem, że ci, którzy tu razem pracują, nauczą się też razem wypoczywać.

Najciekawsze jednak było to, co w ogóle nie rzucało się w oczy. W całej strefie rekreacyjnej utrzymywano ciężenie równe połowie g, dzięki czemu zmęczeni mogli poczuć tu większą ulgę, a pozostałym jeszcze bardziej przybywało sił. I potem mają tych sił aż za dużo, pomyślał kwaśno Conway, gdy załamująca się fala obmyła mu nogi aż do kolan. Ruch wody w zatoce nie był wywoływany sztucznie, ale zależał wyłącznie od liczby, rozmiarów i entuzjazmu istot, które właśnie zażywały w niej kąpieli.

Na jednym z klifów widniał szereg trampolin, do których prowadziły ukryte w stoku tunele. Conway wspiął się na najwyższą i z wysokości piętnastu metrów spróbował wypatrzeć odzianą w biały kostium plażowy kobietę DBDG, czyli Murchison.

Nie było jej w restauracji na przeciwległym szczycie ani na przylegających do plaży płyciznach czy w głębszej wodzie poniżej trampolin. Na piasku wylegiwała się wprawdzie cała ciżba ciał — wielkich, małych, futrzastych i całkiem bezwłosych — jednak Ziemiaków zawsze było łatwo odróżnić w tym towarzystwie, byli bowiem jedynym gatunkiem inteligentnym, który ciągle nie potrafił przełamać tabu nagości. Wystarczyło zatem zobaczyć na tej plaży kogokolwiek ubranego, nieważne jak dziwnie, a można było mieć pewność, że to Ziemiak.

Nagle Conwayowi mignęło coś białego za dwiema zielonymi i jedną żółtą postacią. To mogła być Murchison. Czym prędzej zszedł na dół.

Gdy zbliżył się do gromadki słoczonej wkoło dziewczyny, dwóch stojących dotąd obok niej Kontrolerów i jeden internista z osiemdziesiątego poziomu oddalili się niechętnie.

— Cześć, przepraszam za spóźnienie — powiedział Conway głosem, który ku jego niezadowoleniu przybrał dziwnie piskliwą barwę.

Murchison osłoniła oczy i spojrzała na niego.

— Sama właśnie przyszłam — odparła z uśmiechem. — Dlaczego się nie położyysz?

Conway opadł na piasek, ale wsparł się na łokciu i wpatrzył się w dziewczynę.

Murchison cechowała tak niezwykła uroda, że żaden Ziemianin z personelu nie mógł traktować jej wyłącznie jako siły fachowej, a regularnie zyskiwana pod sztucznym słońcem opalenizna nadawała jej skórze ciemny odcień, który wspólnie kontrastował z bielą kostiumu. Sztuczny wietrzyk poruszał jej ciemnokasztanowymi włosami, oczy miała zamknięte, a usta lekko rozchylone. Oddychała powoli i głęboko jak osoba w pełni zrelaksowana albo śpiąca, a falowanie jej kostiumu sprawiało, że w Conwayu też coś zaczęło falować. Pomyślał, że gdyby była telepatką, to pewnie zerwałaby się zaraz z krzykiem i uciekła gdzie pieprz rośnie...

— Wyglądasz jak ktoś, kto ma ochotę ryknąć gardłowo i uderzyć się w męskie, wygolone piersi... — powiedziała, otworzywszy jedno oko.

— Wcale ich nie golę — zaprotestował Conway. — Po prostu jakoś nie porośłem. Ale chciałbym z tobą porozmawiać chwilę na osobności. Jest taka jedna sprawa...

— No dobra, w sumie wcale mnie to nie obchodzi — mruknęła. — Nie musisz się więc aż tak przejmować.

— Wcale się nie przejmuję, ale czy nie moglibyśmy chwilę pogadać gdzieś z dala od tej menażerii i... O, kurczę! — Szybko zakrył dłonią jej oczy i sam też zacisnął powieki.

Dwaj Tralthańczycy, obaj mniej więcej dwunastoletni, przebiegli obok, wzbijając słoniowymi nogami całe fontanny piasku, który opadł na wszystko w promieniu pięćdziesięciu metrów. Niewielkie ciężenie pozwalało powolnym normalnie FGLI brykać niczym koziołki, a i piasek opadał w tych warunkach o wiele dłużej. Gdy Conway był pewien, że nic już nie wisi w powietrzu, odsunął dłoń z oczu Murchison, ale nie do końca.

Z wahaniem, trochę niezgrabnie, przesunął ją na miękki policzek i niżej, na łuk żuchwy, po czym delikatnie musnął palcami zaplątane za uchem loki. Poczuł, że dziewczyna zeszywniała, ale po chwili znów się odprężyła.

— Sama widzisz — stwierdził, czując suchość w ustach. — Tutaj co chwila ktoś próbuje nas zasypać...

— Później będziemy sami — zaśmiała się Murchison. — Gdy mnie odprowadzisz.

— I znowu będzie jak ostatnio! — mruknął Conway z niechęcią, — Ledwie przemkniemy przez twój próg, po cichu oczywiście, żeby nie obudzić twojej współlokalki, która wstaje wcześniej do pracy, pojawi się ten elektroniczny

cymbał... — Conway zaczął ze złością naśladować głos robota: — Zauważam, że jesteście dwiema istotami DBDG, co więcej, zauważam też, że jesteście przeciwnej płci, a przez ostatnie dwie minuty czterdzieści osiem sekund pozostawaliście w bardzo bliskim kontakcie. W tych okolicznościach muszę stosownie do mych instrukcji przypomnieć wam trzeci paragraf punkt dwudziesty pierwszy regulaminu przyjmowania gości w Hotelu Pielęgniarek DBDG...

Murchison zaniósła się śmiechem.

— Przykro mi, to musiało być dla ciebie nad wyraz frustrujące.

Conway skrzywił się w duchu na takie współczucie poprzedzone serdecznym chichotem, ale pochylił się nad dziewczyną i ujął ją za ramię.

— Było i jest frustrujące. Ale muszę z tobą porozmawiać, a nie będę miał czasu, żeby cię dziś odprowadzić. Jednak nie chcę rozmawiać tutaj, bo jak przychodzi co do czego, zawsze zmykasz do wody. A ja mam kilka pytań i bardzo chciałbym usłyszeć nie bulgot, lecz normalne odpowiedzi. Ile można żyć samą przyjaźnią...?

Murchison pokręciła głową, zdjęła jego dłoń ze swojego ramienia i ścisnęła ją.

— Popływajmy! — rzuciła i chwilę później gonił już za nią do wody, zastanawiając się, czy nie jest trochę telepatką.

Przy sile ciężenia równej pół g pływanie było niezwykłym doświadczeniem. Fale wyrastały wysokie i strome, a każde chłapięcie unosiło całą masę kropel, które zdawały się na długą chwilę zastygać w powietrzu, mieniać się czerwono i bursztynowo w blasku słońca. Nieudany skok cięższej istoty w rodzaju FGLI mógł spowodować niemalże sztorm. Conway gnał za Murchison przez wzburzone na płyciźnie fale, gdy nagle odezwał się donośnie głośnik na klifie: „Doktor Conway jest oczekiwany w luku numer szesnaście. Statek gotowy do odlotu...”

Wracali szybkim krokiem ku plaży, gdy Murchison odezwała się, jak na nią bardzo poważnym głosem:

— Nie wiedziałam, że odlatujesz. Przebiorę się tylko i odprowadzę cię.

Przed lukiem oczekiwał już oficer Korpusu Kontroli. Widząc, że Conway przybył w towarzystwie, oznajmił tylko, że start nastąpi za kwadrans, i taktownie zszedł im z oczu. Conway i Murchison przystanęli przed włazem statku. Dziewczyna spojrzała na niego, ale bez szczególnego wyrazu w oczach. Wyglądała jak zwykle pięknie i kusząco. Conway zaczął jej opowiadać, jak ważne jest przydzielone mu zadanie, chociaż wcale nie o tym chciał rozmawiać. Wyrzucał z siebie nerwowo zdania, aż usłyszał, że oficer wraca. Przyciągnął do siebie Murchison i pocałował.

Nie potrafiłby nawet powiedzieć, czy oddała pocałunek. Wszystko działo się zbyt szybko.

— Nie będzie mnie przez jakieś trzy miesiące — powiedział przepraszająco, a po chwili wymuszenie lekkim tonem dodał: — Ale rano nie będzie mi wcale przykro.

Rozdział ósmy

Oficer z kaduceuszem na mundurze, major Stillman, pokazał Conwayowi jego kabinę. Wprawdzie mówił cicho i uprzejmie, ale Conway odniósł wrażenie, że tego człowieka nikt nigdy nie zdołałby onieśmielić. Dodał, że kapitan z chęcią powita Conwaya w sterówce zaraz po pierwszym skoku.

Nieco później Conway rzeczywiście spotkał pułkownika Williamsona, kapitana statku, który udzielił mu zgody na swobodne poruszanie się po wszystkich pokładach. Jak na rządową jednostkę był to dość rzadki gest i Conway poczuł się wyróżniony, szybko jednak, chociaż nikt nie powiedział mu złego słowa, poczuł się w sterówce nieswojo. Ciągle wchodził komuś w drogę. Wkrótce zgubił się dwa razy na okrętowych korytarzach. Należący do Korpusu Kontroli ciężki krążownik Vespasian był o wiele większy, niż Conway początkowo sądził. Po oprowadzeniu przez przyjaznego Kontrolera o wiecznie nieruchomej twarzy uznał, że lepiej zrobi, jeśli spędzi podróż w kabinie. Należało zapoznać się ze szczegółami nowego zadania.

Pułkownik Williamson przekazał mu kopie dokładniejszych i bardziej aktualnych raportów uzyskanych kanałami Korpusu Kontroli, Conway zaczął jednak lekturę od tego, co otrzymał od O'Mary.

Gdy Lonvellinga dopadła niespodziewana choroba, udawał się on w praktycznie niezbadane rejony Małego Obłoku Magellana, na planetę, o której słyszał sporo niesympatycznych pogłosek. Po wyleczeniu i opuszczeniu Szpitala wyruszył w dalszą drogę, a po kilku tygodniach skontaktował się z Korpusem Kontroli. Utrzymywał, że to, z czym się zetknął na tej planecie, jest, zarówno socjologicznie, jak i medycznie rzecz biorąc, czystym barbarzyństwem. Zamierzał zająć się szeregiem chorób społecznych trapiących mieszkańców planety, jednak wcześniej chciał zasięgnąć paru porad medycznych. Pytał też, czy możliwe byłoby przysłanie kilku istot DBDG dla bezpośrednich kontaktów z tubylcami, którzy byli tego samego typu fizjologicznego i odnosili się wrogo do wszystkich obcych, co bardzo utrudniało Lonvellingowi pracę.

Dziwne było już to, że ktoś tak doświadczony w kwestiach społecznych jak Lonvelling poprosił o pomoc. Jednak sprawy układały się tak źle, że zajęty rozwią-

zywaniem najbardziej palących, codziennych problemów były pacjent Conwaya nie miał już czasu na nic więcej.

Jak przekazał w raporcie, najpierw przez dłuższy czas obserwował planetę z orbity i monitorował za pomocą swojego autotranslatora transmisje radiowe. Ustalił, że w dole jest jeden czynny port kosmiczny, chociaż poziom rozwoju technologicznego był tu zdumiewająco niski. Gdy zebrał już wszystkie konieczne jego zdaniem informacje, zaczął się rozglądać za stosownym miejscem do lądowania.

Z obserwacji Lonvellina wynikało, że na owej planecie (przez mieszkańców zwanej Etlą) była niegdyś dobrze prosperująca kolonia, która podupadła z przyczyn ekonomicznych i odtąd utrzymywała jedynie sporadyczne kontakty z innymi ośrodkami. Jako że nie trwała w całkowitej izolacji, można było domniemywać, że spadający nagle z nieba obcy nie będzie dla Etlan całkiem niezwykły i skłonni będą mu zaufać, mimo że jego wygląd mógł im się wydać nieco przerażający. Powinni się już oswoić z różnorodnością obcych. Postanowił wystąpić przed nimi jako biedna, wystraszona i niezbyt rozgarnięta istota, której statek uległ awarii i która po takim przymusowym lądowaniu potrzebowała różnych dziwnych i raczej bezwartościowych materiałów do jego naprawy. Miały to być głównie rozmaite kawałki metalu i skał, aby Etlanie nie zorientowali się zbyt łatwo, o co naprawdę tu chodzi. Niemniej w zamian za te śmieci Lonvellin zamierzał przekazywać im pełnowartościowe prezenty, które zachęciłyby co bardziej przedsiębiorczych tubylców do ściślejszych kontaktów z obcym.

Lonvellin liczył się z tym, że na początku Etlanie będą próbowali bezlitośnie go wykorzystać, wcale mu to jednak nie przeszkadzało. Potem miało się to zmienić. Co więcej, nie zamierzał ograniczać się do podarunków, chciał także pomóc w różnych sprawach. Zamierzał w końcu ogłosić, że jego statek zepsuł się na dobre, i zamieszkać na planecie na stałe. Reszta była kwestią upływu czasu, którego miał pod dostatkiem.

Wylądował przy drodze łączącej dwa małe miasta i wkrótce napotkał pierwszego tubylca, który jednak, mimo ostrożności Lonvellina i pełnego wykorzystania przezeń możliwości autotranslatora, uciekł. Po kilku godzinach zaczęły spadać na statek i całą, gęsto zadrzewioną okolicę małe, prymitywne pociski z głowicami zawierającymi jakiś łatwopalny materiał. Niedługo potem las został rozmyślnie podpalony.

Nie znając przyczyn wrogości Etlan wobec obcych, nie wiedział, jak z nimi postępować, poprosił więc o pomoc podobnych do tubylców Ziemi. Rychło zjawiła się na miejscu cała ekipa kontaktowa Korpusu. Całkiem jawnie wylądowała na planecie.

Specjaliści dowiedzieli się, że Etlanie panicznie boją się obcych, gdyż uważają ich za nosicieli wszelakich chorób. Ciekawe jednak, że nie mieli nic przeciwko tym gościom, którzy należeli do ich rasy albo do gatunków zewnętrznie podobnych, od których o wiele łatwiej mogliby się czymś zarazić. Medycyna już dawno

ustaliła, że choroby jednej rasy rzadko są groźne dla innej. Każda istota inteligentna, która opanowała sztukę podróży kosmicznych, powinna o tym wiedzieć, pomyślał Conway. To była zawsze pierwsza lekcja wynikająca z kontaktu międzygwiazdnych kultur.

Mimo zmęczenia próbował coś z tego wszystkiego zrozumieć, sięgnął nawet do opracowań przygotowanych w ramach federacyjnego programu kolonizacji, gdy major Stillman zapewnił mu inne, mniej wyczerpujące zajęcie.

— Na miejscu będziemy za trzy dni, doktorze — powiedział. — Myślę zatem, że pora, aby przeszedł pan krótki kurs szpiegostwa. Ścisłej, powinien pan się nauczyć nosić etlańską odzież. Bardzo twarzowe przebranie, chociaż ja mam zbyt krzywe nogi na kilt. . .

Następnie Stillman wyjaśnił, że kontakt przebiegał dotąd dwutorowo. Jedna ekipa Kontrolerów wylądowała w całkowitej tajemnicy i pojawiła się między tubylcami, używając ich języka i strojów. Nic więcej nie było potrzebne, gdyż Ziemiańanie byli ludzaco podobni do Etlan. Większość później uzyskanych informacji zdobyto w ten właśnie sposób i żaden z agentów nie został zdemaskowany. Druga grupa zaś pojawiła się otwarcie jako obcy i porozumiewała się z Etlanami, używając autotranslatorów. Oficjalnym powodem ich wizyty była pogłoska o panującej na Etlu zarazie i chęć niesienia pomocy medycznej. Tubylcy gładko przełknęli tę historię i przyznali, że składano im już podobne propozycje, a co dziesięć lat przybywa do nich imperialny statek pełen najnowszych leków, lecz pomimo to zaraza robi coraz większe postępy. Kontrolerzy otrzymali od Etlan wolną rękę, chociaż dano im do zrozumienia, że najpewniej i tak są kolejną bandą dobrze wychowanych złodziei.

Oczywiście przybysze nie przyznali się, że wiedzą cokolwiek o lądowaniu Lonvellina, a gdy w końcu zeszło na ten temat, wypowiadali się dosyć neutralnie.

Sprawa nie należała zatem do nieskomplikowanych, a co gorsza, z meldunków zakonspirowanych agentów wynikało, że z każdym dniem komplikuje się coraz bardziej. Niemniej Lonvellin obmyślił genialnie prosty plan zaprowadzenia porządku na planecie. Gdy Conway usłyszał, na czym ten plan polega, pożałował nagle, że tak bardzo starał się wyleczyć Lonvellina. Siedziałby sobie dalej spokojnie w Szpitalu i nie musiałby teraz walczyć z buntem narastającym w okolicach okrężnicy. . .

Etla była siedliskiem chorób i cierpienia, a jej mieszkańcy hołdowali wielu przesądom, czego doskonałą ilustracją było to, jak potraktowali Lonvellina. Brakło im tolerancji wobec istot, które czymkolwiek się od nich różniły. To ostatnie wynikało oczywiście z poprzednich dwóch czynników, ale utrzymywało godny pożałowania stan. Lonvellin zaproponował, żeby przerwać błędne koło, doprowadzając do znaczącej poprawy stanu zdrowia tubylców. Na tyle znaczącej, aby nawet najbardziej nierozgarnięci twarogłowi musieli to zauważyć. I gdyby Kontrolerzy ogłosili, że cały czas stosowali się do instrukcji Lonvellina, nienawidzący obcych

Etlanie musieliby nieco spuścić z tonu. A to dałoby Lonvellinowi szansę pozyskania zaufania tubylców i realizacji pierwotnego planu odrodzenia miejscowej kultury.

Conway odparł, że chociaż nie jest ekspertem w takich sprawach, plan wydaje mu się bardzo dobry.

Stillman był ekspertem i miał podobne zdanie.

— Świetny plan — ocenił. — To znaczy będzie świetny, jeśli zadziała.

Dzień przed przybyciem do celu kapitan poprosił Conwaya do sterówki na, jak to określił, kilka minut rozmowy. Trwało właśnie zliczanie pozycji statku przed ostatnim skokiem. Znajdowali się stosunkowo blisko widocznego na ekranach układu podwójnego, w którym jedna z gwiazd była niestabilnym karłem.

Conway pomyślał zrazu, że to właśnie ten widok sprawił, iż kapitan poczuł się mały i samotny wobec ogromu wszechświata i zapragnął czyjegось towarzystwa. Dotychczasowe bariery pomiędzy nimi jakby znikły, a pułkownik Williamson odezwał się tonem, z którego Conway wywnioskował, że pod kapitańskim mundurem bije chyba normalne, ludzkie serce. Ponadto dowiedział się, że kapitan ma jeszcze inne ludzkie cechy.

— Wie pan, doktorze, nie chciałbym, żeby zabrzmiało to jak krytyka Lonvelli-
na — zaczął przeproszająco. — Szczególnie że był pańskim pacjentem i być może stał się pańskim przyjacielem. Nie chcę też, aby pan uznał, że po prostu narzekam, bo zaangażował do jednej operacji krążownik federacyjny i wiele mniejszych jednostek. Nie o to chodzi...

Williamson zdjął czapkę i wygładził kciukiem zagięcie otoku. Conway mógł przy tej okazji zobaczyć, że kapitan ma rzadkie, siwiejące włosy i czoło pokryte schowanymi normalnie pod czapką zmarszczkami. Po chwili nałożył z powrotem nakrycie głowy i znów był wzorowym wyższym oficerem.

— Mówiąc wprost, Lonvellin jest tylko utalentowanym amatorem. Tacy zawsze przydają roboty zawodowcom, bo za nic mają wszelkie planowanie i całą resztę. Jednak to akurat nie problem, a sytuacja, na którą zwrócił nam uwagę, naprawdę wymaga natychmiastowego działania. Ważne jest co innego. Korpus ma olbrzymie doświadczenie w kwestiach zwiadu, kolonizacji i reform, potrafimy też sobie radzić z patologiami społecznymi w rodzaju tych na Etli. Chociaż muszę przyznać, że w Korpusie nie ma nikogo, kto w pojedynkę mógłby dorównać Lonvellinowi, nie mamy też obecnie żadnego planu, który byłby lepszy od jego propozycji...

Conway zaczął się zastanawiać, czy kapitan przejdzie kiedyś do rzeczy, czy może tylko chciał sobie upuścić nieco pary i po prostu się wygadać. Niemniej dotąd Williamson nie zrobił na nim wrażenia kogoś skłonnego do narzekania.

— Myślę, że jako druga w hierarchii osoba odpowiedzialna za realizację planu Lonvelli-
na powinien pan wiedzieć, co o tym myślimy i jakie działania dotąd podjęliśmy. Na Etli pracuje w tej chwili prawie dwa razy więcej agentów, niż zakłada

Lonvellin. Następni są już w drodze. Bardzo szanuję naszego długowiecznego przyjaciela, ale uważam, że sytuacja jest znacznie bardziej złożona, niż on jest uprzejmy sądzić.

Conway zastanawiał się chwilę, po czym spytał:

— Zdziwiło mnie, dlaczego do operacji o charakterze głównie kulturowym skierowano tak wielką jednostkę jak *Vespasian*. Uważa pan, że możemy natrafić na jakieś nieznanne zagrożenie?

— Tak.

W tej chwili niesamowity podwójny układ gwiazdny zniknął z ekranów i na jego miejscu pojawił się normalny system z gwiazdą w typie Słońca. W odległości szesnastu milionów kilometrów wisiał cienki sierp planety będącej celem ich podróży. Zanim Conway zdążył zadać któreś z licznie lęgnących mu się pod czaszką pytań, kapitan poinformował go, że zakończyli ostatni skok, toteż odtąd, aż do lądowania, będzie bardzo zajęty, i uprzejmie wyprosił go ze sterówki, doradzając, aby Conway spróbował złapać jeszcze nieco snu przed końcem lotu.

Wróciwszy do kabiny, Conway rozebrał się niemal odruchowo, co w sumie było dobrym objawem. Tak jak Stillman, nosił przez kilka ostatnich dni etlańską bluzę, kilt z pasem z kieszeniami, beret i nieco teatralny płaszcz do pół łydki, który należało wkładać, wychodząc z domu. Obaj czuli się już w tych przebraniach na tyle swobodnie, że nie przeszkadzały im nawet podczas wspólnych obiadów w mesie. Teraz jednak Conway jakoś nie mógł się uspokoić — za dużo usłyszał od kapitana.

Williamson uważał, że sytuacja jest wystarczająco niebezpieczna, żeby uzasadniało to sprowadzenie w te okolice jednej z najcięższych jednostek Korpusu Kontroli. Dlaczego? Co mogło się stać źródłem zagrożenia?

Na pewno nie chodziło o militarne możliwości Etlan, którzy w najgorszym razie mogli jedynie urazić uczucia własne załogi krążownika. A to znaczyło, że niebezpieczeństwo miało nadejść z innej strony...

Nagle Conway zrozumiał, co tak bardzo zaniepokoiło go w przeczytanym wcześniej raporcie. Imperium...

Była o tym mowa w kilku miejscach, a nic o nim na razie nie wiedzano. Statki badawcze Korpusu nie trafiły dotąd na żadne jego ślady, co nie zdumiewało, gdyż zgodnie z planem w ten rejon Małego Obłoku Magellana wyprawy kartograficzne miały wyruszyć dopiero za pięćdziesiąt lat i gdyby nie pomysł Lonvellina, nikt wcześniej by tu nie zbłądził. Na razie można się było tylko domyślać, że Etlan to część owego Imperium, które przysyłało regularnie jakąś pomoc medyczną.

Niemniej zdaniem Conwaya pomoc owa pojawiała się rozpaczliwie rzadko. Sporo to mówiło o istotach odpowiedzialnych za jej wysyłkę. Najwidoczniej nie były zbyt zaawansowane w kwestiach medycznych, bo w przeciwnym razie produkowane przez nie leki wygaszałyby, chociaż na jakiś czas, nawiedzające Etlę epidemie. No i niemal na pewno były biedne. Za biedne, by przysyłać transporty

część. Conway nie zdziwiłby się, gdyby Imperium okazało się wspólnotą złożoną z jednego macierzystego świata i szeregu walczących o przetrwanie kolonii w rodzaju Etili. Jednak metropolia, która mimo wszystko wspiera podporządkowane sobie światy, nieważne, jak rzadko i czy skutecznie, nie powinna być w zasadzie dla nikogo groźna. Wręcz przeciwnie. . .

Kapitan Williamson po prostu, jak to on, przesadza, pomyślał Conway, kładąc się na koi.

Rozdział dziewiąty

Vespasian wylądował. Na głównym ekranie w centrali łączności Conway ujrzał ciągnącą się na osiemset metrów białą płytę popękanego betonu. Zarysy okolicznej roślinności i budynków obcej planety ginęły w drżącym od gorąca powietrzu. Tu i ówdzie poniewierały się śmieci i liście, a po przypominającym ziemskie niebie powoli płynęły obłoki. Poza krążownikiem na lądowisku była tylko jednostka kurierska Korpusu — stała w pobliżu nie używanych biur oddanych przez Etlan do użytku gości.

— Jak pan rozumie, doktorze, Lonvellin nie może opuścić swojego statku — powiedział stojący za Conwayem kapitan. — Ujawnienie, że współpracujemy, popsułoby nasze kontakty z tubylcami. Ale mamy łączność wizyjną. Przepraszam. . .

Coś szcześnie i Conway ujrzał sterówkę statku Lonvellina. Gospodarz był wyraźnie widoczny na pierwszym planie.

— Witaj, przyjacielu — rozległ się z głośnika donośny głos EPLH. — Miło mi cię znowu widzieć.

— Czuję się zaszczycony — odparł Conway. — Mam nadzieję, że zdrowie dopisuje?

Pytanie nie było czystą uprzejmością. Conway bardzo chciał wiedzieć, czy nie doszło znowu do „nieporozumień” na poziomie komórkowym pomiędzy Lonvellinem a jego osobistym lekarzem. Wcześniejszy wypadek wzbudził olbrzymie zainteresowanie w Szpitalu, gdzie wciąż jeszcze dyskutowano, czy należy amebowatego potraktować jak lekarza czy raczej jak pasożyta. . .

— Nic mi nie dolega, doktorze — odparł EPLH i zaraz przeszedł do rzeczy.

Conway czym prędzej przestał błędzić myślami w przeszłości i skupił się na jego słowach.

Na razie otrzymał tylko ogólne instrukcje. Miał się zająć koordynacją pracy zbierających dane medyków Korpusu, nie poprzestając tylko na tym, co wiązało się z jego specjalnością. Zagadnienia medyczne były na Etli tak ściśle powiązane z problemami społecznymi, że ich oddzielanie byłoby błędem. Co gorsza, w świetle ostatnich raportów sprawa komplikowała się coraz bardziej. Lonvellin miał nadzieję, że ktoś nawykły do pracy w wielorasowym środowisku Szpitala łatwiej dostrzeże w tym jakiś porządek i zdoła powiązać pozornie oderwane fakty.

I na pewno zrozumie, jak pilne to zadanie, i bez wahania weźmie się od razu do dzieła. . .

— . . . proszę także o dostarczenie mi danych osobowych Ziemiańca imieniem Clarke pracującego w obwodzie trzydziestym piątym, abym mógł właściwie ocenić napływające od niego informacje — zakończył Lonvelling na jednym oddechu.

Pułkownik Williamson zajął się aktami, a Stillman klepnął Conwaya po ramieniu i skinął głową, żeby poszedł za nim. Po dwudziestu minutach siedzieli już pod plandeką ciężarówki i opuszczali lądowisko. Conway miał na głowie zakrywający część twarzy i ucho bandaż, pod którym czuł się dość głupio.

— Kiedy się stąd oddalimy, przesiądziemy się do szoferki — powiedział Stillman. — Wielu Etlan jeździ obecnie z naszymi ludźmi, ale ktoś mógłby się zdziwić, że opuszczamy statek. Nie będziemy wstępować do kwatery przy płycie, od razu ruszymy do miasta. Pacjenci czekają, trzeba się nimi jak najszybciej zająć.

— To tylko reakcja psychosomatyczna, ale ciągle mi się wydaje, że jest zimno. . .

— Spokojnie, doktorze — rzekł ze śmiechem Stillman. — Autotranslator, który ma pan przy uchu, przetłumaczy wszystko, co będzie mówione w pańskiej obecności, a sam nie będzie musiał się pan odzywać. Wyjaśnię, że rana, którą pan otrzymał, poraziła chwilowo pański ośrodek mowy. Później, gdy zacznie pan coś chwycić z ich języka, będzie się pan mógł jąkać. Nikt nie pozna obcego akcentu, nie zorientuje się, że nie zna pan idiomów. Drobne błędy zginą w ogólnej niepoprawności. Zresztą nie wszyscy nasi ludzie przeszli pełny kurs językowy — dodał po chwili. — Trzeba więc sobie jakoś radzić. Najlepiej nie pozostawać zbyt długo w jednym miejscu, bo wtedy tubylcy zaczną zauważać odmienności zachowania.

Kierowca rzucił przez ramię uwagę, że mijają właśnie blondynę tak bombową, że chętnie związałby się z nią na resztę życia, ale Stillman nie przerwał rozmowy z Conwayem.

— Mimo całkiem niestosownych uwag obecnego tu Kontrolera Briggsa, naszą najlepszą ochroną są podejście do pracy i absolutnie czyste intencje. Gdybyśmy byli agentami wysłanymi dla dokonania aktów sabotażu albo zebrania informacji na wypadek przyszłej wojny, prędzej czy później ktoś na pewno by wpadł. Za bardzo staralibyśmy się wyglądać naturalnie i wszędzie węszylibyśmy zagrożenie, łatwiej więc byłoby o popełnienie błędu.

— Gdy pan tak mówi, sprawa przedstawia się aż za prosto — mruknął Conway, chociaż naprawdę poczuł się nieco pewniej.

Wysiedli w centrum miasta i pieszo ruszyli ulicami. Conwayowi rzuciło się w oczy, że niewiele tu nowych budynków. Niemniej te stare były dobrze utrzymane, a Etlanie ujmująco przyozdobili je kwiatami. Widział wielu pracujących, tak mężczyzn, jak i kobiety, inni robili zakupy albo załatwiali jakieś interesy, których natury nie potrafił się na razie nawet domyślić. Jednak bardzo się starał traktować tubylców jak ludzi właśnie, a nie jak całkiem odmiennych kulturowo obcych.

Wkoło widział ludzi ze zniekształconymi kończynami, ludzi chodzących o kulach albo z odmienionymi przez choroby twarzami. Szybko rozpoznawał, z czym ma do czynienia, chociaż społeczeństw należących do Federacji przypadłości te nie nękały już od ponad stu lat. Wszędzie dostrzegał też to, co zna każdy pracujący albo chociaż bywający w szpitalu: lżej chorzy z własnej woli, nieprzymuszeni, pomagali osobom w cięższym stanie.

Tyle że to nie był szpital, ale ulica zwykłego miasta, pomyślał Conway i przebiegł go zimny dreszcz.

— Najbardziej mnie uderza, że większość tych chorych można wyleczyć — powiedział, gdy znowu mogli rozmawiać. — Może nawet wszystkich. Od stu pięćdziesięciu lat nie notowano już u nas epilepsji. . .

— Reagujesz jak lekarz, doktorze — odparł Stillman. — Ale tutaj nie wystarczy wyleczyć tych, których widzisz. Cała planeta tak wygląda. Trafił się panu naprawdę wielki oddział. . .

— Czytałem raporty — mruknął Conway. — Ale to były tylko suche liczby. Naprawdę nie myślałem, że jest aż tak źle. . . — Zatrzymał się, nie kończąc zdania. Doszli właśnie do ruchliwego skrzyżowania i Conway zauważył, że zarówno pojazdy, jak i przechodnie nagle znacząco zwolnili. Po chwili dojrzał przyczynę.

Był nią zbliżający się z wolna wielki wóz. Pomalowany na czerwono i przybrany szkarłatnymi tkaninami różnił się od wszystkich innych pojazdów w okolicy, ponadto nie miał własnego napędu. Za to z obu burt wystawały krótkie uchwyty, na które napierali idący, kulejący albo wręcz skaczący Etlanie. Dzięki nim się przemieszczał. Zanim jeszcze Stillman zdjął beret, Conway zrozumiał, że widzi pogrzeb.

— Teraz zajrzemy do miejscowego szpitala — powiedział Stillman, gdy kondukt już ich minął. — Gdyby ktoś nas zagadnął, odpowiem, że szukamy chorego krewnego, który nazywa się Menno-merze. Trafił tam w zeszłym tygodniu. To najpopularniejsze nazwisko na Etli. Zapewne jednak nikt nie będzie nas o nic pytał, bo tu każdy ma kogoś w szpitalu i personel przywykł już dawno, że odwiedzający pomagają w różnych pracach. A gdybyśmy trafili na lekarza Korpusu, o co nie- trudno, udawajmy, że go nie znamy. Nie musi się pan też przejmować, że tutejsi pańscy koledzy spróbują zajrzeć panu pod bandaż. Są zbyt zajęci, aby interesować się tymi, którzy otrzymali już pomoc.

W szpitalu spędzili dwie godziny, ale nikt nie był ciekaw ich historii o Menno-merze. Stillman znał dobrze cały szpital, jakby już w nim pracował, jednak wkoło było ciągle zbyt wielu Etlan, aby Conway mógł go spytać, czy był tutaj jako lekarz Korpusu, czy może pod przebraniem medyka wolontariusza. Na dodatek widok jednego z oficjalnych wysłanników, nadzorującego miejscowych lekarzy podczas drenażu ropniaka opłucnej, sprawił, że Conway odczuł przemożną potrzebę, aby też zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

Chirurgowie nosili się na żółto, nie na biało, personel techniczny zaś w ogóle się nie wyróżniał ubiorem. Brakło też porządných izolatek, wszyscy chodzili na pozór, gdzie kto chciał. Czy oni nigdy nie słyszeli o normalnych szpitalnych porządkach? — pomyślał Conway. Może i słyszeli, stwierdził po chwili, ale przy tym zageszczeniu całą normalność dawno diabli wzięli. Biorąc pod uwagę środki, którymi dysponowali tutejsi lekarze, i rozmiar problemów, na które napotykali, szpital mimo wszystko robił bardzo dobre wrażenie. Również personel wydawał się nad wyraz kompetentny.

— Mili ludzie — powiedział Conway, chociaż ten zwrot niezbyt pasował do sytuacji. — Całkiem nie rozumiem, dlaczego tak przyjęli Lonvellinga. Nigdy bym się tego po nich nie spodziewał.

— A jednak — odparł, krzywiąc się, Stillman. — Każdy, kto nie ma po parze oczu, uszu, rąk i nóg albo ma je w niewłaściwych miejscach, wywołuje u nich napady atawizmów. Całkiem jakby nagle zmieniali się w jaskiniowców. Chciałbym wiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

Conway nie odpowiedział. Jego przysłano tutaj, by obmyślił, jak uleczyć mieszkańców całej planety, i ten spacer w karnawałowym przebraniu niewiele mógł mu w tym pomóc. Należało czym prędzej wziąć się poważnie do roboty.

Jakby czytając jego myśli, Stillman powiedział:

— Chyba pora już wracać, doktorze. Woli pan urządzić się w kompleksie biurowym czy na okręcie?

Conway pomyślał, że Stillman będzie świetnym asystentem.

— W kompleksie, jeśli można. Na statku ciągle się gubię.

I tak Conway trafił do małego biura z wielkim biurkiem i guzikiem, który pozwalał na natychmiastowy kontakt ze Stillmanem. Poza tym wyposażono go jeszcze w kilka innych urządzeń łącznościowych. Po pierwszym lunchu w mesie zaczął jadać razem ze Stillmanem w biurze. Czasem też tam spał, a czasem nie spał w ogóle. Dni mijały jeden za drugim i na biurku Conwaya urósł cały stos raportów, aż od nieustannej lektury zaczęły go piec oczy. Stillman dbał, aby zawsze było co czytać. Conway zreorganizował nieco metody zwiadu medycznego, czasem sprowadzał któregoś z lekarzy Korpusu na rozmowę albo sam leciał do tych, którzy z rozmaitych powodów nie mogli przybyć.

Wiele meldunków pochodziło spoza granic prowincji i te dotyczyły głównie problemów społecznych. Były to kopie raportów wysłanych Williamsonowi. Conway czytał je od przypadku do przypadku, o ile wiązały się z jego działalnością, i nierzadko były mu pomocne, zazwyczaj jednak tylko wzmagały jego zdziwienie tym światem.

Potem zaczęły też napływać próbki krwi i tkanek. Conway zaraz przekazywał je kurierom — Korpus oddał mu ich aż trzech — którzy wieźli materiał na patologię Szpitala Kosmicznego Sektora Dwunastego. Wyniki przekazywano na Vespasiana, skąd trafiały do Conwaya. Do jego dyspozycji oddano też pokładowy

komputer, a raczej tę część jego mocy obliczeniowej, która akurat nie była zajęta, i stopniowo dziwne i jeszcze dziwniejsze fakty zaczęły się układać w pewien wzór. Niemniej na razie wzór ten wydawał się tak osobliwy, że Conway nic z tego nie rozumiał. Kończył się z wolna piąty tydzień jego pobytu na Etili, a on ciągle nie miał niczego, co mógłby przedstawić Lonvellowi.

Jednak Lonvellow nie naciskał, nie domagał się szybkich wyników. Jako istota mająca w perspektywie nieskończenie wiele czasu nie wiedział, co to pośpiech. Conway zastanawiał się tylko czasem, czy Murchison okaże się równie cierpliwa...

Rozdział dziesiąty

Wezwany brzęczykiem major Stillman zjawił się u Conwaya z czerwonymi od niewyspania oczami i w lekko tylko wymiętym mundurze. Doczłapał jakoś do krzesła, usiadł i ziewnął na dzień dobry. Conway odpowiedział mu tym samym.

— Za kilka dni podam plany wysyłki i dystrybucji potrzebnych tu leków — stwierdził. — Rozpoznaliśmy już niemal wszystkie tutejsze choroby, skompletowaliśmy dane na temat wieku, płci i miejsca pobytu wszystkich pacjentów. Jednak zanim dam sygnał do rozpoczęcia zrzutów, chciałbym wiedzieć, jak właściwie doszło do takiego zapuszczenia tej planety. Niepokoję się, że to wszystko pójdzie na marne. Coś jak nowa dostawa porcelany do składu, w którym grasuje słoń.

Stillman kiwnął głową, trudno było jednak orzec, czy na znak, że się zgadza, czy też po prostu opadła mu ze zmęczenia.

Conway nie pojmował, dlaczego na planecie, która była właściwie jednym wielkim lazaretem, śmiertelność niemowląt jest w gruncie rzeczy bardzo niska. Równie mało kobiet umierało na skutek komplikacji poporodowych. Co sprawiało, że chociaż dzieci były zazwyczaj zdrowe, większość dorosłych chorowała? Owszem, znaczna część niemowląt przychodziła na świat niewidoma albo kaleka na skutek chorób dziedzicznych, ale niewiele umierało w młodości. Zdecydowana większość umierała w średnim wieku.

Uwagę zwracało jeszcze jedno: Etlanie w kwestii swoich chorób wykazywali szczególnie ekshibicjonizm. Wielu cierpiało na dokuczliwe zmiany skórne powiązane nierzadko z deformacją kończyn, niemniej nie zwykli ich osłaniać ubraniami. Wręcz przeciwnie, Conwayowi wydawało się, że chwalili się swoimi chorobami jak mali chłopcy obnoszący z dumą poobijane kolana. . .

— Myli się pan, doktorze! — wybuchnął Stillman i Conway zorientował się nagle, że przez parę ostatnich chwil myślał na głos. — Oni nie są masochistami. Cokolwiek dziwnego się tu kiedyś stało, próbowali z tym walczyć. Walczyli ponad wiek, chociaż nie mieli wiele pomocy. Owszem, przegrywali, ale dla mnie to niemal cud, że w ogóle zachowała się tu jakaś cywilizacja. A noszą się w ten sposób, ponieważ wierzą, że świeże powietrze i światło słońca spowalnia rozwój choroby, i w większości przypadków mają rację. Tego przekonania nabrali w dawnych czasach, podobnie jak, niestety, zniechęcili obcych — ciągnął major spokoj-

niejszym już głosem. — I jeszcze zaczęli żywić przesąd, że jedną chorobę można zwalczać inną... — Stillman aż wzdrygnął się na tę myśl i zamilkł.

— Ani myślę postponować naszych pacjentów, majorze — powiedział Conway. — Ale z braku właściwych odpowiedzi zaczynam szukać jakichkolwiek. Wspomniał pan o zbyt skromnej pomocy, jaką Etlanie otrzymywali od Imperium. Chętnie usłyszałbym coś więcej na ten temat, zwłaszcza o dystrybucji dostarczanych leków. Jeszcze chętniej sam spytałbym o to imperialnego przedstawiciela na Eтли. Udało wam się go znaleźć?

Stillman pokręcił głową.

— Ta pomoc nie przypominała rozdawnictwa paczek. Owszem, leki też przychodziły, ale większość to była literatura medyczna. Najświeższe wydawnictwa, i to tak dobrane, żeby odnosiły się do tutejszych warunków. Jak docierała do właściwych rąk, próbujemy się dopiero dowiedzieć...

Stillman opowiedział następnie, że statek Imperium lądował co dziesięć lat witany przez imperialnego przedstawiciela, po czym szybko wyładowywano i wywożono gdzieś wszystko, co przywiózł. Najwyraźniej żaden obywatel Imperium nie chciał pozostawać na Eтли ani sekundy dłużej, niż to konieczne, co zresztą łatwo było zrozumieć. Potem przedstawiciel, który nazywał się Teltrenn, wyruszał, aby zająć się dystrybucją pomocy.

Jednak zamiast skorzystać z mass mediów, aby zapoznać medyków tej planety z nowinkami i pozwolić im się doksztalcać, Teltrenn czekał z przekazaniem informacji do bezpośredniego spotkania z przedstawicielem władz prowincji. Dopiero wtedy przekazywał je jako podarunek od znamienitego Imperatora. Sam oczywiście też zaznawał zaszczytów należnych posłańcowi szczonego władcy, a bezcenne informacje docierały do adresatów czasem i po sześciu latach, chociaż mogłyby trafić do każdego lekarza na planecie najpóźniej po trzech miesiącach od lądowania statku.

— Sześć lat! — sapnął Conway.

— Na ile zdołaliśmy dotąd ustalić, Teltrenn nie jest szczególnie energiczną osobą — dodał Stillman. — Co gorsza, na Eтли prowadzi się bardzo niewiele podstawowych badań medycznych, jako że nie mają tu głównego narzędzia mikrobiologa, mikroskopu. Etlanie nie umieją budować precyzyjnych urządzeń optycznych, a Imperium jakoś nie pomyślało, żeby im je przysłać. Wszystko to sprowadza się do wniosku, że wszelka tutejsza wiedza medyczna pochodzi od Imperium, a Imperium nie jest pod tym względem zbyt rozwinięte.

— Chciałbym sprawdzić, czy jest jakiś związek pomiędzy lądowaniami statku a późniejszym występowaniem chorób. Mógłby mi pan to umożliwić? — spytał Conway.

— Mam raport, który rzuca pewne światło na tę sprawę. To kopia sprawozdania przygotowanego w pewnym szpitalu na północnym kontynencie. Wspomniano w nim o ostatnich odwiedzinach Teltrenna. Z tego, co wiemy, przywiózł wówczas

pewne istotne materiały na temat położnictwa i lek przeciwko chorobie, która otrzymała kodowe określenie B-osiemnaście. W ciągu kilku tygodni po jego wizycie liczba zachorowań na B-osiemnaście spadła raptownie, chociaż ogólna liczba zachorowań pozostała praktycznie bez zmian, ponieważ równocześnie nasiliło się występowanie choroby F-dwadzieścia jeden. . .

B-osiemnaście była odpowiednikiem ciężkiej ziemskiej grypy, w czterech przypadkach na dziesięć prowadziła do śmierci, atakowała dzieci i młodzież. F-dwadzieścia jeden oznaczało chorobę o łagodnym, niegroźnym stosunkowo przebiegu, który charakteryzował się trzy- czterotygodniową gorączką i występowaniem na całym ciele wielkich półokrągłych pręg, które po opadnięciu temperatury zmieniały kolor na purpurowy i zostawały pacjentowi na resztę życia.

Conway ze złością pokręcił głową.

— Jednym z największych problemów Etlia jest tutejszy przedstawiciel Imperium!

— Chciałbym mu zadać kilka pytań — powiedział Stillman i wstał. — Tutejsze radio i prasa szeroko informują o naszym przybyciu, jestem więc pewien, że Teltrenn celowo się przed nami ukrywa. Zapewne czuje się winny zaniedbania swoich obowiązków. Na żądanie Lonvellina zespół psychologiczny przygotował już specjalny raport na temat przedstawiciela. Powiem, żeby panu też go przysłali.

— Dziękuję — mruknął Conway.

Stillman pokiwał głową, ziewnął i wyszedł, a Conway połączył się z *Vespasianem* i poprosił o rozmowę z odległym o sześćdziesiąt pięć kilometrów Lonvellinem. Chciał zrzucić ciężar z piersi i wyjaśnić najważniejszą z trapiących go wątpliwości. Tyle że ciągle nie wiedział, czym właściwie jest to najważniejsze. . .

— Świetnie się pan sprawił, przyjacielu Conway, tak szybko wywiązując się ze swojej części programu — przywitał go Lonvellin. — W ogóle mam szczęście do pomocników. W większości okręgów zdobyliśmy już pełne zaufanie etlańskich lekarzy, którzy niebawem będą gotowi do szeroko zakrojonej edukacji w kwestii waszych najnowszych technik medycznych. Tym samym za kilka dni powrócisz do swojego szpitala. Zależy mi na tym, abyś nie odlatywał z wrażeniem, że nie wszystko poszło ci jak należy. Obawy, o których wspomniałeś, są całkiem bezpodstawne. Niemniej twoja sugestia, że powodzenie programu zależy w wielkiej mierze od usunięcia Teltrenna albo znalezienia kogoś nowego na jego miejsce, nie jest bezpodstawna — ciągnął Lonvellin z całą powagą. — Myślałem już o tym. Dodatkowym argumentem za tym krokiem jest udokumentowany fakt, że ta właśnie osoba ponosi olbrzymią odpowiedzialność za utrzymywanie się powszechnej nietolerancji wobec pozaplanetarnych form życia. Twoje pozostałe przypuszczenia, że postawy ksenofobiczne wiążą się nie tyle z osobą Teltrenna, ile z samym Imperium, mogą, ale nie muszą być trafne. Na razie nie widzę aż tak pilnej potrzeby, aby podejmować badania dla wyjaśnienia tej sprawy i charakteru samego Imperium.

Autotranslator przekładał słowa Lonvellina jak zwykle beznamiętnie, jednak Conwayowi zdało się, że w głosie EPLH wyczuwa napięcie.

— Traktuję Etlę jako odizolowany świat, który należy poddać kwarantannie. Tym samym myślę, że możemy rozwiązać jego problemy bez wnikania w zawiłości wpływów Imperium i sprzeczności, jakie napotykamy na Etli, chociaż przyznaję, że i dla mnie są one zastanawiające. Zapewne wiele z nich pojmiemy, gdy kuracja przyniesie już pozytywny skutek. Na razie najważniejsze jest ulżenie doli mieszkańców planety. Twoją sugestią, że te krótkie wizyty imperialnego statku, do których dochodzi raz na dziesięć lat, mogą być sednem problemu, uważam za chybioną. Skłonny jestem nawet przypuszczać, że twoja ciekawość tego tajemniczego Imperium sprawia, iż bezwiednie przeceniasz wszystko, co się z nim wiąże.

Może masz rację, pomyślał Conway, ale zanim zdążył coś powiedzieć, EPLH znów się odezwał:

— Celowo traktuję sprawę Etli jako odosobniony przypadek. Włączenie w nią Imperium, które być może również potrzebuje pomocy medycznej, zwiększyłoby skalę tej operacji ponad nasze możliwości. Niemniej, rozumiejąc twoje obawy, zezwalam człowiekowi Williamsonowi, aby wysłał zwiad, który odnalazłby to Imperium i stwierdził, jakie panują w nim warunki. Nalegam jednak, aby w razie pozytywnego wyniku poszukiwań nie wspomniano o tym, co tutaj robimy, przynajmniej nie wcześniej, niż nasza operacja dobiegnie końca.

— Rozumiem, sir — stwierdził Conway i przerwał połączenie. Wydało mu się nader dziwne, że Lonvellin najpierw zrugął go za zbyt dużą ciekawość, a zaraz potem, praktycznie na jednym oddechu, udzielił zgody na zaspokojenie owej ciekawości. Czyżby bardziej przejmował się wpływami Imperium, niż był skłonny przyznać? A może z wiekiem stawał się ustępliwy?

Conway połączył się z pułkownikiem Williamsonem.

Zanim skończył mówić, dowódca chrząknął kilka razy, a gdy się w końcu odezwał, był wyraźnie zakłopotany.

— Od dwóch miesięcy cała grupa naszych funkcjonariuszy, tak z personelu medycznego, jak i kontaktowego, szuka już tego Imperium, doktorze. Jednemu nawet się powiodło. Przesłał wstępny meldunek. To lekarz, który nie został włączony do programu realizowanego na Etli i prawie nic nie wie o tym, co tutaj robimy, niewiele zatem z jego raportu może pana zaciekawić, doktorze. Niemniej przyślę go zaraz panu z materiałami o Teltrennie. — Williamson kaszlnął znacząco i dodał: — Oczywiście będę musiał poinformować o tym również Lonvellina, ale póki tego nie zrobię, proszę zachować wszystko dla siebie.

Conway roześmiał się.

— Spokojnie, pułkowniku. Zajrzę tylko do tych sprawozdań. Gdyby zaś sprawa się wydała, zawsze może pan powiedzieć, że powinnością podwładnego jest uprzedzać życzenia zwierzchnika.

Williamson się rozłączył, a Conway wciąż jeszcze chichotał. Nagle jednak coś go zastanowiło...

Odkąd przybył na Etlę, prawie się nie śmiał. Nie, żeby nazbyt utożsamiał się ze swoimi pacjentami — lekarz o jego doświadczeniu i kwalifikacjach nie był już na to podatny. Chodziło o to, że na Eтли w ogóle mało kto się śmiał. Było coś dziwnego w atmosferze tej planety, ogarniało człowieka jakies dziwne napięcie, a zarazem bezradność. Na dodatek z każdym dniem uczucia te zdawały się narastać, jak w izolatce umierającego pacjenta, pomyślał Conway, tyle że nawet nieuleczalnie chorzy miewali chwile odprężenia...

Zaczynało mu brakować Szpitala i cieszył się, że już za parę dni tam wróci, i to mimo poczucia, że nie zrobił tu wszystkiego, co należało zrobić. Pomyślał o Murchison...

To też nie zdarzało mu się na Eтли nazbyt często. Dwa razy przesłał jej listy dołączone do próbek. Wiedział, że Thornnastor z patologii dopilnuje, żeby je dostała, chociaż FGLI nie interesowały emocjonalne więzy łączące Ziemian. Niemniej Murchison nie była zbyt wylewna. Nie odpisywała. W tym celu musiałaby podjąć pewien wysiłek, szczególnie jeśli chodzi o przeschmuglowanie listu, i może nie chciała, żeby Conway za wiele sobie pomyślał, a może dziwne pożegnanie w luku zniechęciło ją do adoratora. Zresztą była specyficzną dziewczyną. Poważną i oddaną swojej pracy. Dotąd w ogóle nie miewała czasu dla mężczyzn.

Po raz pierwszy zgodziła się z nim spotkać tylko dlatego, że Conway chciał uczcić udaną, wyczerpującą operację pacjenta, którym się wspólnie zajmowali. Odtąd umawiał się z nią regularnie, co budziło zazdrość wszystkich męskich przedstawicieli klasy DBDG w Szpitalu. Tyle że tak naprawdę nie było czego zazdrościć...

Ponury tok myśli Conwaya nagle przerwało nadejście Kontrolera, który rzucił Conwayowi na biurko teczkę z papierami.

— Materiały o Teltrennie, doktorze — powiedział. — Ten drugi raport był przeznaczony wyłącznie dla pułkownika Williamsona i jego pisarz musi dopiero zrobić kopię. Będzie za kwadrans.

— Dziękuję — odparł Conway, poczekał, aż Kontroler wyjdzie, i zabrał się do lektury.

Ponieważ Etla była kolonią, brakło tu typowych dla starych cywilizacji granic państwowych czy sił zbrojnych, niemniej była policja. Formalnie jej funkcjonariusze rekrutowali się z wojsk imperialnych i podlegali Teltrennowi. To oni właśnie zaatakowali w swoim czasie statek Lonvellinga. Nadal zresztą nie dawali mu spokoju. Sam Teltrenn sprawiał wrażenie osoby dumnej i żadnej władzy, jednak brakło mu tak typowego dla podobnych osobowości rysu okrucieństwa. Nie urodził się na Eтли, ale w kontaktach z przedstawicielami tubylców wykazywał daleko posunięte takt i rozwagę. Owszem, bez wątplenia spoglądał na nich z góry, pra-

wie jakby należeli do niższej rasy, ale nie pogardzał nimi otwarcie, nie był też wobec nich gwałtowny.

Conway rzucił raport na skraj biurka. Jeszcze jeden bezsensowny kawałek niezrozumiałej układanki, pomyślał. Odechciało mu się zgłębiać całą sprawę. Wstał i wyszedł ze swojego biura, trzaskając drzwiami. Stillman skrzywił się lekko i uniósł głowę.

— Na dziś koniec z papierkową robotą! — warknął Conway. — Wreszcie pofolgujemy potrzebom ciała i ducha. Na początek powinniśmy się wyspać...

— Wyspać? — spytał Stillman. — A co to takiego?

— Zapomniałem... Ale może się uda. Słyszałem, że to całkiem przyjemne i z czasem można się nawet przyzwyczaić. Nie ma się co bać, trzeba spróbować...

Na zewnątrz budynku panował miły chłodek. Horyzont zasnuwały chmury, jednak nad lądowiskiem było aż gęsto od jasnych gwiazd. Układ znajdował się w dość zatłoczonej okolicy galaktyki, na dodatek co parę minut na niebie pojawiały się smugi rysowane przez spadające meteoryty. Widok był wybitnie nastrojowy i uspokajający, ale Conway nie potrafił zapomnieć o troskach. Ciągłe dręczyło go przeświadczenie, że przeoczył coś ważnego, na dodatek teraz, pod gołym niebem, stało się ono jeszcze silniejsze niż w biurze. Nagle zapragnął zaraz, natychmiast przeczytać raport o Imperium.

— Zdarzyło się panu kiedyś pomyśleć o czymś i po chwili poczuć wstyd, że taka myśl mogła w ogóle przyjść do głowy? — spytał Stillmana, który jednak uznał pytanie za retoryczne i tylko chrząknął. Ruszyli w kierunku statku. Nagle przystanęli.

Na południu nad horyzontem weszło dziwne słońce. Niebo zbladło, jego czerń przeszła w intensywny błękit i turkus, a odległe chmury oświetlił od spodu różowozłocisty błysk. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, nowe słońce poczerwieniło krwiście, a ziemia pod ich stopami zadrżała wyczuwalnie. Chwilę później usłyszeli dobiegający z oddali gromowy huk.

— Statek Lonvellina! — krzyknął Stillman.

Puścili się biegiem.

Rozdział jedenasty

Centrala łączności na *Vespasianie* przypominała oko cyklonu wirujące wkoło absolutnie opanowanego dowódcy. Gdy Stillman i Conway weszli do środka, pułkownik wydał już rozkazy, by statek kurierski i wszystkie będące na miejscu śmigłowce załadowały czym prędzej sprzęt ratunkowy oraz środki do dekontaminacji i ruszały w skażony rejon prowadzić akcję ratunkową. Nie było oczywiście żadnej nadziei dla otaczających statek Lonvellina sił etlańskich, jednak w pobliżu leżało jeszcze kilka samotnych gospodarstw i co najmniej jedna mała wieś. Ratowników czekała przeprawa nie tylko ze skutkami radiacji, ale i z paniką, gdyż jeśli chodzi o eksplozje nuklearne, Etlanie nie mieli żadnego doświadczenia i niemal na pewno nawet nie pomyśleli o ewakuacji.

Gdy tylko Conway ujrzał atomowy grzyb unoszący się nad szczątkami statku Lonvellina i zrozumiał, co to znaczy, żołądek podszedł mu do gardła. Teraz, słuchając wydawanych spokojnym, rzeczowym głosem rozkazów Williamsona, poczuł, jak pot spływa mu po czole i plecach. Zwilżył językiem wargi i powiedział:

— Kapitanie, muszę coś pilnie zaproponować. . .

Nie mówił głośno, ale w jego tonie musiało być coś, co przykuło uwagę Williamsona. Dowódca odwrócił się zaraz ku niemu.

— Ten wypadek oznacza, że teraz pan kieruje całością programu, doktorze — rzucił kapitan. — Nieśmiałość jest nie na miejscu.

— Skoro tak, to będzie rozkaz — powiedział Conway tym samym cichym głosem. — Proszę odwołać drużyny ratunkowe i wezwać wszystkich na pokład. Startujmy, zanim i nas zbombardują. . .

Conway zorientował się nagle, że wszyscy patrzą na jego blade i przerażone oblicze. Nie miał wątpliwości, że wyciągają niewłaściwe wnioski. Williamson nawet nie ukrywał złości. Spojrzał na stojącego obok oficera, rzucił mu rozkaz i ponownie obrócił się do Conwaya.

— Doktorze, skoro pan nie wie, to powiem, że włączyliśmy właśnie zapasowy ekran meteorytowy — wycedził. — Każdy obiekt o średnicy większej niż trzy centymetry nadlatujący z dowolnego kierunku zostanie zatrzymany w odległości

stu pięćdziesięciu kilometrów i automatycznie odrzucony przez pole siłowe. Mogę zatem pana zapewnić, że jesteśmy całkiem bezpieczni i nie grozi nam żaden hipotetyczny atak pociskami nuklearnymi. Zresztą sam pomysł, że ktoś miałby nas zbombardować, jest wręcz dziwaczny. Na Etlu nie ma broni atomowej. Potrafimy wykryć takie rzeczy... Chyba czytał pan raport. Sugerowałbym zatem — dodał tonem, jakim zwracał się czasem do młodszego astrogatora, by ten naprawił swój błąd i dokonał koniecznej korekty kursu — abyśmy pospieszyli z akcją ratunkową. Fatalna awaria stosu na statku Lonvellina musiała pociągnąć za sobą wiele ofiar...

— Lonvellin nigdy nie dopuściłby do tak poważnej awarii stosu! — odparł zdecydowanie Conway. — Jak wiele istot długowiecznych, z latami coraz bardziej bał się śmierci. Otaczał się najlepszymi lekarzami, żeby choroby nie skróciły mu życia. Na pewno by się nie narażał, korzystając z niego w pełni sprawnego statku. Jednak zginął. Został zaatakowany pierwszy zapewne dlatego, że miejscowi nie cierpią obcych. Cieszę się, że potrafi pan ochronić swój statek, ale jeśli teraz wystartujemy, być może w ogóle nie wystrzelą drugiego pocisku i wielu naszych oraz Etlan nie zginie...

Tak nic nie wskóram, pomyślał gorączkowo Conway. Williamson wyglądał na rozzłoszczonego, zakłopotanego i gotowego upierać się przy swoim. I był zły, bo otrzymał właśnie bezsensowny z jego punktu widzenia rozkaz, oraz zdegustowany postawą Conwaya, który zachowywał się jego zdaniem jak stara, przestraszona baba. Upór brał się zaś z przekonania, że to on, a nie Conway ma rację. „No dalej, rusz głowę, matole”, mruknął Conway pod nosem, żeby nikt nie słyszał. Nie śmiał zwracać się w ten sposób do pułkownika Korpusu, i to wobec jego podwładnych, a ponadto Williamson na pewno nie zasługiwał na podobny epitet. Był rozsądnym, inteligentnym i bardzo kompetentnym oficerem, który po prostu nie miał jeszcze okazji skojarzyć pewnych rzeczy. Brakło mu też praktyki lekarskiej oraz właściwej Conwayowi paskudnej podejrzliwości...

— Ma pan już dla mnie ten raport o Imperium? — spytał nagle Conway pozornie całkiem nie na temat.

Williamson spojrział na ekrany centrali. Wszędzie panowało wielkie poruszenie. Jeden śmigłowiec szykował się do lotu, inny ociężałe odrywał się od betonu, wyraźnie niosąc ładunek przekraczający limit eksploatacyjny. Z luku statku kurerskiego wypływał nieustanny strumień ludzi i sprzętu do dezaktywacji skażenia.

— Teraz chce pan go czytać? — spytał dowódca.

— Tak — odparł Conway i nagle pokręcił głową, w której pojawiła się całkiem nowa myśl. Najbardziej zależało mu obecnie na tym, by Williamson wystartował bez długich wyjaśnień, ale widział już, że nie obejdzie się bez wykładu. Nader pospiesznego. — Mam pewną teorię, która może wyjaśniać, co tu się właściwie dzieje, i sądzę, że raport pozwoliliby ją zweryfikować. Gotów jestem ją przedsta-

wić. Ale jeśli okaże się, że moje szacunki pokrywają się z treścią raportu, to czy da pan wiarę także reszcie moich domysłów i rozkaże natychmiast startować?

Na zewnątrz oba śmigłowce wspinały się coraz wyżej na nocne niebo, a statek kurierski zamykał luk. Kawalkada pojazdów, tak miejscowych, jak i należących do Korpusu, opuszczała w pośpiechu płytę. Conway pomyślał, że w wyprawie bierze chyba udział z połowa załogi oraz wszyscy członkowie personelu naziemnego, którzy akurat nie byli na służbie. Mknęli ku katastrofie i dystans pomiędzy nimi a Vespasianem zwiększał się z każdą chwilą.

Conway uznał, że nie może już dłużej czekać na odpowiedź Williamsona, i zaczął mówić:

— Przypuszczam, że to Imperium jest czymś na kształt monarchii absolutnej, a nie luźnym stowarzyszeniem w rodzaju naszej Federacji. A to oznacza, że musi mieć sprawną armię, aby utrzymać państwo w całości. Armia zapewne odpowiedzialna jest też za wcielanie w życie woli Imperatora, a rządy na poszczególnych planetach muszą być ściśle związane ze strukturami wojskowymi. Wszyscy obywatele Imperium są najpewniej istotami klasy DBDG, jak Etlanie czy my, w sumie całkiem przeciętnymi, jeśli nie liczyć ich antypatii do obcych, których tak naprawdę nie mieli dotąd okazji poznać. — Conway zaczerpnął głęboko powietrza i podjął wątek: — Ogólny poziom życia i rozwoju technologicznego najpewniej jest podobny do naszego. Należy się też spodziewać, że mają wysoką stopę podatkową, która jednak nie wywołuje problemów społecznych, gdyż rząd niewątpliwie kontroluje wszystkie publiczne środki przekazu. Sądzę, że obecnie Imperium osiągnęło wielkość, przy której zarządzanie całością staje się bardzo kłopotliwe. Chodzi być może o czterdzieści do pięćdziesięciu zamieszkanym systemów...

— Czterdzieści trzy — wtrącił wyraźnie zdumiony Williamson.

— ...i wszyscy ich mieszkańcy mogą nawet wiedzieć o Etl i współczuć jej niedoli. Mają ją za świat objęty nieustanną kwarantanną i gotowi są jej pomóc, jak potrafią...

— Z całą pewnością! — przerwał mu kapitan. — Nasz człowiek spędził tylko dwa dni na jednej z peryferyjnych planet Imperium, zanim został wysłany na Świat Centralny na audiencję u Wielkiego, ale i tak się przekonał, co tam ludzie myślą o Etl. Gdziekolwiek spojrzeć wiszą plakaty przedstawiające cierpiących Etlan. Gdziekolwiek jest ich więcej niż reklam. To wielka akcja dobroczynna ciesząca się pełnym poparciem rządu Imperium! Oni naprawdę się starają, doktorze.

— Na pewno, kapitanie? — spytał zaczepnie Conway. — I nie dziwi pana, że połączona ofiarność czterdziestu trzech systemów owocuje tylko jednym transportem z pomocą raz na dziesięć lat?

Williamson otworzył usta, zamknął je i wyraźnie się zamyślił. W całym pomieszczeniu zapadła cisza, jeśli nie liczyć szmeru dobiegającego z głośników urządzeń łączności. Nagle stojący za Conwayem Stillman zaklął głośno.

— Rozumiem, do czego on zmierza, sir. Powinniśmy natychmiast startować...!

Williamson spojrział na Stillmana i znów na Conwaya.

— Jeden szalenciec na pokładzie to może być przypadek. Ale dwóch to już poważna sprawa... .

Trzy sekundy później nakazał, by cały personel wrócił na statek. Wagę rozkazu podkreśliło wycie syreny alarmu ogólnego. Gdy wszystkie poprzednie instrukcje zostały już odwołane, kapitan znowu spojrział na Conwaya.

— Słucham, doktorze — mruknął. — Chociaż chyba też zaczynam rozumieć... .

Conway westchnął z ulgą i przeszedł do rzeczy.

Etla została zasiedlona jako jeszcze jedna kolonia z pojedynczym lądowiskiem, na które dostarczano początkowo sprzęt i osadników. Z czasem zaczęto odkrywać złoża surowców naturalnych i wokół nich powstawały miasta. Liczba mieszkańców rosła bez przeszkód, ale wtedy musiała wybuchnąć jakaś epidemia, która omal ich nie wygubiła. Słyszając o ich nieszczęściu, mieszkańcy Imperium zmobilizowali się do niesienia pomocy tak samo, jak pomaga się przyjaciołom w potrzebie, i wkrótce zjawiły się pierwsze transporty z pomocą medyczną.

Na początek zapewne na małą skalę, ale im dalej docierały wieści o epidemii, tym więcej planet włączało się do akcji. Niemniej do Etlan trafiała ciągle tylko skromna część zebranych środków.

Wprawdzie jednostki musiały wpłacać na ich rzecz niewielkie datki, jednak w skali dziesiątków planet robiła się z tego na pewno wielka fortuna, która przyciągnęła uwagę rządu, a może i samego Imperatora. Ponieważ już wówczas Imperium rozrosło się ponad miarę, jego maszynieria działała coraz gorzej i wymagała co dnia większych nakładów, żeby się nie zawalić. Przypuszczam, że utrzymanie Imperatora oraz jego dworu i zapewnienie całej elicie rządzącej wysokiego poziomu życia też nie mogło być tanie. Jak to zwykle bywa, rządzący uznali, że to oni są najbardziej potrzebujący, i zaczęli zagarniać znaczną część funduszu dobroczynnego. Potem, w miarę jak akcja niesienia pomocy Eтли nabierała rozpędu, te pieniądze stały się istotną pozycją w budżecie Imperium.

I tak to się pewnie zaczęło.

Etla została objęta ścisłą kwarantanną, chociaż jak się zdaje, nikt nie próbowałby jej opuścić. Ale pojawiło się zagrożenie związane z działalnością miejscowych medyków, którzy w końcu nauczyli się leczyć różne choroby. Stan zdrowia mieszkańców planety zaczynał się poprawiać i lukratywne źródło dochodów mogło niebawem wyschnąć. Coś trzeba było z tym zrobić, i to szybko.

Ponieważ już wcześniej postępowano wobec Etlan nieetycznie, wstrzymując pomoc, pójście o krok dalej nie było zapewne dla decydentów wielkim problemem. Postanowiono zarażać Etlan co jakiś czas nowymi chorobami. Zwykle mało groźnymi, ale dającymi jak najsilniejszy efekt propagandowy. Stał tyle tu scho-

rzeń związanych ze zwyrodnieniem kończyn czy innymi deformacjami. Podjęto też działania, aby schorowani tubylcy przypadkiem nie wymarli, toteż ginekologię oraz pediatrię mają tu na całkiem niezłym poziomie.

Wtedy też zapewne ulokowano tu odpowiedniego przedstawiciela, który miał dbać, aby stan zdrowia mieszkańców Eтли utrzymywał się w pożądanym zakresie. W końcu Imperium przestało traktować ich jak ludzi. Dzięki swym chorobom stali się cennymi krowami dojnymi. I tak też traktował ich na co dzień wysłannik Imperium.

Conway przerwał na chwilę. Williamson i Stillman wyglądali, jakby zbierało im się na mdłości. Świetnie ich rozumiał — to samo poczuł, gdy po zagładzie statku Lonvellina zrozumiał wreszcie, o co tu chodzi.

— Teltrenn miał do dyspozycji miejscowe organizacje paramilitarne gotowe odpędzić albo i zniszczyć ewentualnych obcych lądujących na Eтли. Mógł zresztą spokojnie przyjąć, że z racji kwarantanny każdy statek przybywający poza rozkładem nie należy do Imperium. Tubylców zaś nauczono nienawidzić wszystkich obcych niezależnie od tego, ile mają kończyn i jak wyglądają.

— Ale jak oni mogli to wszystko... tak z zimną krwią...? — stęknął błady Williamson.

— Najpierw małe sprzeniewierzenie funduszy... a potem sprawa po prostu wymknęła się z rąk — wyjaśnił niechętnie Conway. — Nasza interwencja może mieć zatem dla nich wręcz upiorne konsekwencje. Postanowili więc nas zniszczyć.

Zanim Williamson zdążył odpowiedzieć, szef łączności zameldował, że załogi obu śmigłowców są już z powrotem na pokładzie i że zjawił się też cały personel, który przebywał w zasięgu sygnału alarmu, czyli gdziekolwiek w mieście. Pozostali nie zdążą dotrzeć na *Vespasian* przed upływem kilku godzin, otrzymali więc rozkaz ukrycia się i oczekiwania na powrót statku kurierskiego, który ich zabierze. Ledwie oficer skończył, kapitan nakazał start i Conwayowi zakręciło się w głowie, gdy generatory pola neutralizowały przeciążenie narastające przy awaryjnym starcie. *Vespasian* z maksymalną szybkością uciekał w kosmos. Jednostka kurierska podążała dziesięć sekund lotu za nim.

— Wyobrażam sobie, co pan musiał o mnie myśleć... — zaczął Williamson, ale nie dokończył, bo do centrali doszły meldunki od zawróconej ekipy ratunkowej. Jeden ze śmigłowców ostrzelano, a część ludzi przebywających w mieście została zatrzymana siłą. Miejscowa policja otrzymała od przedstawiciela Imperium dokładne rozkazy, aby strzelać przy próbie ucieczki. Ponieważ policjanci i Kontrolerzy zdążyli się już wcześniej dobrze poznać, mundurowi Etlanie zjawili się uzbrojeni po zęby...

— Z każdą minutą robi się gorzej — odezwał się nagle Stillman. — Coś mi się wydaje, że to nas oskarżą o to, co stało się ze statkiem Lonvellina, i przypiszą nam wszystkie ofiary związane z atakiem. Cokolwiek tu zrobiliśmy, zostanie przedsta-

wione w krzywym zwierciadle, żebyśmy wyszli na czarne charaktery. I założę się, że niebawem pojawi się tu jakaś nowa choroba i temu też będziemy winni! — Stillman zamilkł, lecz po chwili zaklął soczyście i dodał: — Mieszkańcy Imperium usłyszą zaś, że biedna, słaba i schorowana Etna mała nie padła ofiarą krwiożerczych obcych, którzy próbowali ją podbić. . .

Na Conwaya znowu wystąpiły siódme poty. Dotąd zajmował się niemal wyłącznie medyczną stroną zagadnienia i mało myślał o szerszym kontekście sprawy. Teraz jednak doszedł i do tego. . .

— Ale to może oznaczać wojnę! — zawołał.

— Oczywiście — warknął Stillman. — Imperium zapewne dąży właśnie do wojny. Całe już przegniło i sądząc po tym, co tutaj widzieliśmy, za kilka dziesięcioleci będzie musiało się rozpaść. Ale nie ma to jak dobra wojna! Wszyscy mobilizują się dla dobra sprawy i Imperium znowu zwierza szeregi. Gdyby im się udało, mogliby liczyć na spokojny byt jeszcze przez jakieś sto lat!

Conway pokręcił głową.

— Powiniennem wcześniej do tego dojść — mruknął. — Gdybyśmy mieli czas, żeby przekazać Etnanom prawdę. . .

— I tak dojrzał pan to wcześniej niż ktokolwiek inny — przerwał mu kapitan. — Oświecenie Etnan nic by nie dało bez akcji propagandowej na skalę całego Imperium. Nie ma się pan o co winić. . .

— Melduje się centrala ogniowa — odezwał się jeden z ponad dwudziestu głośników w pomieszczeniu. — Mamy zamiar z kierunku G dwanaście trzydzieści jeden. Przekazuję obraz na ekran piąty. Nie zidentyfikowany, mniejszy od nas obiekt próbuje złamać nasz system zakłóceń i zmylić radar, co świadczy o wrogich zamiarach. Jakie instrukcje, sir?

Williamson spojrział na ekran.

— Dopóki nie robi nic więcej, tylko obserwować — nakazał i obrócił się z powrotem do Stillmana i Conwaya. — Nie ma się czego obawiać, panowie — powiedział tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że znowu przejął dowodzenie i świetnie wie, co robi. — Liczyliśmy się z możliwością, że w końcu dojdzie gdzieś do międzygwiazdnej wojny. Już wcześniej przedsięwzięliśmy stosowne środki bezpieczeństwa. Na dodatek mamy mnóstwo czasu na przygotowania. Imperium to stosunkowo mała gromada światów skupionych na niewielkiej przestrzeni, w przeciwnym razie już dawno nawiązalibyśmy z nim kontakt. Federacja zaś rozrzucona jest po połowie galaktyki. My musimy przeszukać tylko jedną gromadę, gdzie jedna gwiazda na pięć ma zamieszkaną planetę, ich czeka znacznie trudniejsze zadanie. Jeśli będą mieli dużo szczęścia, znajdą nas za trzy lata, ale moim zdaniem zajmie im to prawie dwadzieścia. A wtedy będziemy gotowi.

Conway nie był przekonany i już chciał coś powiedzieć, ale kapitan wyraźnie postanowił uprzedzić jego wątpliwości i nie dopuścił go jeszcze do głosu.

— Owszem, nasz agent, który u nich przebywa, może im mimo woli pomóc. I to dobrowolnie, ponieważ nie zna jeszcze całej prawdy o Imperium. Na pewno opowie wiele o Federacji i jej zbrojnym ramieniu, Korpusie Kontroli. Ale jest lekarzem, wątpię więc, by wiedział cokolwiek ponad powszechnie znane ogólności. Póki nas nie znajdą, na nic im się nie przyda. A żeby nas znaleźć, musieliby dostać w swoje ręce astrogatora albo statek z nietkniętymi mapami. Tymczasem teraz już wiemy, że nie można do tego dopuścić. Nasi agenci to specjaliści w dziedzinie lingwistyki, medycyny albo nauk społecznych — dodał jeszcze Williamson z dużą pewnością siebie. — Nie znają się w ogóle na nawigacji międzygwiazdnej. Jednostki, które wysadzały ich na różnych światach, wracały zaraz do bazy. To nasz rutynowy środek bezpieczeństwa przy podobnych operacjach. Jak pan zatem widzi, będziemy mieli zapewne spore kłopoty, ale jeszcze nie teraz.

— Naprawdę? — spytał Conway.

Williamson i Stillman jak na komendę obrócili ku niemu głowy i spojrzeli wyczekująco, jakby był nastawioną bombą zegarową. Conwayowi już wcześniej było przykro, że tak ich nastraszył, ale nie miał wyboru. Spróbował tylko mówić jak najspokojniej.

— Owszem, przyznaję, że nie potrafię podać koordynat Tralthanu, Illensy ani Ziemi. Nie powiem nawet, jak trafić na tę kolonię Ziemi, na której się urodziłem. Ale jak każdy lekarz w służbie kosmicznej, znam koordynaty szpitala tego sektora. Obawiam się więc, że nie mamy ani chwili do stracenia. . .

Rozdział dwunasty

Jedyną pożyteczną rzeczą, na jaką zdobył się Conway podczas lotu powrotnego do Szpitala, było odrobienie zaległości w spaniu. Niemniej i tak wciąż go budziły upiorne sny o nadchodzącej wojnie i wcale nie miał już potem ochoty się kłaść. Sporo czasu spędził zatem na dyskusjach z Williamsonem, Stillmanem i innymi starszymi oficerami Vespasiana. Od kiedy trafnie zinterpretował wydarzenia kończące ich pobyt na Etili, kapitan zaczął wyraźnie cenić pomysły i podejrzenia Conwaya, chociaż sprawy takie, jak szpiegostwo, logistyka czy manewry floty niewiele miały wspólnego z codziennymi obowiązkami starszego lekarza.

Rozmowy były jednak ciekawe i pouczające, ale podobnie jak sny, rzadko przyjemne.

Zdaniem Williamsona międzygwiazdna wojna i także podboje były logistycznie niemożliwe, ale zwykła wojna na wyniszczenie — owszem. Do tego wystarczyła silna flota i brak sumienia. Imperium bez wątpienia miało dość rozbudowane siły zbrojne i wystarczająco grubą skórę, żeby bez mrugnięcia okiem zgładzić całą rozsądną rasę wraz z jej planetą.

W dłuższym czasie agenci Korpusu zdołaliby zinfiltrować struktury Imperium. Znali już pozycję kolejnej zamieszkałej planety, a ponieważ utrzymywała ona regularną komunikację z wieloma innymi, rychło dałoby się ustalić i ich koordynaty. Potem pierwszym krokiem byłoby zebranie danych wywiadowczych, a następnie... Cóż, Korpus Kontroli nie parął się propagandą, ale skoro kampania przeciwnika opierała się na szeregu naprawdę wielkich kłamstw, musiał temu przeciwdziałać. Szczególnie że w zasadzie Korpus miał charakter sił policyjnych, przewidzianych nie tyle do prowadzenia wojny, ile do utrzymywania pokoju. I jak w każdej policji, tak i tutaj starano się zawsze unikać strat wśród osób postronnych. W tym wypadku oznaczało to szarych obywateli zarówno Federacji, jak i Imperium.

Dlatego też plan destabilizacji Imperium należało wcielić w życie, mimo że najpewniej nie przyniesie wymiernych efektów przed pierwszym starciem. Williamson nie tracił wprawdzie nadziei, że Kontroler, który znalazł się w rękach sił imperialnych, nie zna koordynat Szpitala Kosmicznego Sektora Dwunastego, niemniej pułkownik był realistą i wiedział, że przeciwnicy takim albo innym spo-

sobem wydobędą z agenta wszystko, co przechowuje on w pamięci. Pozostało zatem przygotować obronę Szpitala, gdyż wyglądało na to, że imperialna flota najpierw zjawi się właśnie tam. Chyba że Imperium rozproszy swoje siły po całej galaktyce, tracąc czas na poszukiwanie innych obiektów. Z punktu widzenia Korpusu było to najlepsze.

Conway starał się nie myśleć, co będzie, jeśli cała flota Imperium zaatakuje Szpital. . .

Kilka godzin przed alarmem otrzymali kolejny raport od agenta, który dotarł w końcu na Świat Centralny. Podczas gdy pierwszy meldunek wędrował na Etle dziewięć dni, ten drugi został nadany z najwyższym priorytetem i dotarł w ciągu osiemnastu godzin.

Agent informował, że Świat Centralny nie wydaje się równie wrogo nastawiony do obcych jak Etle. Ludzi tam mieszkających cechował większy kosmopolityzm, widywało się nawet czasem jakiegoś obcego na ulicy. Wszakże według pogłosek byli to dyplomaci światów, z którymi Imperium podpisało traktaty o nieagresji, aby zażegnać niebezpieczeństwo, że w obawie przed nim się sprzymierzą. Zamierzało jednak zaanektować je później pojedynczo. Jak dotąd agent był traktowany wręcz wzorowo, nie miał najmniejszych powodów się skarżyć, a za kilka dni czekała go audiencja u samego Imperatora. Niemniej pewne rzeczy zaczynały go niepokoić.

W zasadzie nie chodziło o nic konkretnego, ale też agentowi brakło doświadczenia w dziedzinie kontaktów międzykulturowych. Jak sam przypominał przełożonym, został wyrwany do tej roboty ze Zwiadu Przedkolonizacyjnego. Odnosił jednak wrażenie, że czasem, w pewnym towarzystwie, bywa zniechęcany do rozmów o celach i wielkości Federacji, podczas gdy w innych sytuacjach, zwykle w bardzo małym gronie, wręcz zachęcano go do podjęcia tego wątku. Zastanawiało go również to, że żadne media nie wspomniały o jego przybyciu. Gdyby to wysłannik Imperium zjawił się na jednym ze światów Federacji, wszędzie trąbiono by o tym przez kilka tygodni.

Nie wiedział, czy przypadkiem nie mówi gospodarzom nazbyt wiele, i bardzo żałował, że nie zbudowano jeszcze odbiornika nadprzestrzennego, który byłby równie niewielki jak nadajnik, bo wtedy mógłby chociaż poprosić o jakieś instrukcje. . .

I to była ostatnia wiadomość, jaką od niego otrzymano.

Powrót do Szpitala nie był tak miły, jak Conway spodziewał się jeszcze kilka tygodni temu. Wtedy miał nadzieję, że zostanie powitany niemal jako bohater, który dokonał właśnie największego osiągnięcia w swojej karierze. Liczył na pochlebne komentarze kolegów i na to, że Murchison będzie nań czekać z otwartymi ramionami. To ostatnie było wprawdzie mało prawdopodobne, ale Conway lubił czasem pomarzyć. A tymczasem wracał prawie że pokonany i wolałby, aby nikt go nie pytał, jak mu poszło i co robił. Murchison zaś, owszem, czekała w luku, ale

wyłącznie z przyjaznym uśmiechem na twarzy i rękami opuszczonymi jak należy po bokach.

Widząc go po długiej nieobecności, zachowała się wyłącznie po przyjacielsku, jak stwierdził z goryczą Conway. Powiedziała, że cieszy się z jego powrotu, i zaczęła wypytywać o szczegóły misji. Conway stwierdził zaraz, że ma mnóstwo pilnych spraw do załatwienia i odezwie się do niej później. Uśmiechnął się przy tym tak, jakby spotkanie z Murchison było dlań najważniejszą sprawą na świecie, chociaż do końca mu się to nie udało. Wyszedł z wprawy i dziewczyna musiała zauważyć nieszczerłość. Zaraz przyjęła postawę służbową, stwierdziła, że rozumie, że oczywiście są pilniejsze sprawy, którymi Conway bezwzględnie, absolutnie i natychmiast musi się zająć, po czym odeszła.

Wyglądała równie pociągająco jak zawsze i choć Conway nie miał wątpliwości, że ją uraził, chwilowo naprawdę co innego zaprzętało mu głowę. Przed wszystkim czekało go spotkanie z O'Marą. Gdy wkrótce potem zjawił się w jego gabinecie, okazało się, że obawy wcale nie były płonne. Wręcz przeciwnie.

— Proszę usiąść, doktorze — powitał go psycholog. — Zatem w końcu udało się panu uwikłać nas w międzygwiazdną wojnę?

— To wcale nie jest zabawne — odparł Conway.

O'Mara spojrzał na niego uważnie. Oceniał nie tylko jego wyraz twarzy, ale także to, jak siedział na krześle i poruszał dłońmi. Nie przywiązywał wprawdzie wielkiej wagi do form, ale zauważył, że lekarz pominął tym razem zwyczajowe „sir”. Mimo że nic nie uszło jego uwagi, analiza stanu psychicznego Conwaya zabrała mu około dwóch minut. Przez ten czas psychologowi nawet nie drgnęła powieka. O'Mara nie miał zresztą żadnych tików, podczas rozmów nigdy nie szukał zatrudnienia dla dłoni, potrafił bez trudu zachować prawdziwie kamienną twarz.

Tym razem jednak przybrał w końcu minę wyrażającą łagodną niechęć.

— Zgadzam się — powiedział cicho. — To nie jest zabawne. Ale wie pan równie dobrze jak ja, że zawsze może dojść do tego, iż jakiś wiedziony szlachetnymi pobudkami lekarz swoimi pomysłami wywoła całą lawinę problemów. Często trafiają do nas dziwne i nieznane stworzenia, które tak pilnie wymagają leczenia, że nie ma czasu szukać ich przyjaciół i pytać, jak właściwie należy je leczyć. Tak właśnie było z poczwarką Ian, którą miał pan pod opieką kilka miesięcy temu, zanim jeszcze nawiązaliśmy z nimi kontakt. Gdyby nie postawił pan prawidłowej diagnozy, tylko postąpił rutynowo i doprowadził do zgonu pacjenta, mielibyśmy poważne problemy z Ianami.

— Tak, sir.

— Moja uwaga była żartobliwa i tak też powinna być odebrana, szczególnie jeśli pamiętać o pańskim niedawnym doświadczeniu z Ianami. Może nie był to żart w najlepszym guście, ale jeśli sądzi pan, że będę pana przepraszać, to chyba w cuda pan wierzy. A teraz proszę mi opowiedzieć o Etl. I jeszcze jedno — dodał,

zanim Conway zdążył się odezwać. — Moje biurko i kosz na śmieci pełne są opracowań na temat możliwych skutków całej tej sprawy z Etlą. Od pana oczekuję wyczerpującej relacji z pierwszej ręki.

Conway opowiedział wszystko w możliwie największym skrócie. W miarę jak mówił, coraz bardziej się uspokajał, chociaż nie potrafił się pozbyć przerażenia związanego ze świadomością, co wojna może znaczyć dla wielu milionów inteligentnych istot, dla Szpitala i dla niego samego. Nie czuł się już jednak nawet w części odpowiedzialny za tę sytuację. O'Mara zaczął rozmowę od oskarżenia go o coś, co Conwayowi faktycznie wydawało się słuszne, i tym jednym krótkim zdaniem ukazał, jaki to absurd. Jednak gdy opowiadał o zniszczeniu statku Lonvellina, poczucie winy znowu wróciło. Gdyby wcześniej poskładał to wszystko do kupy, Lonvellin mógłby żyć...

O'Mara musiał wyczuć zmianę nastroju Conwaya i odezwał się, dopiero gdy rozmówca skończył relację.

— Zdumiewa mnie, że Lonvellin nie dojrzał tego przed panem, skoro był mózgiem całej operacji. A jeśli już o mózgach mowa, wydaje się, że całkiem dobrze potrafi pan sobie radzić z większymi grupami istot różnych gatunków, mam więc dla pana kolejne zadanie. Na mniejszą skalę niż operacja na Etlu, nie będzie pan też musiał opuszczać Szpitala i przy odrobinie szczęścia tym razem nic złego z pańskich poczynań nie wyniknie. Chcę, żeby zajął się pan ewakuacją Szpitala Kosmicznego Sektora Dwunastego.

Conway przełknął z wysiłkiem ślinę. Raz, a potem drugi.

— Proszę nie robić min, jakby pan oberwał w łeb czymś ciężkim, bo naprawdę panu przyłożę! — rzucił z irytacją O'Mara. — Chyba rozumie pan, że gdy przybędzie flota Imperium, w Szpitalu nie może być ani pacjentów, ani żadnego cywilnego personelu, który nie zgodziłby się zostać na ochotnika. Ani w ogóle żadnej osoby, niezależnie od stanowiska czy rangi, która znałaby szczegółowe koordynaty dowolnej planety Federacji. Na dodatek ma pan już trochę wprawy w pomiataniu pułkownikiem Korpusu, więc nawet perspektywa wydawania poleceń swoim przełożonym nie powinna pana przerażać...

Conwayowi zrobiło się gorąco. Pomiął milczeniem sprawę starcia z Williamsonem i powiedział:

— Myślałem, że wszyscy opuścimy Szpital...

— Nie — stwierdził sucho O'Mara. — Ma on zbyt wielkie znaczenie militarne, że o wartości materialnej i kontekście emocjonalnym nie wspomnę. Chcemy też utrzymać kilka poziomów w ruchu dla opieki nad rannymi w walce. Pułkownik Skempton zajął się już przygotowaniami do ewakuacji i zrobi wszystko, żeby panu pomóc. Która jest teraz dla pana godzina, doktorze?

Conway odpowiedział, że zszedł z pokładu *Vespasiana* dwie godziny po śniadaniu.

— Dobrze. Może pan zatem zaraz poszukać Skemptona i proszę brać się do pracy. Ja oka od paru dni nie zmrzyłem, ale spać będę tutaj, na wypadek gdybym był wam potrzebny. Dobranoc, doktorze.

Powiedziawszy to, zdjął i złożył wierzchnie odzienie, zzuł buty i po prostu położył się na koi. Po paru sekundach oddychał już głęboko i regularnie, jak ktoś śpiący. Widząc to, Conway zachichotał.

— Naczelnny psycholog na kozetce — mruknął. — Oto prawdziwie traumatyczne przeżycie... Obawiam się, że nasze kontakty nigdy nie będą już takie same, sir...

— Miło mi to słyszeć... — mruknął sennie O'Mara, gdy Conway już wychodził. — Bo przez chwilę wydawało mi się, że zaczyna, pan popadać w ponuractwo...

Rozdział trzynasty

Siedem godzin później Conway spojrział na swoje zarzucone papierami biurko i przetarł powieki. Był zmęczony, ale i zadowolony. Uniósł głowę i przez chwilę miał wrażenie, że znów jest na Eтли, ale tym razem zaczerwienione oczy naprzeciwko nie należały do Stillmana, lecz do pułkownika Skemptona.

— Jesteśmy praktycznie gotowi do ewakuacji pacjentów — powiedział z wysiłkiem. — Zostali podzieleni na rasy, żeby ustalić, jakie warunki środowiskowe muszą panować na pokładach statków i ile ich potrzebujemy. W niektórych wypadkach konieczne jest dokonanie modyfikacji konstrukcyjnych, co zajmie trochę czasu. Następnie w obrębie każdej rasy wydzieliliśmy podgrupy związane ze stanem pacjentów. Od tego zależna będzie kolejność ich ewakuacji. . .

Tyle że ci w najpoważniejszym stanie, którzy w ogóle nie powinni być ruszani, odlecą ostatni, żeby dać maksymalnie dużo czasu na leczenie, pomyślał Conway i skrzywił się w duchu. Tym samym wysoko wyspecjalizowany personel medyczny, który powinien jak najszybciej odlecieć, zostanie prawie do końca i może się dostać pod ostrzał floty Imperium. Niestety, nic nie przebiegało tak, jak powinno.

— . . . potem minie jeszcze kilka dni, zanim ludzie majora O'Mary zajmą się personelem medycznym i technikami, chociaż sporo w tej sprawie jest już robione — ciągnął Conway. — Lecąc tutaj, bałem się, że Szpital może już być atakowany, a teraz nie wiem, czy zarządzić błyskawiczne opróżnienie Szpitala w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, czy przestać patrzeć na zegarek i zarządzić po prostu pospieszną ewakuację. W pierwszym wypadku stracimy zapewne więcej pacjentów, niż uratujemy. . .

— Czterdzieści osiem godzin to za mało, żeby zapewnić transport — stwierdził krótko Skempton i znowu zwiesił głowę. Jako szef służb technicznych i najwyższy rangą Kontroler Szpitala to on odpowiadał za rozkład lotów i ściągnięcie potrzebnych statków. Obecnie miał naprawdę wiele roboty.

— Zmierzam jednak do czego innego — powiedział Conway. — Chciałbym wiedzieć, ile naprawdę mamy czasu.

Pułkownik spojrział na niego.

— Przykro mi, doktorze, ale według analizy, którą otrzymałem kilka godzin temu... — Sięgnął po jedną z licznych kartek leżących na jego biurku i zaczął czytać.

Biorąc pod uwagę wszystkie znane czynniki, autorzy analizy uznali za prawdopodobne, że pomiędzy ustaleniem przez Imperium dokładnej pozycji Szpitala a podjęciem akcji nie upłynie wiele czasu. Należało oczekiwać, że pierwszy pojawi się jakiś statek zwiadowczy albo małe siły z zadaniem przeprowadzenia rozpoznania walką. Znajdujące się już w pobliżu Szpitala jednostki Korpusu spróbują zniszczyć wrogie okręty, ale czy im się to uda czy nie, następne uderzenie Imperium będzie na pewno o wiele silniejsze. Niemniej ofensywy nie przeprowadza się z dnia na dzień i zebranie wielkich sił na pewno zajmie imperialnym trochę czasu. A wtedy w pobliżu Szpitala będzie już czuwać znacznie więcej ściąganych zewsząd jednostek Korpusu.

— ...mamy więc zapewne około sześciu dni. A jeśli szczęście dopisze, to nawet trzy tygodnie — zakończył Skempton. — Ale ja nie liczyłbym za bardzo na szczęście.

— Dziękuję — powiedział Conway i wrócił do pracy.

Najpierw ułożył dla personelu medycznego komunikat, który miał zostać rozpowszechniony w ciągu najbliższych sześciu godzin. Conway kładł w nim największy nacisk na potrzebę jak najszybszej i zarazem uporządkowanej ewakuacji, ale przestrzegał, aby nie wpadać w panikę. Zalecał, żeby pacjenci dowiedzieli się o wszystkim indywidualnie od swoich lekarzy, co powinno oszczędzić im nieco nerwów. W wypadku ciężko chorych lekarze prowadzący powinni sami zdecydować, czy wyjaśniać im cokolwiek, czy też poprzestać na podaniu silnych środków uspokajających i ewakuować ich nieprzytomnych. Dodawał też, że pewna część personelu medycznego opuści Szpital razem z pacjentami, zatem wszyscy powinni być gotowi do odlotu w ciągu paru godzin od powiadomienia. Potem przekazał tekst do działu publikacji, gdzie miał zostać powielony w formie druku oraz nagrań, a następnie rozpowszechniony tak, aby wszyscy otrzymali go mniej więcej w tym samym czasie.

Oczywiście to była tylko teoria. Conway nie miał złudzeń, że dzięki wtórnemu obiegowi informacji najważniejsze przestanie być tajemnicą jakieś dziesięć minut po wyniesieniu pisma z jego gabinetu.

Następnie przygotował szczegółowe instrukcje dotyczące pacjentów. Ciepłokrwiste i tlenodyszne formy życia mogły być ewakuowane praktycznie przez każdy luk, jednak istoty przywykłe do znacznego ciężenia albo ciśnienia tylko przez niektóre. Jeszcze większe problemy sprawiali „lekkograwitacyjni” MSVK i LSVO, gigantyczni skrzelodyszni AUGL i inni, na przykład o kruchej budowie ciała. No i był jeszcze z tuzin istot z poziomu trzydziestego ósmego, które oddychały przegrzaną parą. Conway planował, że ewakuacja pacjentów zajmie pięć dni, a ostatni członkowie personelu opuszczą Szpital dwa dni po nich. Wie-

dział też, że w pośpiechu nie obejdzie się bez częstego przechodzenia różnych istot przez oddziały całkiem nie przystosowane do ich warunków życia. Istniało zatem zwiększone ryzyko skażenia oddziałów chlorodysznych tlenem czy wycieków chloru na poziomy AUGL. Albo i zalania wszystkiego wodą. Trzeba było szczególnie uważać na sprzęt chłodzący metanowców, kontrolować na bieżąco antygravitatory kruchych, przypominających ptaki LSVO i całość kombinezonów ciśnieniowych Illensańczyków.

Skażenie było w tak wielośrodowiskowym szpitalu największym zagrożeniem. Skażenie tlenem, chlorem, metanem, wodą... A do tego dochodziły jeszcze radioaktywność, przegrzanie oraz wychłodzenie. Niestety, podczas ewakuacji ryzyko wzrastało, gdyż tempo działań wymagało wyłączenia przynajmniej niektórych zespołów czujników i układów alarmowych oraz uproszczenia procedur przechodzenia przez śluzy.

W dalszej kolejności personel musiał dokładnie sprawdzić stan podstawionych jednostek i upewnić się, czy należycie przystosowano je do transportu pasażerów.

Conway czuł, że ma dość i nic już z siebie nie wykrzesze. Oparł głowę na dłoniach, zamknął oczy i poczekał, aż powidok biurka rozplynie się w czerwonej poświacie. Odkąd opuścił Etlę, zajmował się wyłącznie papierkową robotą i nie mógł już patrzeć na raporty, zestawienia, analizy i instrukcje. Owszem, był lekarzem i miał wprawę w planowaniu skomplikowanych operacji, ale to, co teraz robił, było raczej zadaniem dla urzędnika niż dla chirurga. Nie po to studiował przez wiele lat i zdobywał cenną praktykę, by zostać na koniec gryziپیórkiem.

Wstał, przeprosił chrapliwym głosem pułkownika i wyszedł z biura. Nie myśląc wiele o tym, dokąd idzie, skierował kroki ku swojemu oddziałowi.

Zjawił się tam, akurat gdy do pracy przystępowała nowa zmiana i do pierwszego posiłku zostało tylko pół godziny. Niezwykła pora na obchód jak na starszego lekarza. W innych okolicznościach lekka panika, którą wzbudził, mogłaby być nawet zabawna. Przywitał się uprzejmie z dyżurnym internistą, stwierdzając ze zdumieniem, że jest nim spotkany dwa miesiące wcześniej kreppeliański oktopod, nie spodobało mu się jednak wcale, gdy AMSL uparł się, że będzie towarzyszył mu w obchodzie. Była to wprawdzie zwykła praktyka, że lekarz dyżurny podążał w takich sytuacjach za szefem (w stosownej odległości), jednak teraz Conway wolałby zostać sam na sam ze swoimi myślami i pacjentami.

Najbardziej zależało mu na spotkaniu i rozmowie z co dziwniejszymi nieziemcami, których formalnie miał pod opieką. Tych pacjentów, których tu zostawił, wyruszając na Etlę, już dawno wypisano. Ze względu na chwilowy wstręt do słowa pisanego nie patrzył teraz na karty chorób, wolał wypytywać, czasem bardzo dokładnie, samych pacjentów o objawy, samopoczucie i w ogóle o nich samych. Niektórzy byli wyraźnie ucieszeni i podbudowani takim zainteresowaniem starszego lekarza, paru zirytowały szczegółowe pytania, jednak Conway wszystkich

traktował równo. Czuł, że tak trzeba. Dopóki miał pacjentów, chciał być dla nich lekarzem.

Lekarzem od obcych w Szpitalu, który właśnie przestawał funkcjonować.

Szpital Kosmiczny Sektora Dwunastego, wielka i złożona konstrukcja zbudowana, by nieść ulgę w cierpieniu, umierał niczym pacjent trawiony nieuleczalną chorobą. Jutro o tej porze większość oddziałów miała być już pusta. Najrozmaitsi pacjenci znikną, zostaną tylko wszelkie możliwe rodzaje łóżek i legowisk, martwe i zimne niczym surrealistyczne rzeźby. Odlot pacjentów i personelu oznaczał, że nie trzeba już będzie dbać o utrzymanie ich środowisk życiowych, przyjdzie zdjąć autotranslatory i odłożyć taśmy z hipnozapisami. . .

Jednak największy szpital galaktyki czekało jeszcze co najmniej kilka dni albo i tygodni aktywności. Korpus Kontroli nie miał żadnego doświadczenia w prowadzeniu międzygwiazdnych wojen, ta miała być pierwsza, ale z grubsza wiadomo było, czego oczekiwać. Przede wszystkim należało liczyć się z ofiarami na pokładach okrętów. W większości będą to zapewne ofiary śmiertelne, a obrażenia rannych i poszkodowanych można było z góry podzielić na trzy rodzaje: wywołane dekompresją, promieniowaniem albo wstrząsami. Zamierzano przeznaczyć dla nich tylko dwa albo trzy poziomy Szpitala, zakładano bowiem, że większość cierpiących z powodu silnej choroby kesonowej, albo po prostu rannych, otrzyma też w walce śmiertelną dawkę promieniowania. Nie było żadnych podstaw, by żywić nadzieję, że nie dojdzie do użycia broni atomowej, co zawsze oznaczało niewielu pacjentów. . .

Potem miało nadejść najgorsze, czyli fizyczne zniszczenie Szpitala przez siły Imperium. Conway nie był taktykiem, ale i bez tego pojmował, że nie da się obronić tak wielkiego nieruchomego celu przed kimś, kto chce go zamienić w wypaloną, zimną kupę złomu. . .

Conwaya nagle ogarnął smutek i gniew zarazem. Opuszczając oddział, sam nie wiedział, czy najbardziej chce mu się płakać, kłać czy może... dać komuś w zęby. Jednak nie zdążył się zdecydować, gdyż skręcając w korytarz wiodący do sekcji PVSJ, zderzył się z Murchison.

Zderzenie, chociaż gwałtowne, nie było bolesne, szczególnie że jedna ze stron była dobrze wyposażona w elementy amortyzujące, jednak przerwało nieprzyjemne rozmyślenia. Nagle zapragnął pobyc trochę w towarzystwie Murchison i porozmawiać z nią. Naszło go to z tych samych powodów, z których wcześniej chciał odwiedzić swoich pacjentów. Wiedział, że to być może ostatnia okazja.

— Prze... praszam — wyjąkał, cofając się o krok. Potem przypomniał sobie ich poprzednie spotkanie i powiedział: — Trochę spieszyłem się rano przy luku, nie mogłem też jeszcze wiele powiedzieć. Masz teraz dyżur?

— Właśnie skończyłam — odparła Murchison neutralnym tonem.

— Aha... Wiesz, zastanawiałem się... to znaczy myślałem, czy może byś chciała... . .

— Chętnie pójde popływać.

— Świetnie.

Poszli na poziom rekreacyjny, przebrali się w kabinach i spotkali na sztucznej plaży. Gdy szli do wody, Murchison powiedziała niespodziewanie:

— A, szanowny doktorze, jedna sprawa. Czy kiedy wysyłałeś mi listy, nie przyszło ci do głowy, żeby włożyć je do kopert i zaadresować?

— Żeby wszyscy wiedzieli, że do ciebie piszę? Myślałem, że tego nie chcesz.

Murchison prychnęła jak kotka.

— Ten kanał przerzutowy i tak nie był bezpieczny — stwierdziła z irytacją. — Thornnastor z patologii ma aż trzy otwory gębowe i co rusz robi z nich użytek. Poza tym, choć listy były miłe, to czy naprawdę musiałeś je pisać na odwrocie analiz śliny?!

— Przepraszam. . . To się już nie powtórzy.

Ponury nastrój, który zniknął gdzieś na widok Murchison, powrócił z całą siłą. Jasne, to się już nie powtórzy, pomyślał Conway. Nie będzie okazji. . . Gorące sztuczne słońce przestało nagle grzać tak mocno, woda nie była już tak miłe chłodna. Nawet połowiczne ciśnienie stało się męczące, jakby nagle doszło do głosu gromadzone tygodniami znużenie. Już po kilku minutach zawrócił na płytcinę i wyszedł na plażę. Murchison ruszyła za nim z poważną miną.

— Schudłeś — powiedziała, gdy go wreszcie dogoniła.

Conway chciał w pierwszej chwili odpowiedzieć „A ty nie”, ale pomyślał, że taki komplement może zabrzmieć opacznie, a tylko tego brakowało, żeby jeszcze obraził Murchison. Nagle jednak coś przyszło mu do głowy.

— Całkiem zapomniałem. . . jesteś po pracy, a ja jeszcze nic dziś nie jadłem. Dasz się zaprosić na obiad?

— Tak, chętnie.

Restauracja mieściła się wysoko na szczycie klifu, nad pomostami do skoków, i była otoczona przezroczystą ścianą, która pozwalała cieszyć oczy widokiem morza, ale chroniła od hałasu. To było jedyne miejsce na całym poziomie rekreacyjnym, gdzie można było porozmawiać w ciszy. Jednak Conway i Murchison marnowali okazję, gdyż prawie się nie odzywali.

Dopiero w połowie posiłku dziewczyna przerwała milczenie:

— I widzę, że prawie nie jesz.

— Miałaś kiedyś własny statek kosmiczny? — spytał nagle Conway. — Albo może pilotowałaś jakiś?

— Ja? Oczywiście, że nie!

— A gdyby zdarzyła się katastrofa i zostałabyś na uszkodzonym statku z ranym i nieprzytomnym astrogatorem, napęd zaś byłby sprawny, potrafiłabyś wprowadzić koordynaty jakiejś planety należącej do Federacji? — naciskał Conway.

— Nie — odparła z irytacją Murchison. — Poczekalabym, aż astrogator odzyska przytomność. O co ci właściwie chodzi?

— Niebawem będę zadawać te pytania wszystkim znajomym — mruknął ponuro Conway. — Gdybyś odpowiedziała na któreś „tak”, miałbym choć jeden kłopot z głowy.

Murchison odłożyła nóż i widelec i zmarszczyła lekko brwi. Pięknie z tym wygląda, pomyślał Conway. I tak samo, gdy się śmieje. I w ogóle zawsze. A szczególnie w kostiumie kąpielowym. Lubił to miejsce, bo można się tu było pojawić w tak skąpym odzieniu. Żałował, że nie potrafi się otrząsnąć z przygnębienia i przez parę godzin zabawić Murchison. Powątpiewał też, czy dziewczyna miałaby ochotę, aby ją odprowadził taki ponurak. O intymnym wykorzystaniu dwóch minut i czterdziestu ośmiu sekund, które zostałyby im wtedy do przybycia robota, nie wspominając...

— Coś cię gryzie — powiedziała Murchison, po czym dodała ostrożnie: — Jeśli potrzebujesz kogoś, żeby się wypłakać, służę ramieniem. Ale tylko w tym celu i w żadnym innym.

— A jakie inne cele mogłyby wchodzić w grę?

— Nie wiem — stwierdziła z uśmiechem. — Ale coś bym pewnie znalazła.

Conway nie odwzajemnił uśmiechu, tylko opowiedział wreszcie o tym wszystkim, co przyprawiało go o ból głowy. W tym i o decyzjach dotyczących ludzi, również samej Murchison. Gdy skończył, przez dłuższą chwilę milczała, a Conway patrzył ze smutkiem na młodą, bardzo piękną i mądrą kobietę, która namyślała się nad decyzją mogącą kosztować ją życie.

— Chyba zostanę — oznajmiła w końcu, tak jak spodziewał się Conway. — Ty oczywiście też zostajesz?

— Jeszcze nie zdecydowałem — odparł ostrożnie. — I tak nie mogę odlecieć przed końcem ewakuacji. A potem... może nie będzie po co zostawać... — powiedział i dodał, próbując skłonić ją do zmiany zdania: — Całe twoje doświadczenie w pracy z obcymi się zmarnuje. Jest jeszcze wiele innych szpitali, gdzie chętnie cię przyjmą...

Murchison usiadła prosto.

— Z tego, co mówisz, wynika, że będziemy mieli jutro pracowity dzień — stwierdziła rzeczowym tonem pielęgniarki informującej opornego pacjenta o czekającym go zabiegu. — Powinieneś się porządnie wyspać. Im szybciej wrócisz do siebie, tym lepiej... — Po czym całkiem innym tonem dodała: — Ale jeśli miałbyś ochotę najpierw mnie odprowadzić...

Rozdział czternasty

Następnego dnia, gdy instrukcja dotarła już do wszystkich, ewakuacja ruszyła szczęśliwie bez zgrzytów. Chorzy nie sprawiali żadnych kłopotów, bo taki już los pacjenta, że w pewnej chwili musi opuścić szpital. Nieco dramatyczne okoliczności wiele w tej materii nie zmieniły. Inaczej wyglądała sprawa z punktu widzenia personelu. O ile dla pacjenta szpital jest tylko bolesnym epizodem, o tyle dla personelu stanowi on treść życia.

Niemniej tego akurat dnia personel również nie sprawiał kłopotów. Wszyscy robili dokładnie to, co im kazano, chociaż zapewne nie tylko z przyzwyczajenia, ale i pod wpływem szoku. Praca bywa w takich wypadkach najlepszym lekarstwem. Jednak drugiego dnia, gdy większość nieco się już otrząsnęła, zaczęły się protesty. Kierowano je oczywiście w pierwszej kolejności pod adresem Conwaya.

Trzeciego dnia Conway zadzwonił do O'Mary.

— W czym problem?! — wybuchnął, gdy psycholog zadał mu to pytanie. — A w tym, że nasza banda geniuszy ma własne zdanie! Na dodatek im kto inteligentniejszy, tym na głupsze pomysły wpada! Choćby ten kruchy jak jajko Priliela, którego mógłby porwać większy przeciąg, upiera się, że nie opuści Szpitala. To samo powtarza doktor Mannon, chociaż jest już prawie Diagnostyką. I jeszcze mówi, że leczenie przez jakiś czas wyłącznie Ziemiaków byłoby dla niego miłą odmianą, prawie że wakacjami. Inni zaś wymyślają najfantastyczniejsze powody, żeby zostać. Musi ich pan przekonać, sir. Pan jest naczelnym psychologiem...

— Trzy czwarte personelu medycznego i techników wie coś, co mogłoby się przydać wrogowi — przerwał mu ostro O'Mara. — Odlecają zatem niezależnie od tego, czy są Diagnostykami, komputerowcami czy młodszymi sanitariuszami. Względy bezpieczeństwa. Nie będą mieli najmniejszego wyboru. Ponadto część lekarzy uzna za swój obowiązek towarzyszyć pacjentom w podróży ze względów medycznych. Jeśli zaś chodzi o tych, którzy postanowią zostać, niewiele mogą zrobić. Są zdrowi na umyśle i dorośli, mają więc prawo decydować o sobie.

— Aha — mruknął Conway.

— Zanim pan komuś zarzuci szaleństwo, proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Pan zostaje?

— Noo...

O'Mara przerwał połączenie.

Conway przez dłuższą chwilę patrzył na słuchawkę, zanim ją odłożył. Nie zdecydował się jeszcze do końca, czy zostać czy nie. Wiedział, że nie ma skłonności bohaterskich, i chciałby odlecieć, lecz nie zamierzał opuszczać przyjaciół, a Murchison, Prilicla i inni jeszcze zostawali. Conway bałby się zgadywać, co też by sobie o nim pomyśleli, gdyby uciekł.

Zapewne wszyscy sądzili, że on też zostaje, lecz ze skromności o tym nie wspomina, Conway zaś po prostu się bał, tylko hipokryzja nie pozwalała mu się do tego przyznać. . .

Nagle samokrytyczne myśli spłoszył ostry głos pułkownika Skemptona:

— Doktorze, przybył kelgiański statek szpitalny. I jeszcze illensański frachtowiec. Za dziesięć minut cumują przy lukach pięć i siedemnaście.

— Dobrze — odparł Conway i wyszedł, a właściwie niemal wybiegł z biura, kierując się do izby przyjęć.

Tym razem wszystkie trzy stanowiska były zajęte: przy dwóch siedzieli Nidiańczycy, przy trzecim dyżurny porucznik Korpusu. Conway ustawił się lekko z tyłu za Nidiańczykami, w miejscu, z którego mógł śledzić oba zestawy ekranów. Zacisnął kciuki w nadziei, że może jednak poradzi sobie jakoś z tym, co wydawało się niewykonalne.

Kelgiański statek już zacumował przy piątce. Był to jeden z najnowszych międzygwiazdnych liniowców, który został przekształcony w jednostkę szpitalną. Częściowa przebudowa nie została jeszcze ukończona, ale technicy Szpitala wchodzili już na pokład wraz z robotami. Zjawił się też starszy personel oddziału, który miał się zająć rozlokowaniem pacjentów. W tym samym czasie chorzy byli przygotowywani do przenosin. Pospiesznie i bez większej troski o całość ścian oddziału rozmontowywano sprzęt potrzebny przy leczeniu. Mniejsze urządzenia wrzucano na samobieżne nosze i zaraz odsyłano na statek.

Operacja była na pozór prosta. Na pokładzie statku panowało odpowiadające Kelgianom ciśnienie i ciężenie, można było zatem obyć się bez sprzętu adaptacyjnego. Jednostka była też na tyle duża, by pomieścili się wszyscy i zostało jeszcze sporo miejsca. Conway mógł dzięki temu szybko ewakuować wszystkie poziomy DBLF i na dokładkę pozbyć się jeszcze paru Tralthańczyków. Niemniej nawet tak nieskomplikowane przenosiny musiały potrwać co najmniej sześć godzin. Conway spojrzął na drugie stanowisko.

Tutaj obraz był pod wieloma względami podobny. Illensański statek był idealny dla istot PVSJ, jednak jako mniejszy, i to frachtowiec, miał niezbyt liczną załogę, toteż przygotowań do przyjęcia pacjentów na pokład jeszcze nie ukończono. Conway skierował tam dodatkową ekipę i pomyślał, że na tej jednostce na pewno nie upchnie pacjentów trzech kolejnych poziomów. Dobrze będzie, jeśli pomieści ona z sześćdziesięciu PVSJ.

Wciąż się zastanawiał, jak poprawić plan, gdy rozjarzył się ekran nad stanowiskiem porucznika.

— Mamy tralthański ambulans, doktorze — powiedział Kontroler. — Z pełną obsadą i zapasami dla sześciu FROB-ów, Chalderescolan i jeszcze dwudziestu z ich gatunku. Nie potrzebują żadnej pomocy, gotowi są do natychmiastowego przyjęcia pacjentów.

Mieszkańcy Chalderescola, dwunastometrowe istoty przypominające pancerne ryby, nie mogliby przeżyć poza wodą dłużej niż kilka sekund. FROB-y natomiast, cechujące się masywną budową i grubą skórą, pochodziły z planety Hudlar, gdzie panowało olbrzymie ciśnienie i także ciężenie. Ścisłe rzecz biorąc, Hudlarianie w ogóle nie oddychali. Mało co mogło im zaszkodzić i potrafili bez żadnych osłon pracować nawet w przestrzeni kosmicznej, zatem przelot w basenie dla AUGL nie był dla nich żadnym problemem.

— Niech cumują przy luku dwudziestym ósmym — polecił szybko Conway. — Gdy zaczną załadunek, wyślij FROB-y przez sekcję ELNT do głównego basenu AUGL, żeby mogły wejść na pokład przez ten sam luk. Potem każ załodze przycumować do luku piątego, tam będą czekać następni. . .

Ewakuacja nabierała tempa. Pierwszy etap prac adaptacyjnych na pokładzie illensańskiego frachtowca dobiegł końca i wyznaczeni spośród rekonwalescentów chlorodyszni pacjenci oraz ich obsługa medyczna ruszyli hałaśliwie przez żółtawą mgłę do luku. Równocześnie inny ekran ukazywał długi wąż Kelgian przesuwający się ku wejściu na ich statek. Lekarze i technicy krążyli ciągle tam i z powrotem, przenosząc sprzęt.

Komuś mogłoby się wydać dziwne, że w pierwszej kolejności ewakuowano ozdrowieńców, ale były po temu istotne powody. Chodziło o to, żeby na oddziałach i podejściach do luków nie zapanował tłok i łatwiej było przewozić ciężko chorych na ich często skomplikowanych i obudowanych sprzętem łóżach boleści. Ponadto dzięki temu ci wymagający najtroskliwszej opieki mogli jeszcze trochę pobyc w lepszych niż na statku warunkach.

— Jeszcze dwie illensańskie jednostki, doktorze — oznajmił porucznik. — Małe, gdzieś na dwudziestu pacjentów każda.

— Luk siedemnasty jest jeszcze zajęty — mruknął Conway. — Niech poczekają w pobliżu.

Gdy zaczęto roznosić tace z lunchem, przybył stateczek pasażerski z zamieszkaney przez ludzi planety Gregory. W Szpitalu leczono tylko kilku Ziemiaków, lecz jednostka z Gregory mogła zabrać każdą ciepłokrwistą tlenodysznią istotę o masie mniejszej niż masa Tralthańczyka. Conway uporał się ze wszystkim, nie dbając o to, że musi mówić, a czasem i krzyczeć, z pełnymi ustami.

Potem na ekranie łączności wewnętrznej pojawiła się nagle spocona i zirytowana twarz Skemptonona.

— Doktorze, ma pan już jakieś zajęcie dla tych dwóch illensańskich statków, którym kazał pan czekać?

— Owszem! — odparł Conway, rozdrażniony tonem pułkownika. — Ale przez siedemnasty przechodzą już chlorodyszni, a na tym poziomie nie ma innego luku, który by się dla nich nadawał. Muszą jeszcze trochę poczekać.

— Nie ma mowy — niemal warknął Skempton. — W pobliżu Szpitala są za bardzo narażone na nagły atak. Albo zaraz skieruje je pan do załadunku, albo będę musiał kazać im odlecieć i wrócić tu później. Zapewne sporo później. Przykro mi.

Conway otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, pojmując, że odpowiedź, która przysłała mu do głowy, jest bez sensu. Opanował się i spróbował pomyśleć.

Przygotowania do obrony Szpitala trwały już od paru dni i Korpus jeszcze ścigał swoje siły. Odpowiedziami za przegrupowanie astrogatorzy mieli odlecieć zaraz po wykonaniu zadania, albo na własnych jednostkach zwiadowczych, albo razem z ewakuowanymi. Plan zakładał, że wśród obrońców czy pozostałej obsługi Szpitala nie będzie w decydującej chwili nikogo, kto by znał zamiary jakiegokolwiek planety Federacji. Dwa wyczekujące biernie statki z kompetentnymi astrogatorami na pokładach musiały być solą w oku dowódcy floty Korpusu.

— Dobrze, pułkowniku — powiedział Conway. — Skierujemy je do piętnastego i dwudziestego pierwszego. Chlorodyszni przejdą przez oddział położniczy DBLF i część sekcji AUGL. Mimo tych komplikacji powinni opuścić Szpital w trzy godziny.

Komplikacje, też coś! — pomyślał i skrzywił się, ale wydał odpowiednie rozkazy. Szczęśliwie oddział DBLF oraz sekcja AUGL miały być już niedługo puste i przechodzący w okryciach ciśnieniowych Illensańczycy nie powinni napotkać trudności. Niemniej do przyległego luku cumował statek z Gregory, przyjmujący obecnie pacjentów ELNT prowadzonych tędy w skafandrach ochronnych przez pielęgniarki DBLF. Na swoją kolej, aby wejść na pokład tejsze jednostki, czekały też kručze, ptasie istoty MSYK, jednak one musiały najpierw przedostać się przez oddział chlorodysznych, który lepiej byłoby wcześniej opróżnić. . .

Do Conwaya dotarło nagle, że w izbie przyjęć nie ma dość ekranów, aby obserwować wszystko, co dzieje się wkoło Szpitala i na jego terenie. Był przekonany, że jedna chwila jego nieuwagi może się skończyć jakąś straszną katastrofą, ale jak miał na wszystko uważać, skoro brakło po temu technicznych możliwości? Jedynym wyjściem było opuścić izbę przyjęć i osobiście pokierować ruchem.

Skontaktował się z O'Marą, wyjaśnił, o co chodzi, i poprosił o przysłanie zmiennika.

Rozdział piętnasty

Doktor Mannon jęknął na widok baterii ekranów i migających światełek, ale płynnie przejął obowiązki Conwaya. Lepiej być nie mogło. Gdy Conway odwracał się już, żeby odejść, Mannon przysunął nos na siedem centymetrów do jednego z ekranów i mruknął:

— Aha...

— Co się dzieje?

— Nic, nic — odparł Mannon, nie odwracając oczu od ekranu. — Zaczynam tylko rozumieć, dlaczego wolisz znaleźć się tam, na dole.

— Przecież już wcześniej powiedziałem! — warknął z irytacją Conway i wypadł z pomieszczenia, przeklinając Mannona w duchu za jego zwyczaj zagajania bezsensownych rozmów w chwili, gdy każde zbyteczne słowo może mieć wręcz kryminalne konsekwencje. Potem jednak pomyślał, że pewnie starzejący się już lekarz jest po prostu zmęczony albo któraś z hipnotaśm szczególnie go zaabsorbowała, i zrobiło mu się wstyd. Sprzeczeki ze Skemptonem albo z dyżurnymi w izbie przyjęć nie martwiły go, ale nawet w tak niezwyklej, piekielnie uciążliwej sytuacji wolałby nie drzeć kotów z przyjaciółmi. Zaraz jednak znowu wziął się do pracy i całkiem zapomniał o wstydzie.

Trzy godziny później odniósł wrażenie, że panujące wkoło zamieszanie się podwoiło, chociaż w rzeczywistości udało mu się działać dwa razy więcej niż wcześniej, i to w dwukrotnie krótszym czasie. Ze stanowiska ponad obszernym wejściem do głównego oddziału AUGL widział kolejkę ELNT, sześciu sześcioramiennych, krabowatych istot z planety Melf IV, które pełzały albo były ciągnięte po dnie wielkiego basenu. W odróżnieniu od ich dwudysznych pacjentów pracujący tu futrzaści Kelgianie musieli nosić ubiory ochronne, w których szybko robiło się upiornie gorąco. Przetłumaczone urywki rozmów, które docierały do Conwaya, chociaż wyprane z emocji, świadczyły, że wszyscy są o krok od buntu. Jednak nie mieli wyboru. Trzeba było robić swoje, i to możliwie najszybciej.

Korytarzem za plecami Conwaya przesuwawała się powolna procesja Illensańczyków. Niektórzy szli w skafandrach, ciężej chorych przewożono na łózkach okrytych namiotami ciśnieniowymi. Pomagały im ziemskie oraz kelgiańskie pie-

łęgniarki. Przemarsz odbywał się całkiem sprawnie, chociaż jeszcze pół godziny wcześniej Conway nie wiedział, czy w ogóle będzie możliwy...

Gdy pacjenci pod namiotami ciśnieniowymi dotarli do wypełnionego wodą basenu AUGL, powłoki wyduły się chlorem niczym balony i uniosły ich wraz z łózkami ku sufitowi zbiornika. Holowanie ich w tym położeniu było niemożliwe, ponieważ występy konstrukcji mogłyby poszarpać namioty, a podczepianie pięciu albo i sześciu pielęgniarek pod każde łóżko w roli balastu wydawało się niepraktyczne. Najpierw Conway spróbował zastosować samobieżne nosze sprowadzone z wyższego poziomu. Teoretycznie były przystosowane do wykorzystania w środowisku wodnym i mogły pomóc w przewiezieniu kłopotliwych pacjentów, jednak przy pierwszej próbie z jakiegoś powodu pękła pokrywa akumulatorów i woda wkoło nie dość, że zaczęła się burzyć, to jeszcze poczerniała.

Conway wcale się nie zdziwił, gdy później usłyszał, że pacjent na tym pechowym łóżku miał nawrót choroby.

Ostatecznie rozwiązał problem dzięki nagłemu przyływowi natchnienia, które jednak, jak sobie powtarzał, powinno nadejść dwie sekundy po tym, gdy zaczął się zastanawiać nad sprawą. Przełączył generator sztucznego ciężenia w basenie na zero i namioty przestały uciekać pod sam sufit. Wprawdzie pielęgniarce musiały teraz płynąć obok nich, zamiast iść, ale nie była to wielka niedogodność.

Dopiero podczas przeprowadzania PVSJ Conway zrozumiał, o co naprawdę chodziło Mannonowi: jedną z pielęgniarek wyznaczonych do tego zadania była Murchison. Nie dojrzała go wprawdzie, ale on zauważył ją od razu — tylko Murchison mogła tak zgrabnie wypełnić sobą lekki kombinezon. Nie próbował się zresztą do niej odzywać, uznał bowiem, że nie jest to odpowiedni czas i miejsce.

Godziny mijały szybko i operacja postępowała bez szczególnych komplikacji. Kelgiański statek szpitalny przy luku piątym był niemal gotów do odlotu, czekał już tylko na paru spóźnialskich starszych lekarzy i eskortę, która miała go odprzewodzić na bezpieczną odległość pierwszego skoku. Conway wiedział, że wśród pasażerów jest wielu jego przyjaciół oraz dobrych znajomych, i pomyślał, że nie zrobi źle, jeśli szybko się z nimi pożegna. Powiadomił Manna, że schodzi na chwilę z posterunku, i ruszył ku piątce.

Jednak gdy tam dotarł, kelgiański statek zdążył już odcumować. Na jednym z ekranów było widać, jak oddala się powoli od Szpitala w asyście krążownika. Za nimi jaśniały na tle czerni kosmosu odległe sylwetki innych jednostek Korpusu. Zgodnie z planem flota obrońców skupiała się wokół Szpitala. Conway, który przyglądał się jej poprzedniego dnia, zauważył, że okrętów jest wyraźnie więcej. Podbudowany na duchu wrócił czym prędzej do sekcji AUGL.

Przybywszy na miejsce, ujrzał, że korytarz jest prawie zablokowany narastającym lodem.

Statek z Gregory był wyposażony w specjalny chłodzony przedział dla istot klasy SNLU, kruchych, krystalicznych metanowców, które spłonęłyby błyska-

wicznie w temperaturze powyżej minus stu dwudziestu stopni. W Szpitalu przebywało ostatnio na leczeniu siedem takich istot i na czas transportu umieszczono je w trzymetrowej chłodzonej kuli. Ponieważ oczekiwano, że mogą wystąpić trudności z ich załadunkiem, wyznaczono im miejsce na samym końcu kolejki.

Gdyby istniało wyjście prowadzące z sekcji metanowców prosto w kosmos, można by ich podholować do statku w próżni, ale że go nie było, kulę należało przeciągnąć przez czternaście poziomów do luku numer szesnaście. Niemal wszędzie droga biegła szerokimi korytarzami wypełnionymi mieszanką tlenową albo chlorem, zatem na chłodzonym pojemniku osadzał się jedynie szron. Jednak w sekcji AUGL zaczął go bardzo szybko oblepiać lód.

Conway spodziewał się czegoś podobnego, ale nie sądził, by podczas tych paru chwil, które kula miała być w wodzie, mogły się pojawić jakieś problemy. Tymczasem jedna z lin holujących nagle pękła, kula zdryfowała na wystającą ze ściany rurę, w parę sekund okryła się lodem i zablokowała korytarz. Teraz kulę spowijała gruba na ponad metr błyszcząca skorupa i pod oraz nad nią nie było już prawie miejsca, żeby się precyzyjnie przesuwać.

— Przynieście szybko palniki! — krzyknął Conway do Manna.

Nim korytarz został zablokowany, zjawili się trzech Kontrolerów z odpowiednim sprzętem. Nastawiwszy dysze palników na maksymalne rozproszenie płomienia, zaatakowali lodowy czop. Najpierw oddzielili go od rury, a potem okroili z grubsza ze wszystkich stron. W zamkniętej przestrzeni korytarza woda nagrzewała się jednak szybko od palników, a kombinezony pracujących nie miały chłodzenia. Conway zaczął im współczuć. Nie dość, że pławili się we wrzasku niczym homary, to jeszcze w każdej chwili groziło im przygniecenie przez oderwany złom lodu. Bąble pary, od których było w wodzie aż gęsto, ograniczały na dodatek widoczność i Kontrolerzy musieli bardzo uważać, żeby nie skierować płomienia na własną rękę czy nogę.

W końcu jednak im się udało. Pojemnik z SNLU został przepchnięty przez służbę do następnej sekcji, gdzie nie było już wody. Spocony jak mysz Conway odruchowo chciał otrzeć czoło, ale oczywiście przesunął jedynie rękawicą po hełmie.

Zastanowił się, co jeszcze może pójść nie tak. Mannon donosił jednak, że wszystko jest w najlepszym porządku. Pacjenci z trzech poziomów DBLF odlecieli na statku Kelgian i w Szpitalu zostało tylko paru gąsienicowatych pielęgniarzy. Trzy illensańskie frachtowce opróżniły już prawie oddziały chlorodysznych PVSJ, a ostatni spóźnialscy mieli trafić na pokład w ciągu paru minut. To samo dotyczyło skrzelodysznych AUGL oraz ELNT, kula lodowa z SNLU docierała zaś już prawie do luku. Czternaście poziomów z głowy! Całkiem niezłe jak na jeden dzień pracy. Doktor Mannon zasugerował Conwayowi, żeby skorzystać ze sposobności, złożyć głowę na poduszce i zaaplikować sobie co najmniej kilka godzin nieświadomości przed następnym, równie pracowitym dniem.

Conway płynął z wysiłkiem ku śluzie i coraz tęskniej myślał o wielkim steku najpierw i porządnej porcji snu potem, gdy niespodziewanie coś go uderzyło.

Nie dostrzegł, co to było, ale poczuł nagle równoczesne ciosy trafiające go w żołądek, pierś i nogi w miejscach, gdzie kombinezon był najcieńszy. Ból objął całe ciało, czerwona mgła przesłoniła oczy. Conway zwinął się w pół i na chwilę prawie że stracił przytomność. Zrobiło mu się niedobrze, tak niedobrze, jakby zaraz miał od tego umrzeć. Coś jednak podszeptowało mu ciągle, że utopienie się we własnych wymiocinach wypełniających hełm to bardzo, ale to bardzo paskudna śmierć...

Ból osłabł stopniowo i Conway zdołał wreszcie zebrać myśli. Ciągle czuł się tak, jakby jakiś Tralthańczyk kopnął go w dołek wszystkimi sześcioma nogami, ale usłyszał rozlegający się wkoło dziwny, głośny bulgot. W pobliżu przepłynął bezwładny Kelgianin. W pierwszej chwili zdało się Conwayowi, że futrzak jest bez skafandra, ale nie: kombinezon był tylko rozdarty i pełen wody.

Nieco dalej unosiło się dwóch innych Kelgian. Ich smukłe, zmasakrowane ciała otaczała rosnąca chmura czerwieni. Natomiast pod przeciwległą ścianą wytworzył się spory wir z centrum wokół ciemnej, nieregularnej dziury, którą woda uciekała ze zbiornika.

Conway zaklął. Pomyślał, że chyba wie, co się stało. To coś, co wybiło dziurę, wywołało falę uderzeniową, która rozeszła się w nieściśliwej wodzie z niszczyielską mocą. Conwaya i bliższego Kelgianina ocaliło tylko to, że byli już w korytarzu. Chociaż po prawdzie trudno było orzec, czy futrzak przeżył...

Trzy minuty ciągnął nieprzytomnego do odległej o trzy metry śluzy na końcu korytarza. Gdy byli już w środku, natychmiast włączył pompy i otworzył napływ powietrza. Kiedy zrobiło się prawie sucho, ułożył mokre i bezwładne ciało na boku pod ścianą. Srebrzyste futro było całe ciemne i pozlepiane, nie wyczuwał pulsu ani oddechu. Conway szybko położył się na boku, rozsunał trzecią i czwartą parę kończyn Kelgianina, przycisnął własne ramię do jego piersi i zaparłszy się nogami o przeciwległą ścianę, zaczął rytmicznie uciskać mu klatkę piersiową. Wiedział, że klasycznym masażem dłońmi nic by nie wskórał z tak masywnym stworzeniem jak DBLF. Po kilku chwilach z ust nieprzytomnego popłynął strumyczek wody.

Conway przerwał nagle reanimację, słysząc, jak ktoś manipuluje przy drzwiach śluzy od strony zbiornika. Włączył radio, ale nie działało. Zdjął więc szybko hełm i zbliżył usta do szpary między drzwiami a framugą.

— Tu są płucodyszni bez skafandrów! — krzyknął. — Jeśli otworzysz drzwi, utopisz nas! Wejdź od drugiej strony!

Kilka minut później uchyliły się przeciwległe drzwi i w progu śluzy stanęła... Murchison. Spojrzała na Conwaya jakoś dziwnie.

— Doktorze... pan... — powiedziała drżącym głosem. Conway wyprostował gwałtownie nogi i uderzył ramieniem w okolice mostka Kelgianina.

— Co?

— Bo... ta eksplozja... — zaczęła Murchison, ale zaraz się uspokoiła i znowu stała się opanowaną, w pełni wykwalifikowaną pielęgniarką. — Doszło do eksplozji, doktorze. Jedna pielęgniarka DBLF została poważnie ranna odłamkami wyrwanych paneli podłogowych. Dostała koagulant, ale nie wiem, czy przeżyje. I jeszcze korytarz, na którym leży, został zalany wodą. Widocznie jest jakaś dziura w sekcji AUGL. Poza tym ciśnienie spada, więc mamy pewnie przebicie powłoki, i czuć też lekko chlorem...

Conway jęknął i zdwoił wysiłki reanimacyjne. Zanim zdążył się odezwać, Murchison pochyliła się nad nim.

— Prawie wszyscy lekarze DBLF zostali ewakuowani. Został tylko ten i jeszcze dwóch, którzy powinni być gdzieś w pobliżu, ale jest pod ręką ich personel pielęgniarski...

No i pojawiły się prawdziwe problemy: skażenie środowiska Szpitala i groźba dekompresji. Trzeba było jak najszybciej przenieść rannych, bo jeśli ciśnienie spadnie za bardzo, hermetyczne drzwi zamkną się samoczynnie, nieodwołalnie odcinając uszkodzone przedziały. A brak lekarzy DBLF oznaczał, że Conway będzie musiał wziąć hipnotaśmę tego typu fizjologicznego. Czyli powinien zaraz udać się do gabinetu O'Mary. Najpierw jednak zadba o pacjenta...

— Proszę się nim zająć, siostró — powiedział, wskazując na mokre ciało na podłodze. — Chyba zaczyna już sam oddychać, ale nie zaszkodzi pomóc mu jeszcze z dziesięć minut.

Patrzył, jak Murchison układa się na boku z ugiętymi kolanami i stopami opartymi o ścianę. Chociaż czas i miejsce były po temu całkowicie niestosowne, widok dziewczyny leżącej tak w demoralizująco dopasowanym i mokrym stroju sprawił, że Conway zapomniał na krótką chwilę i o pacjentach, i o hipnotaśmie, i o całej ewakuacji. Nagle jednak uświadomił sobie, że Murchison też przechodziła kilka minut przed eksplozją przez zbiornik AUGL i niewiele brakowało, aby jej wspinające ciało zostało rozdarte tak samo jak ciała nieszczęsnych DBLF...

— Między trzecią a czwartą parą kończyn, a nie piątą i szóstą! — rzucił surowo, chociaż najchętniej powiedziałby całkiem co innego, po czym odwrócił się i wyszedł.

Rozdział szesnasty

Z jakiegoś powodu Conwaya o wiele bardziej interesowały skutki eksplozji niż jej przyczyna. Może zresztą celowo nie próbował zgłębiać tego tematu, oszukując się domniemaniem, że to zapewne jakiś wypadek, a nie pierwszy atak na Szpital. Jednak wyjące sygnały alarmowe i wzmożony pośpiech wszystkich, których napotkał po drodze do gabinetu O'Mary, nie pozwoliły mu długo trwać w nieświadomości. Zastanawiał się, czy inni czują to samo co on. Był przerażony, że jest tak kruchy, i bał się, że druga eksplozja zaraz rozerwie podłogę pod jego stopami. I też się spieszył, chociaż nie miało to żadnego sensu. Kto wie, może wydłużając krok, zbliżał się właśnie tam, gdzie miał trafić następny pocisk. . .

Zmusił się, żeby do gabinetu O'Mary wejść powoli. Wyjaśnił, po co przyszedł, i spytał cicho, co się stało.

— Zjawiło się siedem jednostek — wyjaśnił psycholog, kierując Conwaya na leżankę i nakładając mu hełm. — Bardzo małych jednostek, bez silnego uzbrojenia. Tylko nas zadrasnęły. Trzy zostały odpędzone, a z pozostałych czterech tylko jedna zdażyła wystrzelić pocisk, nim je zniszczyliśmy. Mały pocisk z konwencjonalną głowicą, co dość mnie dziwi — dodał O'Mara z zamyśleniem. — Gdyby użyli głowicy atomowej, już by nas nie było. Nie oczekiwaliśmy ich tak wcześnie i zdołali nas zaskoczyć. Przybyło panu pacjentów?

— Co? A, tak. Zna pan klasę DBLF. U nich każde zranienie to pilna sprawa. Nim znajdzie się inny lekarz, który mógłby przyjąć hipnozapis, może już być za późno.

O'Mara chrząknął. Grubo ciosanymi, ale delikatnymi dłońmi sprawdził, czy hełm dobrze leży na głowie Conwaya, i przycisnął chirurga do leżanki.

— Bardzo się starali trafić. To daje pojęcie, jak są do nas nastawieni. Użyli jednak głowicy konwencjonalnej, chociaż atomową mogliby zniszczyć cały Szpital. Dziwne. Ale w jednym na pewno nam pomogli. Niezdecydowani przestaną się wahać. Kto wcześniej chciał zostać, teraz na pewno zostanie, a kto myślał o odlocie, zrobi to jak najszybciej. Z punktu widzenia Dermoda to bardzo korzystne. . .

Dermod był dowódcą floty.

— A teraz proszę przestać myśleć — zakończył oschle O'Mara. — Dla pana to chyba żaden problem. . .

Uspokojenie myśli sprzyjało przyjmowaniu zapisu hipnotaśmy. Conway rzeczywiście nie musiał się wiele starać, ale sprawiała to przede wszystkim wygodna i cudownie miękka leżanka O'Mary. Jakoś nigdy wcześniej jej nie docenił, teraz jednak zrobiło mu się błogo...

Obudziło go nagłe klepięcie w ramię.

— Nie zasypiać! A gdy już pan skończy z pacjentem, proszę się położyć do łóżka. Mannon poradzi sobie w izbie przyjęć i Szpital nie rozleci się bez pana na kawałki. Chyba że podrzucą nam dużą bombę...

Conway opuścił gabinet psychologa, czując, jak ogarnia go z wolna znajome dwójmyślenie. Niestety, hipnotaśmy nie były doskonałe i przyjmowana dzięki nim wiedza nie ograniczała się do treści czysto medycznych, ale zawierała też różne elementy osobowości dawców. Szczęśliwie DBLF nie byli aż tak obcy człowiekowi jak inne gatunki, których leczeniem Conway zajmował się w przeszłości. Wprawdzie zewnętrznie przypominali wielkie, srebrzyste gąsienice, mieli jednak wiele wspólnego z Ziemianami. Ich emocjonalne reakcje na muzykę, sztukę czy płęć przeciwną były prawie takie same. Ien, który dostarczył materiału do zapisu, lubił nawet mięso, co mogło uchronić Conwaya przed dietą sałatową, gdyby musiał zatrzymać taśmę na dłużej.

Tyle tylko, że teraz czuł się dziwnie niepewnie, idąc wyłącznie na dwóch nogach, a na dodatek przy każdym kroku na zmianę garbił się i prostował. Gdy zaś dotarł do pustej sekcji DBLF i sali, gdzie ułożono pacjenta, widok Murchison wywołał dziwną myśl, że to jeszcze jedna z tych laskonogich istot z Ziemi...

Chociaż Murchison wszystko już przygotowała, Conway nie zaczął od razu. Będąc teraz po części Kelgianinem, bardzo współczuł pacjentowi, był jednak wyraźnie zmęczony. Oczy same mu się zamykały, a tymczasem czekała go ciężka, parogodzinna operacja. Gdy sprawdzał instrumenty, prawie nie czuł palców. W tym stanie nie mógł operować: zabiłby pacjenta.

— Mogę prosić o zastrzyk pobudzający? — spytał, walcząc z ziewaniem.

Murchison spojrzała na niego, jakby chciała się sprzeciwić. Zastrzyki pobudzające nie były popularne w Szpitalu. Stosowano je tylko w wielkiej potrzebie i były po temu sensowne powody. Niemniej dziewczyna przygotowała strzykawkę i zrobiła zastrzyk bez komentarzy, chociaż wzięła tępą igłę i wbiła ją z większą siłą, niż było konieczne. Nawet niezbyt przytomny Conway pojął, że jest na niego wściekła.

Potem nagle zastrzyk zaczął działać. Poza słabym odrętwieniem stóp i lekką wysypką na twarzy (którą tylko Murchison mogła widzieć) Conway poczuł się jak nowo narodzony, i to taki po dziesięciu godzinach snu i prysznicu.

— Co z tym drugim? — spytał nagle, przypomniawszy sobie o Kelgianinie, którego zostawił z Murchison w służbie.

— Sztuczne oddychanie pomogło — odparła i wyraźnie się ożywiła. — Ale ciągle jest w szoku. Odesłałam go do sekcji tralthańskiej, tam zostało jeszcze paru starszych lekarzy. . .

— Dobrze — odparł z wdzięcznością Conway. Chętnie dodałby coś jeszcze, ale widział, że to nie czas na osobiste pogaduszki. — Zaczynamy?

Poza cienkościenną, podłużną strukturą kostną, która kryła mózg, DBLF nie mieli układu szkieletowego. Ich ciała spajały zewnętrzne obręcze potężnych mięśni, które pełniły funkcje lokomocyjne i chroniły organy wewnętrzne. W porównaniu z żebrami takie wzmocnienie mogło się wydawać niewystarczające. Kolejnym utrudnieniem przy leczeniu obrażeń był złożony i bardzo wrażliwy układ krążenia, który musiał nieustannie zasilać rozrośnięte mięśnie. Arterie biegingy w większości tuż pod skórą. Pewną osłonę dawało oczywiście bujne futro, jednak nie mogło ono powstrzymać ostrych, pędzących z olbrzymią szybkością odłamków metalu.

Rana, która dla innych gatunków nie byłaby groźna, na DBLF mogła sprowadzić śmierć przez wykrwawienie.

Conway pracował powoli i ostrożnie. Usuwał podany pospiesznie przez Murchison koagulant, łątał albo częściowo wymieniał ważniejsze uszkodzone naczynia krwionośne, a zbyt drobne, żeby cokolwiek z nimi zrobić, po prostu usuwał i podwiązywał. Ta część operacji była szczególnie niemiła. Nie dlatego, że wiązała się z zagrożeniem życia pacjenta — chodziło o tę piękną, srebrzystą sierść. Mogła nie odrosnąć w ogóle albo co najwyżej w żółtawej parodii dawnej wspaniałości. Dla Kelgian płci męskiej taki widok był wręcz odpychający, a dotąd operowana pielęgniarka uchodziła wśród nich za bardzo urodziwą. Oszpecenie byłoby dla niej osobistą tragedią. Conway miał nadzieję, że nie okaże się zbyt dumna, by dać sobie wszczepić sztuczne futro. Nie miało wprawdzie tego samego połysku co naturalne i trudno je było z nim pomylić, ale ogólne wrażenie nie było tak przykre. . .

Godzinę wcześniej była to dla mnie jeszcze jedna gąsienica, myślał Conway, anonimowy obcy, który interesował mnie tylko z klinicznego punktu widzenia, a teraz zaczynam się martwić jej perspektywami małżeńskimi. Hipnotaśmy naprawdę pozwalały wczuć się w psychikę istot całkiem różnych od Ziemi.

Gdy skończył, wywołał izbę przyjęć, opisał stan pacjentki i zażądał, aby jak najszybciej ją ewakuowano. Mannon odparł, że obecnie trwa załadunek pół tuzina mniejszych statków, przy czym większość zabiera tlenodysznych, i podał mu numery dwóch najbliższych luków. Dorzucił przy tym, że poza garstką pacjentów w stanie krytycznym wszyscy o klasyfikacji od A do G albo zostali już ewakuowani, albo właśnie wchodzi na pokład. Razem z nimi odlatywał personel tych samych ras, a przynajmniej ta jego część, której O'Mara kazał zniknąć z przyczyn bezpieczeństwa.

Nie wszyscy byli z tego zadowoleni. Szczególnie głośno protestował pewien wiekowy tralthański Diagnostyk, który pechowo dla siebie miał własny jacht kosmiczny. W normalnych okolicznościach nie byłby to żaden pech, jednak teraz trzeba było oficjalnie oskarżyć owego lekarza o usiłowanie zdrady, naruszenie porządku i namawianie do buntu, a w końcu aresztować, i dopiero wtedy udało się go zmusić do ewakuacji.

Rozłączając się, Conway pomyślał, że wobec niego nikt nie musiałby stosować aż tylu zabiegów, aby go skłonić do opuszczenia Szpitala. Zaraz jednak potrząsnął głową zawstydzony takimi myślami i przekazał Murchison instrukcje, gdzie i jak skierować pacjentkę.

Ranna Kelgianka musiała pokonać pierwszą część drogi w namiocie ciśnieniowym, gdyż w oddziale AUGL panowała obecnie próżnia. Cała woda uciekła, ale nie naprawiano basenu, gdyż były pilniejsze sprawy niż remont przedziału, w którym zapewne przez najbliższy czas i tak nikt nie będzie przebywał. Jednak widok pustego wnętrza z zasuszonymi, bezbarwnymi szczątkami roślin, które miały stworzyć w zbiorniku swojską atmosferę, wywarł na Conwayu przygnębiające wrażenie. Przejście przez trzy położone niżej, również już opróżnione poziomy chlorodysznych nie poprawiło mu nastroju. W końcu dotarli do następnej sekcji, tlenodysznych.

Tutaj musieli przystanąć, żeby przepuścić pochód TLTU. Conway ucieszył się z tej chwili wytchnienia, bo chociaż na niego zastrzyk wciąż działał, Murchison zaczynała objawiać oznaki zmęczenia. Postanowił, że gdy tylko dostarczą pacjentkę na miejsce, odeśle swą asystentkę do łóżka.

Siedem umocowanych na samobieżnych noszach kulowych osłon TLTU przesuwano się bardzo wolno w otoczeniu podenerwowanego i spoconego personelu. W odróżnieniu od powłok ochronnych metanowców, te kule nie obrastały szronem, tylko pobrzmiwały jednostajnym, rozdzierającym uszy piskiem klimatyzatorów utrzymujących wewnątrz miłą tym istotom temperaturę pięciuset stopni. Nawet z sześciu metrów Conway czuł wyraźnie bijące od nich gorąco.

Gdyby kolejny pocisk trafił teraz w tę część Szpitala i choć jedna z kul się rozpekła... Conway wątpił, czy istnieje gorszy rodzaj śmierci niż ugotowanie w strumieniu przegrzanej pary.

Gdy przekazywali pacjentkę dyżurnemu przy luku, Conway miał już kłopoty ze skupieniem spojrzenia, a nogi zaczynały się pod nim uginać. Pomyślał, że pora albo do łóżka, albo na kolejny zastrzyk. Zdecydował się już na to pierwsze, gdy nagle zjawił się tuż obok niego Kontroler w skafandrze kosmicznym, od którego jeszcze ciągnęło mrozem próżni.

— Mamy rannych, sir — powiedział z przejęciem. — Przywieźliśmy ich na statku zaopatrzeniowym, bo izba przyjęć zajęta jest ewakuacją. Przycumowaliśmy przy sekcji DBLF, ale tam nikogo nie ma. Pan jest pierwszym lekarzem, którego dziś widzę. Zajmie się pan nimi?

Conway już chciał spytać, o jakich rannych mowa, ale ugryzł się w język. Nagle przypomniał sobie o ataku. Atak został odparty, doszło do walki, a to oznaczało ofiary, którym ten oficer starał się pomóc. Skąd miał wiedzieć, że Conway był ostatnio zbyt zajęty, aby myśleć o tym, co się dzieje poza Szpitalem...?

— Gdzie ich położyliście? — spytał.

— Wciąż są na statku — odparł oficer, nieco już spokojniejszy. — Pomyśleliśmy, że lepiej będzie, jeśli ktoś ich obejrzy, zanim weźmiemy się do przenoszenia. Wie pan, niektórzy... Pozwoli pan ze mną?

Rannych było osiemnastu, wszyscy w ciężkim stanie. Wydobyto ich z wraku zniszczonego statku. Wciąż byli w zimnych kombinezonach, tyle że bez hełmów, które zdjęto, aby sprawdzić, czy w ogóle jeszcze żyją. Conway naliczył trzy przypadki uszkodzeń dekompresyjnych, reszta zaś miała obrażenia o różnym stopniu komplikacji, z których najpoważniejsze było wgniecenie kości czaszki. Nie stwierdził przypadków napromieniowania. Jak dotąd była to czysta wojna, jeśli w ogóle można tak mówić o wojnie...

Conway zdławił złość. Nie było czasu, aby rozczulać się nad cierpieniem połamanych, krwawiących i niedotlenionych pacjentów. Należało coś dla nich zrobić. Wyprostował się i spojrzał na Murchison.

— Wezmę jeszcze jeden zastrzyk — rzucił. — Szykuje się długa robota. Najpierw jednak wymażę taśmę DBLF i spróbuję zorganizować jakąś pomoc. Zanim wrócę, dopilnuj, proszę, aby zdjęto tym ludziom skafandry i przeniesiono ich do sali piątej na oddziale DBLF. Potem idź się wyspać. I jeszcze... dziękuję ci — dodał zdawkowo. Toczenie prywatnych rozmów w obecności osiemnastu ciężkich przypadków stojący obok Kontroler mógłby uznać za praktykę zgoła skandaliczną i na dodatek miałyby sporo racji. Tyle że ten Kontroler nie przepracował trzech ostatnich godzin u boku Murchison z wyostrozonymi przez zastrzyk zmysłami...

— Gdybym mogła się przydać, to też mogę wziąć zastrzyk — zaproponowała nagle Murchison.

— Głupi pomysł, ale miałem nadzieję, że to powiesz...

Rozdział siedemnasty

Ósmego dnia w Szpitalu nie było już ani jednego nieziemskiego pacjenta, ewakuowano również blisko cztery piąte personelu. Zatrzymano układy utrzymujące w niektórych pomieszczeniach szczególnie wysokie albo niskie temperatury, silną grawitację albo ciśnienie, przez co różne znajdujące się w nich substancje stopiły się albo wyparowały, a gorące gazy skropliły się i utworzyły kałuże. Z czasem w Szpitalu zaczęło się zjawiać coraz więcej Kontrolerów z dywizji technicznej. Niektóre pomieszczenia zostały zamienione w koszary, zdjęto wielkie partie poszycia Szpitala, aby zamontować w tych miejscach podstawy dla miotaczy i wyrzutni. Zgodnie z najnowszą koncepcją Dermoda Szpital miał się bronić samodzielnie, nie polegając tylko na działaniach floty, która okazała się niezdolna do całkowitego odparcia ataku. Dwudziestego piątego dnia Szpital Kosmiczny Sektora Dwunastego upodobił się ostatecznie do ciężko uzbrojonego fortu kosmicznego.

Wielkie rozmiary i potężne rezerwy mocy Szpitala, których skromna obsada obrońców nie mogłaby wyczerpać, pozwoliły zainstalować naprawdę liczne i potężne uzbrojenie. Które bardzo się przydało, gdyż dwudziestego dziewiątego dnia nieprzyjaciel zaatakował większymi siłami.

Walki trwały trzy dni.

Conway wiedział, że Korpus miał swoje powody, aby ufortyfikować Szpital, ale wcale mu się to nie podobało. Nawet po tej zażartej trzydniowej bitwie, kiedy otrzymali kolejne cztery trafienia, szczęśliwie znowu głowicami konwencjonalnymi, ciągle miał mieszane uczucia. Ilekroć pomyślał o przebudowie największego, stworzonego dla realizacji najszczytniejszych idei szpitala galaktyki na narzędzie zniszczenia, ogarniały go złość i smutek. Czasami nawet dawał im głośno upust. . .

Pięć tygodni po rozpoczęciu ewakuacji Conway siadł z Mannonem i Prilicłą do lunchu w wielkiej jadalni, która świeciła teraz w porze posiłków pustkami. Przy stolikach widywało się o wiele więcej Kontrolerów w zielonych mundurach niż nieziemców, lecz na terenie Szpitala nadal było tych drugich ponad dwie setki, przeciwko czemu Conway miał sporo obiekcji.

— . . . ciągle uważam, że to marnotrawstwo — mówił ze złością. — Życia, talentów medycznych i wszystkiego! Wszystkie ofiary to Kontrolerzy, i tak też

będzie dalej. I wszyscy w typie ziemskim. I żadnego innego przypadku. Nie ma ciekawej roboty dla nieziemców. Powinni zostać odesłani! Wszyscy, włącznie z tu obecnym! — zakończył, zerkając na Prilicę.

Doktor Mannon uciął kawał steku i uniósł go do ust. W związku z ewakuowaniem wszystkich pacjentów klas LSVO i MSVK pozbył się większości hipnozapisów i nie musiał już ograniczać diety. Przez pięć ostatnich tygodni wyraźnie przybrał na wadze.

— Dla nieziemców to my jesteśmy ciekawymi przypadkami — stwierdził rzeczowo.

— Żartujesz sobie! — sapnął Conway. — A ja tymczasem przeciwstawiani się bezsensownemu heroizmowi!

Mannon uniósł brwi.

— Ależ heroizm niemal zawsze jest bezsensowny — mruknął. — I do tego bardzo zaraźliwy. W tym wypadku powiedziałbym, że epidemię wywołał Korpus, upierając się przy obronie Szpitala. Tym samym i my poczuliśmy się zobowiązani do pozostania, żeby się zająć rannymi. Przynajmniej część odczuwa to właśnie tak. Albo myśli, że odczuwa. Owszem, najlogiczniejszą rzeczą, którą człowiek przy zdrowych zmysłach mógł zrobić w tej sytuacji, było ewakuowanie się ze Szpitala przed całą awanturą — stwierdził, zerkając na Conwaya. — Nikt by nikomu złego słowa nie powiedział. Jednak te same, ogólnie zdrowe na umyśle istoty mają tu kolegów albo i przyjaciół, których uważają nierzadko za bohaterów, i nie chcą ujść w ich oczach za tchórzy. Prędzej zatem zginą, niż ich zawiodą i uciekną.

Conway poczuł, że się rumieni, ale nic nie odpowiedział.

Mannon uśmiechnął się i podjął wątek:

— I to już jest bohaterstwo. Zginać, ale ocalić honor. Zanim się ktoś taki obejrzy, już zostaje bohaterem. Oczywiście dotyczy to również nieziemców... — dodał, zerkając na Prilicę. — Oni zostają z podobnych powodów. I być może po to jeszcze, aby dowieść, że ziemscy DBDG nie mają monopolu na bohaterskie czyny...

— Rozumiem — westchnął Conway.

Teraz jego twarz płonęła czystym szkarłatem. Mannon już od dawna musiał się domyślać, że jedynym powodem pozostania Conwaya w Szpitalu była świadomość, że Murchison, O'Mara i Mannon bardzo by się na nim zawiedli, gdyby odleciał. Na dodatek siedzący po drugiej stronie stołu Prilicla na pewno czytał w jego myślach jak w otwartej książce. Conway nigdy jeszcze nie czuł się tak skrzepowany.

— Masz całkowitą rację — powiedział nagle Prilicla i wsunąwszy widelec w stertę spaghetti, nawinał nań makaron. — Gdyby nie wasz przykład, uciekłbym stąd drugim dostępnym statkiem.

— Nie pierwszym? — spytał Mannon.

— Aż takim tchórzem nie jestem — odparł Prilicla, wymachując widelcem ze spaghetti.

Słuchając tej wymiany zdań, Conway pomyślał, że najuczciwiej by postąpił, przyznając im się teraz do braku odwagi, ale wiedział, że bardzo zakłopotałby przyjaciół tym wyznaniem. Najwyraźniej obaj dobrze o tym wiedzieli i każdy na swój sposób dawał do zrozumienia, że to całkiem nie szkodzi. Patrząc na sprawę obiektywnie, rzeczywiście nie było o co kruszyć kopii, gdyż wszystkie statki już odleciały i nikt nie mógł się wydostać ze Szpitala. Ci, którzy pozostali, mieli się stać bohaterami, czy tego chcieli czy nie. Niemniej Conwaya wciąż męczyło, że niezasłużenie uznano go za odważnego, altruistycznego i oddanego swej pracy lekarza. . .

Zanim jednak zdążył cokolwiek rzec, Mannon zmienił raptownie temat. Chciał wiedzieć, gdzie to Conway i Murchison podziawali się czwartego, piątego i szóstego dnia ewakuacji, ponieważ odniósł dziwne wrażenie, że oboje schodzili wszystkim z oczu w tym samym czasie. Wydało mu się to tak dziwne, że aż zaczął nastawiać ucha na krążące tu i ówdzie pogłoski, chociaż były one bez wątpienia przesadzone, zdumiewające i w zasadzie nieprawdopodobne. Prilicla też dorzucał swoje, chociaż życie erotyczne Ziemiaków było dla bezpłciowych DBDG zagadnieniem czysto akademickim. Conway skupił wysiłki na odpieraniu słownych ataków obu adwersarzy.

Zarówno Prilicla, jak i Mannon wiedzieli, że Murchison i Conway trzymali się prawie sześćdziesiąt godzin na nogach wyłącznie dzięki zastrzykom pobudzającym. To samo zresztą dotyczyło jeszcze ze czterdziestu osób z personelu medycznego. Jednak zastrzyków tych nie można było przyjmować bezkarnie i wszyscy, którzy z nich korzystali, skrajnie wyczerpani, następne trzy dni spędzili w łóżkach, żeby dojść do siebie. Niektórzy zresztą padli w tam, gdzie stali, i zostali pospiesznie odniesieni na sale zabiegowe, gdzie zaaplikowano im automatyczny masaż serca, podłączono do respiratorów i kroplówek z glukozą.

Niemniej i tak było nieco podejrzanego, że Conway i Murchison nie pokazali się nigdzie, ani razem, ani z osobna, aż przez trzy dni. . .

Dopiero sygnał alarmu ocalił Conwaya przed długą perorą na temat etyki zawodowej. Zerwał się z krzesła i pobiegł ku drzwiom. Mannon gnał tuż za nim, a polatujący na prawie szczątkowych skrzydłach i wspomagany modułem anty-grawitacyjnym Prilicla sunął przodem.

Pożar, powódź czy wojna, Mannon pozostanie Mannonem, myślał Conway, wracając z ulgą na swój oddział. Musiałby chyba nadejść koniec świata, żeby starszy lekarz przegapił okazję nadszarpięcia czyjejs reputacji albo zgłębienia prywatnych sekretów. Zawsze pierwszy węszył skandal i gnębił podejrzanego pytaniami, póki biedakowi nie zrobiło się słabo. Najbardziej Conwaya zirytowała jego prokuratorska maniera prowadzenia rozmowy. Jednak w końcu uznał, że Mannon starał się dać mu do zrozumienia, że życie toczy się dalej i że Szpital, który jest

bardziej stanem umysłu oraz instytucją niż miejscem w kosmosie, będzie trwać tak długo, jak długo pozostanie w nim choć jeden, może czasem stuknięty, ale wierny przysiędze Hipokratesa lekarz.

Gdy wchodził na oddział, przenikliwy sygnał alarmu nagle ucichł.

Wszystkie dwadzieścia osiem łóżek spowijały już hermetyczne namioty z własnymi systemami podtrzymywania życia i zapasami powietrza na wypadek nagłej dehermetyzacji. Pełniące dyżur pielęgniarki, cztery Ziemiarki, jedna Tralthanki i jedna Nidianka, wbijały się właśnie w skafandry. Conway zrobił to samo, uszczelnił kombinezon, lecz jeszcze nie opuszczał zasłony hełmu. Obszedł szybko pacjentów, podziękował Tralthance, która była tu szefową zmiany, po czym odsunął klapkę wyłącznika sztucznego ciężenia.

Skoki w dostawach mocy, które zdarzały się, ilekroć uruchamiano ekrany obronne albo uzbrojenie Szpitala, powodowały, że siła grawitacji wahała się niekiedy raptownie pomiędzy pół a dwa g, co było bardzo niebezpieczne, szczególnie dla pacjentów ze złamaniami. W tych okolicznościach lepsza już była chwilowa nieważkość.

Zrobił, co mógł, dla ochrony pacjentów oraz personelu i zostało mu już tylko czekać. Aby nie myśleć o tym, co dzieje się na zewnątrz, Conway włączył się w burzliwą dyskusję pomiędzy Tralthanką a jedną ze szkarłatnofutrych Nidianek na temat zmian, które wprowadzano właśnie w gigantycznym centralnym komputerze translatorskim. Ten wielki elektroniczny mózg, który utrzymywał nieustanną łączność z indywidualnymi autotranslatorami, wykorzystywał od czasu ewakuacji Szpitala tylko drobną część swojego potencjału. Gdy Dermod się o tym dowiedział, rozkazał tak przeprogramować nie używane podzespoły, aby można je było wykorzystać do rozwiązywania zadań taktycznych i logistycznych. Mimo zapewnień Korpusu, że komputer zachowa pewną zdolność wykonywania podstawowych zadań, obie pielęgniarki nie były zachwycone i zastanawiały się, co będzie, jeśli większa liczba nieziemców spróbuje rozmawiać w tym samym czasie.

Conway chętnie by wtrącił, że nie ma się czym martwić, skoro dotąd wszystko działa, chociaż wszyscy, a szczególnie pielęgniarki, cierpią na nieustanny słowotok, tyle że nie wiedział, jak to taktownie wyrazić.

Godzina minęła bez szczególnych wydarzeń. Nic nie trafiło w Szpital, nie dało się też wyczuć, czy choć raz skorzystano z jego potężnego uzbrojenia. Zjawiała się kolejna zmiana pielęgniarek, tym razem trzy Tralthanki i trzy Ziemiarki. Ich przełożoną była Murchison. Conway właśnie bardzo miło sobie rozmawiał z dziewczyną, gdy niski, równomierny i o wiele łagodniejszy dźwięk oznajmił odwołanie alarmu. Atak dobiegł końca.

Conway pomagał Murchison zdjąć kombinezon, gdy coś zaszumiało w głośnikach.

— Proszę o uwagę — powiedział ktoś z przejęciem w głosie. — Doktor Conway proszony jest natychmiast do luku numer pięć. . .

Zapewne jacyś ranni, pomyślał Conway, i to tacy, z którymi nie wiedzą, co zrobić. . . Ale to nie był koniec komunikatu.

— . . . doktor Mannon i major O'Mara proszeni są o natychmiastowe przybycie do luku numer pięć. . .

Co tam się takiego stało, że potrzebują aż dwóch starszych lekarzy i jeszcze naczelnego psychologa na dokładkę? — zastanowił się Conway i zaczął się spieszyć.

O'Mara i Mannon mieli bliżej do piątki i wyprzedzili go o kilka sekund. W przedsiönku luku stał ktoś w ciężkim skafandrze z odrzuconym na plecy hełmem. Przybysz miał siwiejące włosy, pociągłą, zrytą zmarszczkami twarz oraz mocno zaciśnięte poszarzałe usta. Z surowego oblicza spoglądała jednak para najłagodniejszych brązowych oczu, jakie Conway widział u mężczyzny. Nigdy też nie zetknął się z tak złożonymi insygniami, jakie ten mężczyzna nosił na kołnierzu. Dotąd Conway nie spotkał Kontrolera o wyższym stopniu niż pułkownik, ale domyślił się, że musi to być głównodowodzący floty, Dermod.

O'Mara zgrabnie zsalutował i Dermod precyzyjnie oddał mu honory, Mannon i Conway natomiast musieli się zadowolić uściskiem dłoni i przeprosinami, że wita się z nimi, nie zdejmując rękawicy. Potem Dermod przeszedł od razu do rzeczy:

— Nie jestem zwolennikiem ścisłego przestrzegania tajemnicy, jeśli nie służy to niczemu konkretnemu. Postanowiliście zostać w Szpitalu, aby dbać o naszych rannych, macie zatem prawo wiedzieć, co się dzieje, niezależnie od tego, czy wiadomości są dobre, czy złe. Niemniej, ponieważ jesteście obecnie najstarszymi rangą przedstawicielami personelu medycznego i najlepiej znacie swoich ludzi oraz ich reakcje, chcę zasięgnąć waszej opinii, czy upowszechnić pewną informację, czy może raczej potraktować ją jako poufną. . .

Patrzył głównie na O'Marę, ale w pewnej chwili zerknął również na Manna i na Conwaya. I znowu wbił oczy w psychologa.

— Zostaliśmy zaatakowani. Dziwny to jednak był atak, głównie dlatego, że całkowicie chybiony. Nie straciliśmy ani jednego człowieka, a udało nam się zniszczyć całość sił nieprzyjaciela. Wydaje się, że atakujący nic nie wiedzieli o dyslokacji naszych sił albo. . . w ogóle nie wiedzieli, co tu zastaną. Oczekiwaliśmy, że rzucą się na nas jak zwykle, zażarcie i nie zważając na straty, i tak też się stało. Ale tym razem doszło do masakry. . .

Conway zauważył, że ani w spojrzeniu, ani w głosie Dermoda nie ma radości z tego zwycięstwa.

— Dlatego też udało nam się spenetrować wraki okrętów nieprzyjaciela w poszukiwaniu ocalałych. Zwykle byliśmy zbyt zajęci lizaniem własnych ran i nie mieliśmy na to czasu. Żywych wprawdzie nie znaleźliśmy, ale. . . — Przerwał,

gdy do przedsonka weszło dwóch Kontrolerów z nakrytymi noszami. Dermod spojrział Conwayowi w oczy i teraz mówił przede wszystkim do niego: — Był pan na Etili, doktorze, zaraz więc pan zrozumie, o co chodzi. Przypominam też, że mamy do czynienia z przeciwnikiem, który nie próbuje negocjować i atakuje z fanatycznym oddaniem, ale nie usiłuje przy tym sięgać po skuteczniejszą broń niż konwencjonalna. Najpierw jednak proszę spojrzeć na to. . .

Gdy odsunął nakrycie noszy, przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. „To” było żalosnymi szczątkami niegdyś żywej, myślącej i odczuwającej istoty, która wszakże została tak zmasakrowana, że nie sposób było rozpoznać, do jakiego typu fizjologicznego należała. Jednak na pewno nigdy nie przypominała człowieka.

Conway zaklął w duchu. Wojna przybierała nowy wymiar.

Rozdział osiemnasty

— Odkąd Vespasian opuścił Etlę, staraliśmy się ulokować swoich agentów w obrębie Imperium — podjął cicho Dermod. — Udało nam się wprowadzić osiem grup, w tym jedną na sam Świat Centralny. Zajęły się przede wszystkim badaniem opinii publicznej oraz kształtującej ją maszyny propagandy. Wiemy już, że jesteśmy oskarżani o wiele rzeczy, które mieliśmy zrobić na Etli, i społeczeństwo Imperium jest do nas wrogo nastawione, ale o tym za chwilę. Ostatnie wydarzenia jeszcze pogorszą sprawę. . .

Według oficjalnych komunikatów rządu imperialnego Etla padła ofiarą kłosań Korpusu Kontroli. Pod płaszczykiem udzielania pomocy medycznej wykorzystano jej mieszkańców w roli szczurów doświadczalnych. Posłużyli do testowania nowych rodzajów broni biologicznej. Jako dowód przytaczano dane o licznych epidemiach, które nawiedziły planetę wkrótce po odlocie statków Korpusu. Taki nieludzki, zbrodniczy postępek wymagał kary, stwierdzono, toteż Imperator oczekuje od wszystkich, że poprą jego działania przeciwko najeźdźcom.

Na dodatek, jak podawały źródła imperialne, według informacji uzyskanych od schwytanego agenta wroga, wydarzenia na Etli nie były odosobnionym przypadkiem. Poza tym ustalono, że agresję poprzedziła wizyta pewnego obcego, istoty ograniczonej i niegroźnej, która miała sprawdzić możliwości obronne planety. Była tylko narzędziem. Nawijając kontakt z władzami Etli, przybysze udali, że nie mają z nią nic wspólnego i nie wiedzą w ogóle o jej istnieniu. Jak można się było przekonać, Korpus na wielką skalę wykorzystuje różnych obcych. Traktuje ich jak niewolników, zwierzęta doświadczalne, a może i pożywienie. . .

Ustalono, że istnieje olbrzymie centrum badawcze, połączenie laboratorium i kompleksu militarnego, gdzie programowo przygotowuje się ataki podobne do tych, którego ofiarą padła Etla. Agent wroga wyjawiał mimowolnie koordynaty tego ośrodka i wyjaśnił, że podstawowym jego zadaniem jest opracowywanie nowych broni pomagających utrzymać w szachu wiele zniewolonych wcześniej ras obcych.

Imperator zajął stanowisko, że obalenie takiej tyranii jest wręcz jego obowiązkiem. Zamierzał użyć do tego wyłącznie imperialnych sił zbrojnych, gdyż jak wyznał ze wstydem, stosunki między Imperium a obcymi nie zawsze były dotąd tak

poprawne, jak powinny. Jeśli jednak mimo dawnych nieporozumień ktokolwiek będzie skłonny zaoferować pomoc, Imperium nie odmówi. . .

— I to wyjaśnia, dlaczego ta wojna jest taka dziwna — stwierdził Dermod. — Używają wyłącznie broni konwencjonalnej, a my na ograniczonym obszarze strefy obronnej musimy robić to samo. Im nie zależy na zniszczeniu Szpitala, ale na jego opanowaniu. Muszą poznać koordynaty planet Federacji, żeby wojna nie skończyła się za wcześnie. Walczą zaś zaciekle, gdyż niewoli boją się bardziej niż śmierci. Są przekonani, że Szpital to naprawdę wielka kosmiczna izba tortur. A ten ostatni, całkiem bezowocny atak był zapewne dziełem szczególnie w gorącej wodzie kąpanych sojuszników Imperium, których posłano tutaj bez przygotowania i informacji o naszej obronie. Zostali zmiażdżeni, co zapewne sprawi, że ci wahający się dotąd obcy teraz nagle podejmą decyzję. . . I staną po stronie Imperium — zakończył z goryczą w głosie.

Conway nie odezwał się. Znał otrzymywane przez Williamsona meldunki i wiedział, że Dermod nie przesadza. O'Mara, który czytał te same dokumenty, również milczał. Jednak Mannon nie byłby sobą, gdyby nie zabrał głosu.

— Ależ to niewiarygodne! — wybuchnął. — Wszystko przekręcają! To szpital, a nie izba tortur. I oskarżają nas o to, co robią sami. . . !

Dermod taktownie zignorował te okrzyki.

— Imperium jest niestabilne politycznie — wyjaśnił. — Gdybyśmy mieli dość czasu, moglibyśmy doprowadzić do zmiany rządów na bardziej wiarygodne. W sumie to sami obywatele Imperium by tego dokonali. Ale to zawsze trochę trwa, a my musimy przede wszystkim zapobiec rozprzestrzenieniu się wojny. Jeśli włączy się do niej zbyt wiele ras obcych, sytuacja może się rychło wymknąć spod kontroli, a pierwotne powody agresji, prawdziwe czy nie, stracą na znaczeniu. Możemy zyskać trochę czasu, odpierając tutaj ich ataki, ale w kwestii samej wojny nie mamy wielkiego pola manewru. Pozostaje mieć nadzieję, że nie dojdzie do najgorszego.

Nałożył hełm, lecz jeszcze nie opuszczał zasłony, żeby móc rozmawiać. Nagle Mannon zadał pytanie, które już od dłuższego czasu nurtowało Conwaya, ale obawiał się je wypowiedzieć:

— A tak naprawdę, to mamy w ogóle jakieś szansę się utrzymać?

Dermod się zawahał. Wyraźnie nie był pewien, czy powiedzieć prawdę, czy skłamać, żeby podnieść ich na duchu.

— Zastosowana przez nas sfera obronna to najlepsze możliwe ugrupowanie defensywne. Mamy pełne zaopatrzenie i wsparcie. Możemy stawiać opór wielokrotnie liczniejszemu przeciwnikowi, a nawet zadać mu wielkie straty.

Gdy Dermod odszedł, Thornnastor zajął się przyniesionymi przez jego ludzi zwłokami. Szefa patologii bardzo zainteresowały i miał dzięki nim pasjonujące zajęcia na wiele dni. O'Mara powrócił do nadzoru nad zdrowiem psychicznym podopiecznych, a Mannon i Conway na swoje oddziały. Możliwa reakcja perso-

nelu na atak obcych martwiła ich nie mniej niż problemy wynikające z leczenia ofiar należących do nie znanych im gatunków, które pojawiły się na scenie wydarzeń.

Jednak następne dwa tygodnie minęły bez nowych szturmów. Wkoło Szpitala zjawiało się coraz więcej okrętów Korpusu. Każdy odsyłał swoich astrogatorów szalupami na statki zaopatrzeniowe i zajmował wyznaczoną mu pozycję. Widoczna przez iluminatory flota zdawała się przesłaniać całe niebo, jakby Szpital tkwił pośrodku wielkiej gromady gwiazdnej, tyle że każdy z jasnych punktów oznaczał jednostkę bojową. Był to tak niesamowity i dodający ducha widok, że Conway przynajmniej raz dziennie podchodził do któregoś z okien Szpitala.

Wracając z jednego z takich wypadów, natknął się na grupę Kelgian.

W pierwszej chwili własnym oczom nie uwierzył. Wszyscy DBLF zostali ewakuowani, sam przecież odprowadzał ostatnich. A jednak przesuwało się przed nim ze dwadzieścia przerośniętych gąsienic. Na dodatek Kelgianie ci nie nosili opasek personelu technicznego czy medycznego, a sierść mieli ufarbowaną w koła i wielokąty. Po kolorach, czerwonym, niebieskim i czarnym, można było poznać, że to kelgiańskie barwy wojenne. Conway ruszył pędem do gabinetu O'Mary.

— ...o to samo chciałem spytać, doktorze, chociaż nie tak bezpośrednio — mruknął niechętnie naczelny psycholog, wskazując ekran. — Próbuje się właśnie skontaktować z dowódcą floty, proszę zatem usiąść i nie przeszkadzać.

Oblicze Dermoda pojawiło się dopiero po kilku minutach.

— To nie atak Imperium, panowie — wyjaśnił uprzejmie, choć było widać, że jest zajęty. — Informujemy o wszystkim rząd Federacji, który z kolei przekazuje te wiadomości obywatelom. Sprawa ataku przeprowadzonego przez obcych nie została wprawdzie jeszcze upubliczniona, jednak mamy nadzieję, że zrzeszeni w Federacji obcy spojrzą na to podobnie jak my. I chociaż mieli się trzymać z daleka od Szpitala, na wielu planetach zwyciężył wśród nich pogląd, że powinni nam pomóc w jego obronie. To dość zrozumiała reakcja.

— Ale sam pan powiedział, że nie chce, aby wojna się rozprzestrzeniła — zaprotestował Conway.

— Nie prosiłem ich, aby przybyli, doktorze — odparł zdecydowanie Dermod. — Jednak skoro już są, znajdziemy dla nich robotę. Najświeższe meldunki wywiadu sugerują, że następny atak może być decydujący...

Podczas lunchu Mannon wysłuchał wieści o nowych obrońcach z ponurą miną i mruknął, że to wielka szkoda. Przyzwyczał się już nieco do steków, a wizja ofiar wśród nieziemców oznaczała, że znowu będzie musiał przyjąć hipnozapisy. Pochłaniając spaghetti, Prilicla zauważył, że w takiej sytuacji dobrze się składa, iż pozaziemski personel nie opuścił tak całkiem Szpitala. Nie patrzył wówczas na Conwaya, który tym razem był dziwnie małomówny.

Myślał o tym, co powiedział Dermod, że następny atak może się okazać decydujący...

Zaczął się trzy tygodnie później. Do tego czasu panował spokój, który zakłóciło jedynie przybycie ochotniczych sił tralthańskich i samotnego okrętu, o którego planecie macierzystej Conway nigdy wcześniej nawet nie słyszał. Jego załoga należała do klasy QLCL. Potem usłyszał, że są pierwszy raz w Szpitalu, ponieważ przystąpili do Federacji całkiem niedawno. Byli jednak widocznie pełni entuzjazmu. Na wszelki wypadek przygotował dla nich mały oddział wypełniony przerażająco aktywną chemicznie mgłą, którą oddychali, i zmienił oświetlenie na lampy emitujące ostry, błękitnawy blask, który na QLCL działał uspokajająco.

Atak zaczął się całkiem niewinnie, od trzech niegroźnych uderzeń przeprowadzonych w odległych od siebie miejscach. Sfera obronna odparła je bez trudu. Conway widział przez iluminator drobne, jasne punkty, w których rozpoznawał okręty, pociski i przeciw pociski oraz eksplozje. Wszystko zdawało się dziać za wolno, aby kojarzyło się z niebezpieczeństwem, jednak było to tylko złudne wrażenie. Jednostki manewrowały z przyspieszeniem co najmniej pięciu g i tylko automatyczne układy antygravitacyjne chroniły ich załogi przed zmiążdżeniem, a pociski miały przyspieszenia i do pięćdziesięciu g. Chroniące przed nimi ekrany były niewidoczne, podobnie jak mniejsze pola siłowe niemal zawsze przechwytyjące te pociski, którym udało się przedrzeć przez ekrany. Niemniej potyczka ta była tylko skromnym wstępem, bojowym zwiadem przed właściwym atakiem.

Conway odwrócił się od iluminatora i ruszył ku swojemu oddziałowi. Wiedział, że nawet taka pozornie skromna wymiana ognia przysparza ofiar. Nie było sensu dłużej się gapić, poza tym na oddziale będzie miał pełen obraz bitwy.

Przez następne dwanaście godzin ofiary napływały wątym, ale stałym strumieniem. W końcu ataki przybrały na sile i strumyk zmienił się w rzekę, a gdy nadeszła pora właściwego szturmu, nastął prawdziwy potop.

Conway stracił poczucie czasu, przestał zwracać uwagę, kto i kiedy mu asystuje. Wiele razy miał ochotę na zastrzyk pobudzający, ale obecnie środek ten został praktycznie zakazany. Personel miał dość roboty i nie trzeba mu było jeszcze pacjentów z własnych szeregów. Conway musiał zatem pracować mimo wyczerpania, chociaż wiedział, że przez to nie do końca wywiązuje się z obowiązków. Jadł i spał, gdy nie mógł już utrzymać narzędzi w dłoniach. Asystowała mu czasem roślina Tralthank, czasem lekarz Korpusu, a najczęściej Murchison. Albo nie potrzebowała wiele snu, albo udawało jej się podrzemywać wtedy co i jemu. A może po prostu na nią najczęściej zwracał uwagę. To ona właśnie podsuwała mu jedzenie, ona też dawała mu znak, że najwyższa pora się położyć.

Czwartej dnia atak nie osłabł. Zamontowane na kadłubie Szpitala „grzechotki” pracowały niemal bez przerwy, powodując migotanie światła.

Stosowana przez obie strony broń działała na tej samej zasadzie co moduły utrzymujące sztuczną grawitację w obrębie Szpitala albo automaty neutralizujące zabójcze przyspieszenie na pokładach statków, przy czym ekrany odpychające zaprojektowano pierwotnie jako ochronę przeciwmeteorytową. „Grzechotki” były

połączeniem emiterów wiązki ściąągającej i odpychającej. Zależnie od skupienia wiązki mogły nadawać odległym obiektom przyspieszenie aż do osiemdziesięciu g, które zmieniało wektor kilkanaście razy na minutę. Oczywiście promień nie zawsze trafiał precyzyjnie w ruchomy cel, jednak przy takiej mocy w wyniku wibracji zwykle odpadały spore partie poszycia kadłuba, a w wypadku mniejszych jednostek wstrząsy stawały się bardzo niebezpieczne dla załogi.

„Grzechotki” miały rzeczywiście coraz więcej roboty. Siły Imperium atakowały zażarcie, spychając jednostki Korpusu coraz bliżej Szpitala. Zrobiło się tak ciasno, że w walkach pomiędzy okrętami trzeba było zrezygnować z użycia pocisków raketowych. Zbyt łatwo mogły zmylić cel i trafić we własną jednostkę. Wciąż jednak przeciwnik kierował setki rakiet na Szpital. Niektóre przedzierały się przez obronę. Operujący w butach z przyłgami Conway przynajmniej pięć razy poczuł znajome drżenie podłogi.

Do łatania ofiar „grzechotek” nie potrzebował żadnych szczególnych umiejętności diagnostycznych. Z góry było wiadomo, że trafiający na stół ludzie mają liczne i złożone złamania. Czasem trudno było się u nich doszukać choć jednej całej kości. Wiele razy, gdy przychodziło mu wycinać kolejnego rannego ze skafandra, miał ochotę krzyknąć na ludzi z noszami: „Niby co ja mam z tym zrobić?!”

Ale „to” było żywą istotą, a on, lekarz, miał obowiązek zadbać, aby nic w tej materii nie uległo zmianie.

Właśnie z pomocą Murchison i Tralthanki uporał się ze szczególnie trudnym przypadkiem, gdy zdał sobie sprawę, że w sali jest DBLF. Tak już przywykł do barwnego futra nowych gąsienic, że nawet rozpoznawał ich stopnie, a ta tutaj miała dodatkowo oznaczenie korpusu medycznego.

— Przeszedłem, żeby pana zmienić, doktorze — powiedział Kelgianin. — Mam doświadczenie w leczeniu przedstawicieli pańskiego gatunku. Major O'Mara chce, żeby natychmiast stawił się pan przy luku dwunastym.

Conway niezwłocznie przedstawił mu Murchison i Tralthankę. Do sali wwożono już kolejnego rannego i za chwilę miała się zacząć następna operacja.

— Dlaczego? — spytał, załatwiwszy najważniejsze.

— Doktor Thornnastor ucierpiał przy ostatnim trafieniu — odparł DBLF, spryskując swoje manipulatory plastikiem, którego chirurdzy tej rasy używali zamiast rękawic. — Potrzeba kogoś z doświadczeniem z nieziemcami, żeby zastąpił Thornnastora przy jego pacjentach i istotach klasy FGLI, które przybywają właśnie przez dwunastkę. Major O'Mara chce, żeby zerknął pan na nie jak najszybciej i sprawdził, jakie holozapisy będzie musiał przyjąć. I proszę wziąć skafander, doktorze. Piętro wyżej jest przebicie, ciśnienie spada. . .

Gnając korytarzami, Conway pomyślał, że od czasu ewakuacji patologia rzeczywiście nie miała wiele roboty. Tamtejsi Diagnostycy dali świadectwo swojej wszechstronności i wzięli pod opiekę największy oddział urazowy. Obok swoich współbraci Thornnastor przyjmował nań DBLF i Ziemiaków. Wszyscy, którzy

trafiali pod skrzydła ciężkiego, drażliwego i niewiarygodnie zdolnego Tralthańczyka, poczytywali to sobie za wielkie szczęście. Conway spytał, nim odszedł, jak rozległe obrażenia odniósł Thornnastor, ale kelgiański lekarz nic na ten temat nie wiedział.

Mijając iluminator, Conway spojrzął przelotnie na zewnątrz. Wydało mu się, że patrzy na chmurę wściekłych świetlików. Podpora pokładowa, na której oparł dłoń, zawibrowała tak gwałtownie, że prawie go uderzyła. Kolejny pocisk musiał trafić gdzieś niedaleko.

W przedsiönku luku czekało już dwóch Tralthańczyków, jeden Nidiańczyk i jeden QCQL w skafandrze kosmicznym. No i byli też wszechobecni ostatnio Kontrolerzy. Nidiańczyk wyjaśnił, że nieprzyjacielskie „grzechotki” rozdarły tralthański okręt niemal na pół, ale wielu z załogi ocalało. Wiązka ściągająca ze Szpitala przejęła już jednostkę i kierowała ją z wolna do dwunastki. . .

Nidiańczyk zaczął nagle szczekać.

— Przestań! — rzucił zirytowany Conway.

Nidiańczyk spojrział na niego zdumiony i znowu zaszczekał. Kilka sekund później tralthańska siostra omal nie ogłuszyła ich modulowanym zawodzeniem swojego rogu mgielnego, a QCQL zagwizdał piskliwie przez radio. Zajęty przeprowadzaniem ofiar przez rękaw Kontroler zrobił wielkie oczy. Conway pojął, co się stało, i cały się spocił.

Stał pośrodku przedsiönka i nie odczuł kolejnego trafienia, ale wiedział już, gdzie dostali. Pomanipulował bezskutecznie przy swoim autotranslatorze, po czym bezsilnie uderzył w martwe urządzenie knykciami. I natychmiast kopnął się do interkomu.

Gdziekolwiek próbował, na wszystkich kanałach przelewała się ta sama kachofonia jęków, zawodzeń i gardłowego poszczekiwania. Zęby od tego cierpły. Wyobraził sobie salę operacyjną, w której zostawił Kelgianina z Murchison i Tralthanką — żadne z nich nie rozumiało teraz pozostałych. Wszystkie życiowo ważne instrukcje i zalecenia, prośby o instrumenty czy pytania o stan pacjenta padały w rodzimej mowie każdego z nich i tak było w całym Szpitalu. Tylko przedstawiciele tych samych gatunków nadal mogli się porozumieć, chociaż i to nie zawsze. Niektórzy Ziemianie urodzeni w różnych zakątkach kosmosu nie władali wspólnym i nawet w kontaktach z pobratymcami polegali na autotranslatorach.

Z całego tego bełkotu Conway zdołał w końcu wyłowić zrozumiałe słowa. Skupił się, odrzucając zbędny hałas niczym biały szum, i zrozumiał, co mówiono: „... trzy rybki w szybkiej sekwencji, sir. Wybiły sobie kolejno drogę do środka. Nie damy rady połatać autotranslatora, tam po prostu nie ma już co naprawiać. Ostatnia torpeda doszła do samej komputerowni”.

Przed niszą z interkomem pielęgniarki różnych ras gwizdały, jęczały i wyły na niego oraz na siebie nawzajem. Powinien wydać im polecenie, by wstępnie zbadały rannych, przygotowały oddział na ich przyjęcie i sprawdziły gotowość

sali operacyjnej dla FGLI. Ale nie mógł nic zrobić, gdyż jego personel żadną miarą go nie rozumiał.

Rozdział dziewiętnasty

Conwayowi wydawało się, że tkwił w niszy interkomu godzinami, nie znajdując sił, żeby stamtąd wyjść, chociaż naprawdę upłynęło chyba tylko kilka sekund. Myśli, które kotłowały mu się wówczas w głowie, bez wątpienia zainteresowałyby naczelnego psychologa. W końcu jednak zwalczył panikę i chęć skrycia się w jakimś ciemnym kącie. Przypomniał sobie, że stąd nie ma ucieczki, zmusił się do spojrzenia na unoszących się w przedsionku FGLI. Pomieszczenie było ich prawie pełne.

Pamiętał tylko rudymenta tralthańskiej fizjologii, ale to akurat go nie martwiło, gdyż takie sprawy załatwiała hipnotaśma. O wiele większym problemem było rozpoczęcie leczenia. Najpierw należało uspokoić jakoś to pandemonium, w tym i Kontrolerów, którzy głośno domagali się wyjaśnień, co też właściwie się dzieje. Na dodatek wielu rannych było przytomnych i dawało o sobie znać krzykiem, który przebijał się nawet przez kokony ciśnieniowe.

— Sierzancie! — ryknął Conway na najstarszego stopniem Kontrolera i wskazał rannych. — Oddział cztery B, poziom dwieście siedemnaście! Wie pan, gdzie to jest?

Kontroler pokiwał głową i Conway obrócił się z kolei do pielęgniarek.

Próby nawiązania kontaktu na migi z Nidianką i QCQL spełzły na niczym i dopiero kiedy owinał nogi wkoło jednej z przednich kończyn FGLI i siłą przekręcił wyrostek z aparatami wzrokowymi, tak aby wszystkie oczy spojrzwały na rannych, zdołał zwrócić na siebie jej uwagę. W końcu Tralthanką chyba zrozumiała, że ma towarzyszyć rannym na oddział i zrobić tam dla nich, co tylko będzie mogła.

Oddział cztery B został niemal w całości przeznaczony dla rannych FGLI i personel też głównie był tralthański, zatem większość pacjentów mogłaby się z nim porozumieć. Conway wolał nie myśleć, jak się poczują pacjenci pozbawieni tego udogodnienia. On został właśnie przypisany do oddziału Thornnastora i nie mógł się, niestety, rozdzielić.

Nie zastał O'Mary w gabinecie. Carrinton, który był jednym z jego asystentów, wyjaśnił, że naczelną psycholog organizuje przenosiny pacjentów i personelu, tak by w miarę możliwości swój trafiał na swego, ale zanim wyszedł, po-

wiedział, że chce się widzieć z Conwayem, gdy tylko doktor upora się z rannymi Tralthańczykami. Carrinton dodał, że skoro cała łączność siadła, to może Conway byłby uprzejmy zajrzeć raz jeszcze za jakiś czas albo powiedzieć, dokąd się udaje, i poczekać tam na majora. Po dziesięciu minutach Conway miał już właściwy hipnozapis w głowie i kierował się na oddział cztery B.

Korzystał już wcześniej z hipnotaśm FGLI i nie czuł się z tym najgorzej. Chwiał się jednak trochę, idąc z konieczności na dwóch nogach, a nie na sześciu, i poruszał całą głową, choć wystarczyłoby tylko oczami, dopiero zaś na oddziale poczuł, że zapis przyjął się w pełni. Rzędy pacjentów przykuły z miejsca jego uwagę i prawie się nie przejął tralthańskimi siostrami, które były bliskie paniki. Zdziwił się tylko przelotnie, że nie rozumie, co mówią. Natomiast ziemskie pielęgniarki, wszystkie dziwnie pulchne i niezgrabne, budziły obecnie jego irytację, i to mimo że ludzka część jego świadomości podpowiadała, iż część z nich prezentuje się całkiem kształtnie.

Podszedł do tych nieszczęsnych istot i powiedział:

— Proszę o uwagę. Mam w głowie tralthański hipnozapis, który pozwoli mi zająć się naszymi pacjentami, ale przez awarię autotranslatora nie zdołam się porozumieć z tralthańskim personelem. Będziecie musiały mi pomóc przy wstępnym badaniu i w sali operacyjnej.

Wpatrywały się w niego ucieszone, że wreszcie ktoś przejął dowodzenie, i strach zaczął im przechodzić, mimo że Conway żądał od nich niemożliwego. Na oddziale znalazło się czterdziestu siedmiu pacjentów FGLI, w tym osiem nowych przypadków wymagających natychmiastowej uwagi, a ziemskie pielęgniarki były tylko trzy.

— Rozmowa z personelem FGLI jest chwilowo niemożliwa — podjął Conway po chwili. — Jednak wszystkie znacie swoje obowiązki i wykonujecie w zasadzie te same czynności, więc na pewno uda się wypracować jakieś metody komunikacji. Nie od razu i nie bez trudności oczywiście, ale gdy Tralthanki pojmą, co robicie, na pewno włączą się, żeby pomóc. Machajcie zatem rękami, szkicujcie rysunki, a przede wszystkim używajcie waszych ślicznych główek.

Co za tekst, pomyślał ze wstydem, ale nic lepszego nie mógł chwilowo wymyślić. Nie był psychologiem, jak O'Mara.

Uporał się z czterema najgorszymi przypadkami, gdy na oddziale zjawił się Mannon z kolejnym FGLI na noszach z magnetycznymi przylgami. Pacjentem okazał się Thornnastor. Wystarczył rzut oka, aby orzec, że Diagnostyk przez dłuższy czas nie stanie na własnych nogach.

Mannon, przekazawszy szczegółowe informacje o obrażeniach Thornnastora i rodzaju udzielonej pomocy, zmienił temat:

— Pomyślałem, że skoro masz monopol na Tralthańczyków, to najlepiej poprowadzisz jego pooperacyjną rekonwalescencję. Poza tym teraz to najcichszy oddział w całym Szpitalu. Wszędzie indziej panuje czysty obłąd. Jak ci się to

udało? Chłopięcy urok czy supersposób? A może korzystasz z pirackiego auto-translatora?

Conway opowiedział o swoim pomysłe z rysowaniem.

— Zazwyczaj nie pochwalam wymiany karteczek podczas operacji — mruknął Mannon i choć miał twarz poszarzałą od zmęczenia, pojawiło się na niej coś na kształt uśmiechu — ale wygląda na to, że tym razem działa. Rozpowszechnię to rozwiązanie.

Po wielu manewrach wielkie ciało Thornnastora zostało przeniesione na maszyną konstrukcję, która służyła FGLI za łóżko w stanie nieważkości.

— Też mam ich zapis w głowie — powiedział Mannon. — Potrzebowałem go, żeby pomóc Torniemu. Ale dostałem już dwóch QCQL. Do dziś nie wiedziałem, że takie stworzenia są na świecie, ale szczęśliwie O'Mara ma ich taśmę. Muszę pracować w skafandrze, bo te typy mogą zabić samym oddechem. Obaj są przytomni, ale nie pogadamy sobie. Czeka mnie niezła zabawa. . . — Nagle przygarbił się i lekki uśmiech znikł z jego warg, jakby przegrał jakąś wewnętrzną walkę. — Chciałbym, żebyś jeszcze o czymś pomyślał — odezwał się po chwili. — Na tych oddziałach, gdzie wszyscy należą do tych samych typów fizjologicznych, nie jest najgorzej. Na tle reszty oczywiście, bo przy mieszanym personelu robi się ciężko, a tam, gdzie podczas bombardowania zostali ranni pojedynczy przedstawiciele jakiejś rasy, jest już całkiem źle.

Conway wiedział, że bombardowanie nie ustało. Metalowa konstrukcja Szpitala pobrzmiwała po każdym trafieniu niczym olbrzymi gong. Conway słyszał te dźwięki, ale wolał nie myśleć, co oznaczają. Kolejne ofiary wśród personelu i jeszcze cięższe obrażenia u tych, którzy już wcześniej zostali pacjentami.

— Rozumiem — odparł, rozkładając ręce. — Ale mam jeszcze pod opieką oddziały Thornnastora i roboty potąd. . .

— Tak jak wszyscy! — warknął Mannon. — Jednak ktoś musi się tym zająć, i to szybko!

Co ja mam niby z tym zrobić? — pomyślał ze złością Conway, patrząc na plecy oddalającego się Mannona. Wzruszył ramionami i zajął się kolejnym pacjentem.

Przez kilka następnych godzin coś dziwnego zaczęło się dziać w jego głowie. W jakiejś chwili pojął, że prawie rozumie zdania wypowiedane przez tralthańskie pielęgniarki. Skłonny był to wiązać z przyjętym hipnozapisem FGLL. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na ten efekt, może dlatego, że nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak wieloma Tralthańczykami w tak krótkim czasie, a poza tym, zawsze dotąd mógł polegać na autotranslatorze. Teraz jednak osobiste wspomnienia FGLI, który przekazał zapis, doszły z konieczności do głosu i wywarły większy niż zwykle wpływ na jego psyche.

Nie powodowało to żadnego rozdwojenia czy walki o psychiczną dominację, gdyż naturalnym porządkiem rzeczy musiał właśnie myśleć i patrzeć jak FGLI.

Niemniej, gdy zwracał się do ludzkiej pielęgniarki czy pacjenta, wymagało to sporej koncentracji. W przeciwnym razie własne słowa brzmiały mu w uszach jak dziwaczny bełkot. Natomiast mowę Tralthańczyków z każdą chwilą rozumiał coraz lepiej.

Daleki był w tym oczywiście od perfekcji, szczególnie że pohukiwania FGLI wymagały raczej słoniowych, a nie ludzkich uszu. Dla Conwaya brzmiały zbyt niewyraźnie, ale i tak wystarczająco, żeby coś z nich pojąć. Żałował tylko, że to całkiem jednostronna komunikacja. Chyba żeby...

Podczas przygotowań sali do następnej operacji spróbował się jednak odezwać.

Jego tralthańskie alter ego wiedziało oczywiście, jak formułować słowa, ale umiało operować tylko własnymi strunami głosowymi. Niemniej ludzkie narządy mowy cieszyły się reputacją najbardziej uniwersalnych w całej galaktyce. Conway zaczerpnął głęboko powietrza i zaryzykował...

Pierwsza próba skończyła się gwałtownym atakiem kaszlu i wyraźnym popłochem wśród personelu. Jednak przy trzeciej w końcu mu się udało — jedna z tralthańskich pielęgniarek odpowiedziała! Potem ustalenie wspólnej płaszczyzny porozumienia było już tylko kwestią czasu. Następne operacje przebiegły dzięki temu o wiele sprawniej i niewątpliwie z większym pożytkiem dla pacjentów.

Ziemskie pielęgniarki były pod wielkim wrażeniem. Pilnie łowiły odgłosy dobywające się z forsowanego gardła Conwaya. I dostrzegały też chyba humorystyczny aspekt całej sprawy...

— Pięknie, pięknie — rozległ się nagle od drzwi znajomy ironiczny głos. — Oto oddział uśmiechniętych pacjentów pod opieką wesołego lekarza, który zszedł na psy i szczeka. Co to za wyglupy?

Conway zauważył ze zdumieniem, że tym razem O'Mara jest naprawdę wściekły. Ani trochę nie udawał, jak miał to czasem w zwyczaju. W tych okolicznościach najlepiej było zignorować ton oraz ozdobniki i odpowiedzieć wyczerpująco na pytanie.

— Zajmuję się pacjentami Thornnastora i nowymi, dopiero co przywiezionymi przypadkami — odparł cicho. — Kontrolerzy i FGLI już załatwieni i właśnie miałem pana prosić o taśmę Kelgian, których mi teraz dostarczają.

— Przyśle panu kelgiańskiego lekarza, żeby się nimi zajął — warknął O'Mara. — Pozostałym wystarczy na razie opieka pielęgniarek. Pan zaś chyba nie rozumie, że ten poziom to tylko jeden z trzystu osiemdziesięciu czterech. Na innych oddziałach pacjenci daremnie oczekują na najprostszą pomoc i nie otrzymują jej, bo każdy gada o czym innym. Ranni leżą rzędami na korytarzach w pobliżu luków. Ciągłe w skafandrach, bo mamy masę przebić. Niedługo zaczną im się kończyć powietrze i chyba nie będą zachwyceni...

— A co ja mam z tym zrobić?

Z jakiegoś powodu to pytanie jeszcze bardziej wzburzyło O'Marę.

— Nie wiem, doktorze Conway. Jestem tylko bezrobotnym psychologiem. Każdy z moich pacjentów mówi teraz po swojemu i w większości całkiem niezrozumiale. Tych, którzy znają ludzką mowę, próbuję skłonić, aby spróbowali zapanować nad tym bałaganem, ale wszyscy są zbyt zajęci własnymi oddziałościami, żeby pomyśleć o Szpitalu jako całości. Wszyscy powtarzają, że góra ma się tym zająć...

— W tych okolicznościach mają rację — stwierdził Conway. — To jest zadanie w sam raz dla Diagnostyków...

Conway pomyślał, że rozumie po części przyczynę irytacji O'Mary. Utrata kontaktu z pacjentami musiała być strasznie frustrująca dla psychologa. Niemniej z jakiegoś powodu wydawał się zły przede wszystkim na Conwaya, jakby to właśnie on nie dopełnił swoich obowiązków.

— Thornnastor jest wyłączony — powiedział O'Mara, ścisząc nieco głos. — Był pan zapewne zbyt zajęty, żeby słyszeć o wszystkim. Dwóch Diagnostyków dziś zginęło. Ze starszych lekarzy straciliśmy Harknessa, Irkultisa, Mannona...

— Mannona? Czy on...?

— Myślałem, że to akurat pan wie... — powiedział O'Mara niemal łagodnie. — Dostał dwa poziomy stąd. Zajmował się dwoma QCQL, gdy niedaleko trafił pocisk. Odłamek uszkodził mu skafander. Zanim powietrze uciekło do końca, Mannon łyknął nieco tej trucizny, którą oddychają QCQL. A potem ucierpiał jeszcze przez dekompresję. Ale będzie żył.

Conway odetchnął głęboko.

— Dobrze...

— Też tak myślę — mruknął O'Mara. — Ale o czym innym chciałem... Nie ma już żadnego Diagnostyka na chodzie, ze starszych lekarzy został tylko pan, a nasz szpital zmienił się w dom wariatów. Jako nowego szefa personelu medycznego chcę pana spytać, co zamierza pan z tym zrobić.

Zamilkł i spojrział wyczekująco na Conwaya.

Rozdział dwudziesty

Jeszcze niedawno Conway myślał, że nic paskudniejszego niż zniszczenie centralnego autotranslatora nie może go już spotkać. Tymczasem teraz spadła na niego niechciana odpowiedzialność, która śmiertelnie go przerażała. Owszem, marzył niekiedy o kierowaniu całym Szpitalem, a szczególnie jego medyczną działalnością, jednak wtedy Szpital nie był umierającym z wolna, rozbijanym przez pociski rumowiskiem, w którym brakło łączności i personelu, a tylko broni oraz pacjentów było pod dostatkiem.

Zapewne to jedyna sytuacja, w której ktoś taki jak ja może zostać dyrektorem, pomyślał ze smutkiem Conway. Nie był absolutnie najlepszą osobą na podobne stanowisko, ale niestety, był jedynym kandydatem. Niemniej po chwili oprócz strachu i złości zaczął odczuwać również dumę, że to on będzie kierował Szpitalem przez ostatnie dni czy tygodnie jego działalności.

Rozejrzał się szybko po oddziale i ogólnie porządnym, chociaż może trochę nierównych szeregach łóżek Tralthańczyków i Ziemiaków, wokół których kręcił się sprawnie i po cichu personel. Udało mu się coś zdziałać, ale zaczynał pojmować, że tak naprawdę to ukrył się na tym oddziale, że uciekał przed odpowiedzialnością.

— Mam pewien pomysł — rzekł nagle do O'Mary. — Nie jest genialny i wolałbym porozmawiać o nim w pańskim gabinecie. Jestem pewien, że się panu nie spodoba, a nie chcę, żeby niepokoił pan swoimi krzykami pacjentów.

O'Mara spojrział na niego z ukosa, ale gdy się odezwał, złość ustąpiła miejsca normalnemu dla niego sarkazmowi.

— Pańskie pomysły nie mogą się podobać komuś tak poukładanemu jak ja.

Po drodze do gabinetu O'Mary minęli grupę wyższych oficerów Korpusu. Major wyjaśnił, że to część sztabowców Dermoda, którzy przygotowują przeniesienie centrum dowodzenia na teren Szpitala. Na razie Dermod był jeszcze na pokładzie *Vespasiana*, ale obecnie nawet ciężkie jednostki zaczynały mocno obrywać, stracono nawet poprzedni okręt flagowy o nazwie *Domitian*.

Gdy przybyli na miejsce, Conway powiedział:

— Pomysł był w gruncie rzeczy taki sobie, ale spotkanie z Kontrolerami nasunęło mi nowy. Może byśmy poprosili Dermoda, żeby pozwolił nam korzystać z pokładowych autotranslatorów...?

O'Mara pokręcił głową.

— Nie da rady. Też już o tym myślałem. Naprawdę porządne komputery znajdują się tylko na wielkich jednostkach, ale są integralną częścią systemu i nie da się ich wymontować bez poważnej szkody dla okrętu. Poza tym przy naszych potrzebach musielibyśmy ich zdobyć co najmniej dwadzieścia. Nie zostało nam aż tyle wielkich jednostek, a i tych nielicznych Dermod nam nie da. Powiedział, że ma wobec nich inne plany. Jaki był ten pański wcześniejszy i gorszy pomysł?

Conway powiedział.

Gdy skończył, O'Mara przyglądał mu się prawie przez minutę, nim przemówił.

— Ma pan rację. Nie podoba mi się. Bardzo mi się nie podoba. Nie podoba mi się do tego stopnia, że gdybym nie był taki zmęczony, pewnie zacząłbym podskakiwać w fotelu i uderzać pięścią w stół. Czy pan wie, na co się porywa?

Gdzieś z dołu dobiegł głuchy łomot i odgłos dartego metalu. Conway wzdrygnął się mimowolnie.

— Chyba tak. Owszem, nie obejdzie się bez pewnych niewygód i zawrotów głowy, ale mam nadzieję, że nie będzie najgorzej, jeśli najpierw pozwolę, by zapisany wzorzec zawładnął mną całkowicie, a potem zacznę go stopniowo usuwać, zostawiając tylko obszar językowy. Tak właśnie było z tralthańską taśmą i nie mam powodu sądzić, że inaczej będzie z zapisem DBLF czy innymi. Język DBLF jest chyba na dodatek prostszy, bo pojękiwać z cicha jest łatwiej, niż pohukiwać na całe gardło...

Miał nadzieję, że będzie mógł znów wrócić na oddział, gdy tylko rozwiąże najważniejsze problemy z tłumaczeniem. Niektóre dźwięki wydawane przez obcych mogły się okazać trudne do odtworzenia samodzielnie, ale wpadł już na pomysł, jak zmodyfikować kilka instrumentów muzycznych, które by się do tego nadawały. Nie byłby też jedynym chodzącym autotranslatorem, paru innych obcych i ludzkich lekarzy też mogło przecież przyjąć jedną czy dwie taśmy. Kilku pewnie i tak ma zapisy w głowach, tylko nie pomyślało dotąd, aby wykorzystać je w taki sposób. Conway wpadał na kolejne pomysły szybciej, niż mu przechodziły przez usta.

— Chwilę, moment — przerwał mu O'Mara. — Chce pan najpierw pozwolić się zdominować cudzej osobowości, a potem zdławić ją tak, by wykorzystać tylko pewne jej elementy. A jeśli się to panu nie uda? Hipnozapisy to złożona sprawa, pan zaś nigdy dotąd nie przyjmował więcej niż dwa jednocześnie. Sprawdziłem w pańskiej kartotece. — Zamyślił się i po chwili dodał: — Poza tym to, co pan otrzymuje, to zapis pamięci obcej istoty, która jest wśród swoich wielkim autorytetem medycznym. Sam zapis nie ma żadnej osobowości, nie walczy

zatem o przejęcie władzy nad nosicielem, chociaż może się tak panu wydawać, ponieważ jest bardzo realistyczny. Szczególnie że niektórzy dawcy byli istotami z natury agresywnymi. Z tymi lekarzami, którzy po raz pierwszy przyjmują więcej zapisów, dzieją się czasem dziwne rzeczy. Zaczynają odczuwać bóle, dostają alergii, niekiedy nawet ogólnego rozstroju organizmu. Wszystko to są oczywiście reakcje psychosomatyczne, ale dokuczają tak samo jak zwykłe choroby. Można nad owymi zaburzeniami zapanować, a nawet całkiem je usunąć, ale to wymaga silnej osobowości. Chociaż silnej nie znaczy twardej. Żeby nie doszło do załamania, konieczna jest przede wszystkim umiejętność elastycznego reagowania. Czyli siła, duże zdolności adaptacyjne i jeszcze coś, co nazwałbym mentalną kotwicą. Stały punkt odniesienia w obszarze, który zwiemy obiektywną rzeczywistością. To ostatnie musi już pan znaleźć sobie sam. . . I na koniec załóżmy, że się zgodzę. Hę pan ich chce?

Conway zastanowił się szybko. Tralthańczycy, Kelgianie, Melfianie, Nidiańczycy i te rośliny, które spotkał przed wylotem na Etlę, bo ich też parę zostało, a jeszcze stwory Mannona, które leczył, gdy oberwał. . .

— FGLI, DBLF, ELNT, nidiańskie DBDG, AACP i QCQL. Sześć.

O'Mara zacisnął wargi i odrzekł:

— Gdyby chodziło o Diagnostyka, słowa bym nie powiedział. Oni do tego nawykli. Ale pan jest tylko. . .

— Medycznym szefem Szpitala — odparł z uśmiechem Conway.

— Hm. . .

Zapadła cisza, w której słychać było ludzkie głosy i jazgot nieziemców wypełniający korytarz za drzwiami. Ktokolwiek tam hałasował, robił to naprawdę głośno, gdyż gabinet O'Mary był w zasadzie dźwiękoszczelny.

— Dobra, niech pan spróbuje — rzucił nagle major. — Ale nie chcę, żeby został pan moim pacjentem, a do tego może dojść łatwiej, niż pan myśli. Za mało mamy lekarzy, żeby pakować pana w kaftan bezpieczeństwa. Będę więc pana pilnie obserwował. A do pańskiej listy dodam jeszcze GLNO.

— Prilicla!

— Tak. Przy jego wrażliwości przeżył ostatnio ciężkie chwile i musiałem mu podać środki uspokajające. Ale będzie mógł czuwać nad stanem pańskiego umysłu, a w razie potrzeby zapewne również pomóc. Proszę na leżankę.

Conway spoczął i O'Mara nałożył mu hełm. Cały czas przemawiał do niego łagodnie, czasem o coś pytając, czasem tylko mówiąc. Jak stwierdził, podczas zwiłokrotnionego zapisu Conway nie powinien być przytomny, a dla uzyskania najlepszych rezultatów najlepiej będzie, jeśli prześpi potem co najmniej cztery godziny. Zresztą tak czy owak należy mu się trochę snu i trudno wykluczyć, czy nie wymyślił sobie tego chorego planu tylko po to, żeby mieć pretekst do drzemki. A potem psycholog dodał jeszcze cicho, że Conwaya czeka niebawem naprawdę

ważna robota i będzie musiał być w siedmiu miejscach naraz jako siedem różnych istot, więc nieco snu naprawdę dobrze mu zrobi. . .

— Nie będzie źle — mruknął Conway, walcząc z opadającymi powiekami. — Zajrzę tylko na chwilę tu i tam, żeby poznać podstawowe zwroty. . . i nauczyć pielęgniarki, jak jest po ichniemu „skalpel”, „kleszcze”. . . i kiedy obcy chirurg mówi: „Proszę nie dyszeć mi w kark, siostró”. . .

Ostatnia kwestia O’Mary, którą Conway usłyszał, brzmiała:

— Świetnie, że masz jeszcze poczucie humoru, chłopie. Bardzo ci się przyda. . .

Obudził się w pokoju, który nie był ani za duży, ani za mały, ale obcy, i to na sześć różnych sposobów, a zarazem całkiem znajomy. Nie czuł się wcale wypoczęty. Na suficie siedział uczepiony sześcioma przylgowatymi łapami drobny, olbrzymi, kruchy, piękny i obrzydliwy owadzi stwór, który kojarzył mu się z upiornymi dwudysznymi „deliami”, które odławiał kiedyś na śniadanie na dnie prywatnego jeziora. Z nimi i jeszcze wieloma innymi żyjątkami, w tym ze zwykłym, takim samym jak on, cinrussańskim GLNO. Istota zadrżała lekko, wyczuwając emocjonalne reakcje licznych wersji Conwaya, które wcale się tym nie zdumiały. Wszyscy wiedzieli, że GLNO z Cinrussa to telepaci.

Przebiwszy się przez zawirowania obcych myśli, wspomnień i wrażeń, Conway uznał w końcu, że pora wziąć się do roboty i sprawdzić pomysł w praktyce. Najlepiej na Prilicli, który był pod ręką. Spróbował poszukać w bogatych wspomnieniach GLNO danych o jego języku.

Nie, nie o jego języku, pomyślał nagle, ale o moim języku. Muszę myśleć, odczuwać i słuchać jak GLNO. Powoli coś zaczęło z tego wychodzić. . .

Nie było to wcale przyjemne.

Był Cinrussańczykiem, przedstawicielem delikatnej rasy telepatów żyjących na planecie o bardzo słabym ciężeniu. Wreszcie mógł podziwiać zgrabny, lekko opalizujący szkielet zewnętrzny młodego Prilicli i jego szczątkowe, ale wciąż sprawne skrzydła. Rozumiał w pełni, o jak silnym napięciu świadczy lekkie drżenie manipulatorów przyjaciela, który wyczuł właśnie ciężkie przygnębienie, które ogarnęło Conwaya. Było w pełni zrozumiałe — oto telepata z urodzenia, chwilowo w ciele człowieka, odkrył, że nie jest już telepatą. . . Będący w tej chwili Cinrussańczykiem Conway odczuł boleśnie brak zdolności do współodczuwania z innymi emocji nadających złożone znaczenie każdemu słowu i gestowi. Kontakt z Priliclą wydał mu się nagle przerażająco ubogi w porównaniu z tym, co pamiętał. To było gorsze, niż gdyby ogłuchł i stracił mowę.

Niestety, jego ludzki mózg nie był zdolny do nawiązania telepatycznego kontaktu i wspomnienia istoty, która to potrafiła, nic nie mogły w tym pomóc.

Prilicla zaklaskał i zahuczał z cicha. Conway, który nigdy nie rozmawiał z GLNO inaczej niż za pośrednictwem autotranslatora, zrozumiał, że było to „Przykro mi”, i to wypowiedziane ze szczerym smutkiem i współczuciem.

Spróbował odpowiedzieć cichym trylem i kłaśnięciem, które układały się w oryginalne brzmienie zniekształconego do ludzkich możliwości imienia „Prilicla”. Za piątym razem udało mu się uzyskać coś zbliżonego do pożądanej kombinacji dźwięków.

— Świetnie ci idzie, przyjacielu Conway — powiedział radośnie Prilicla. — Nie myślałem, że to będzie możliwe. Rozumiesz, co mówię?

Conway poszukał właściwych słów, a potem spróbował je wypowiedzieć.

— Dziękuję. Tak.

Potem zaczął ćwiczyć wymowę bardziej złożonych zdań oraz terminów medycznych. Czasem mu się udawało, czasem nie, ale chociaż niezmiennie pozostawał na poziomie okaleczonego cinrussańskiego, nie poddawał się. W końcu jednak im przeszkodzono.

— Mówi O'Mara — rozległ się głos w interkomie. — Myślę, że już się pan obudził, informuję zatem pana o bieżących wydarzeniach. Wciąż jesteśmy atakowani, chociaż już z mniejszym impetem. Poprawiło się po przybyciu nowych ochotniczych jednostek nieziemców. Głównie to Melfianie, trochę Tralthańczyków i jeszcze chlorodyszni Illensańczycy. Będzie pan więc miał na głowie jeszcze PVSJ. A w samym Szpitalu... — Major podał szczegółową listę ofiar i sprawnego wciąż personelu z rozbiciem na gatunki i rozmieszczenie, a zakończył wyliczeniem najważniejszych problemów do rozwiązania na każdym oddziale, z zaznaczeniem stopnia pilności. — ... sam pan zdecyduje, od czego zacząć. Im szybciej, tym lepiej, oczywiście. Jeśli jednak nie odnalazł się pan jeszcze, to powtarzam...

— Nie trzeba. Działam jak należy.

— Dobrze. Jak samopoczucie?

— Straszne. Przeróżające. I osobliwe.

— Z całym szacunkiem, ale to całkiem normalna reakcja — stwierdził O'Mara i wyłączył się.

Conway odpiął pasy, które utrzymywały go na leżance, opuścił nogi na podłogę i natychmiast zdrętwiał. Wiele zamieszkujących jego umysł istot bało się nieważkości, a na dodatek z przerażeniem odkrył właśnie, że z tymi nogami nigdy nie zdoła wejść na sufit. Gdy zaś puścił w końcu krawędź leżanki, stwierdził, że zamiast zgrabnych manipulatorów ma tylko blade i ciastowate wyrostki. W końcu dotarł jednak jakoś do drzwi, wyszedł na korytarz i przebył nim całe pięćdziesiąt metrów.

I wtedy został zatrzymany.

Zirytowany lekarz dyżurny w zielonym mundurze Korpusu bezceremonialnie i barwnym językiem spytał go, dlaczego wstał z łóżka i z jakiego jest oddziału.

Conway spojrział na swoje wielkie i grube, delikatne i obrzydliwe ciało. W sumie całkiem niezłe ciało, jak podpowiadała własna część jego umysłu, może tylko nieco za szczupłe. No i owinięte w połowie długości, dokładnie w miejscu, gdzie

korpus przechodził w dwie dolne kończyny, kawałkiem białego materiału, który najwyraźniej niczemu nie służył. Dziwne i obce ciało.

Cholera, pomyślał po chwili Conway, dochodząc w miarę do siebie. Zapomniałem się ubrać...

Rozdział dwudziesty pierwszy

Pierwszym zarządzeniem Conwaya w nowej roli było umieszczenie w centrali łączności po jednym przedstawicielu wszystkich obecnych w Szpitalu gatunków. Korpus Kontroli zdołał już przywrócić porządek w sieci — przy każdym interkomie ustawiono po funkcjonariuszu, który nie dopuszczał do niego nieziemców, chyba że byli szczególnie uparci, a do tego dobrze umięśnieni. Dzięki temu Ziemianie mogli wreszcie zrozumieć się nawzajem. Teraz, gdy operatorów było więcej, również rozmowy obcych dawało się przekierowywać pod właściwe adresy. Conway spędził w centrum prawie dwie godziny, więcej niż gdziekolwiek, aby ustalić z operatorami innych ras kod pozwalający na przekazywanie prostych, a nawet bardzo prostych komunikatów. Dostał do pomocy dwóch filologów Korpusu, którzy zaproponowali mu, aby nagrywał swoje poczynania. Według nich rozpowszechnienie takiego pomnożonego siedmiokrotnie kamienia z Rosetty mogło kiedyś pomóc innym w podobnych sytuacjach.

Gdy ruszył w obchód po oddziałach, towarzyszył mu Prilicla, obaj filologowie oraz inżynier dźwiękowiec. Co chwila dołączały do nich pielęgniarki i rychło korytarzami zaczęła wędrować cała procesja. Conway był jednak zbyt pochłonięty pracą, żeby ją zauważyć.

Ponad połowa obecnej obsady Szpitala rekrutowała się z Ziemian, jednak ludzkich pacjentów było trzydzieści razy więcej niż nieziemców. Na niektórych poziomach jedna pielęgniarka miała pod opieką cały oddział pełen rannych Kontrolerów i tylko kilka Tralthanek albo Kelgianek do pomocy. W takich wypadkach wystarczało tylko im podpowiedzieć, jak porozumieć się w podstawowych sprawach. Gdzie indziej jednak personel ELNT i FGLI zajmował się pacjentami DBLF, QCQL i Ziemianami albo ziemskie pielęgniarki czuwały przy ELNT. W jeszcze innym miejscu roślinowaci AACP doglądali całego tłumu pacjentów wszystkich praktycznie gatunków. Owszem, najwłaściwszym posunięciem byłoby takie przeniesienie pacjentów, aby wszyscy znaleźli się pod opieką swoich. Jednak nie do końca można to było zrealizować. Niektórzy chorzy byli w zbyt ciężkim stanie, aby ich ruszać, innych nie miał po prostu kto przenieść, a w wypadku kilku gatunków nie było w ogóle pielęgniarek, które można by dopasować

do konkretnych pacjentów. W takich sytuacjach Conway czekało szczególnie trudne zadanie.

O ile brak pielęgniarek był chroniczny, o tyle w przypadku lekarzy sytuacja zrobiła się wręcz dramatyczna i Conway uznał, że musi się skontaktować z O'Marą.

— Nie mamy dość lekarzy — powiedział. — Sądzę, że powinniśmy pozwolić pielęgniarkom na większą samodzielność. Mogłyby stawiać diagnozy w prostszych przypadkach i ordynować leczenie. Niech działają zgodnie z własnym rozważaniem. Ranni ciągle napływają i nie sądzę, abyśmy poradzili sobie inaczej. . .

— Pan tu rządzi — przerwał mu O'Mara.

— Dobrze — mruknął upomniany Conway. — Kolejna sprawa. Wielu lekarzy zgłosiło chęć przyjęcia dwóch albo trzech zapisów ponad to, co już mają, żeby też zająć się tłumaczeniem. Jest także kilka dziewczyn gotowych zrobić to samo. . .

— Nie! — krzyknął O'Mara. — Paru pańskich ochotników już do mnie dotarło i mówię panu, że się nie nadają. Ci lekarze, którzy zostali do dyspozycji, to albo młodszy internści, albo oficerowie medyczni Korpusu czy też lekarze obcych, którzy przybyli z posiłkami. Żaden z nich nie ma doświadczenia z korzystaniem z wielu zapisów jednocześnie. Zwariowaliby przed upływem godziny. A jeśli chodzi o dziewczęta, to chyba zdążył się pan już w życiu przekonać, że ludzkie DBDG mają dość szczególną umysłowość. Ich podstawową cechą jest silna, uwarunkowana seksualnie koncentracja na swoich potrzebach. Cokolwiek będą deklarować, nigdy nie pozwolą, aby obca umysłowość zaczęła im się szarogęścić w główkach. Gdyby zaś przypadkiem do tego doszło, skończyłoby się na ciężkich uszkodzeniach osobowości. Tyle na ten temat. Kropka.

Conway ruszył w dalszy obchód. Zaczynał już odczuwać zmęczenie. Wprawdzie szło mu coraz lepiej, ale w nieco spokojniejszych chwilach pomiędzy rozwiązywaniem kolejnych problemów wydawało mu się, że nosi w głowie siedem różnych istot, z których każda ma swoje do powiedzenia. Jego głos rzadko odzywał się w tym chórze najgłośniej. Na dodatek gardło bolało go od wydawania dźwięków, których brakło w dowolnej ludzkiej mowie, i zaczynał być głodny.

Oczywiście każda z tych siedmiu istot inaczej wyobrażała sobie proces zaspokajania głodu. Część z tych wyobrażeń była zaiste rewolucyjna. Ponieważ stołówki Szpitala ucierpiały tak samo jak wszystko inne, Conway miał trudności ze znalezieniem czegoś, co nie powodowało ciężkich mdłości któregoś z sublokatorów. Stało na kanapkach, które jadł z zamkniętymi oczami, żeby nie wiedzieć, z czym są. Popijał wodą z glukozą. Przeciwno wodzie nikt nic nie miał.

W końcu izba przyjęć i poszczególne oddziały na wszystkich użytkowanych poziomach zaczęły jakoś funkcjonować. Pracowano wolniej, ale pracowano. Zadbawszy o opiekę dla pacjentów, Conway postanowił zająć się tymi, którzy czekali ciągle na pomoc w pobliżu luków. Powiedziano mu, że część hermetycznych noszy przycumowano nawet do poszycia Szpitala.

Niespodziewanie Prilicla zaprotestował.

Conway nie od razu zrozumiał, o co mu chodzi. Usłyszał, że Conway jest zmęczony. Odparł, że to samo dotyczy wszystkich w Szpitalu, włączając w to również Prilicę. Pozostałe powody były albo błahe, albo zbyt trudne do wy tłumaczenia przy ograniczonych możliwościach komunikacji, Conway zignorował je zatem i skierował się do najbliższego luku.

Napotkał tutaj te same problemy co wszędzie. Dodatkowym utrudnieniem była konieczność skorzystania ze skafandra kosmicznego, którego radio spowalniało jeszcze tłumaczenie. Niemniej sama komunikacja przebiegała szybciej. Operatorzy wiązek ściąających, którzy manewrowali zgromadzonymi wkoło Szpitala wrakami, po prostu błyskawicznie przerzucali Conwaya wraz z jego procesją z miejsca na miejsce.

W pewnej chwili odkrył jednak, że melfiański fragment jego umysłu, który już wcześniej ledwo sobie radził z nieważkością wewnątrz Szpitala, w otwartej próżni czuje się gorzej niż źle. Dwudyszny, krabowaty Melfianin, który nagrał tę taśmę, niemal całe życie spędził w wodzie i nigdy nie był w przestrzeni kosmicznej. Conway musiał się sporo natrudzić, aby zwalczyć panikę zagrażającą wszystkim składnikom jego zwielokrotnionego umysłu. A przez cały czas starał się opanować zwykły strach związany z toczącą się nad jego głową bitwą.

O'Mara twierdził, że natężenie walk maleje, ale Conway i tak nie potrafił sobie wyobrazić niczego bardziej okrutnego niż to, co łowił niekiedy kątem oka.

Manewrujące blisko siebie okręty nie używały pocisków. Nie było na to dość miejsca. Zwarte w pojedynkach jednostki wyglądały z daleka jak perfekcyjnie wykonane i zwinne modele, po które wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby je obejrzeć z bliska. Pojedynczo albo całymi formacjami zataczały ciasne pętle, przyspieszały na prostej i skręcały w gwałtownych unikach, rozpraszały się i na nowo formowały szyki, żeby zaatakować. Ich groźny taniec wręcz hipnotyzował. Wszystko odbywało się oczywiście w absolutnej ciszy. Jedyne wystrzeliwane co pewien czas pociski celowały w Szpital, obiekt zbyt duży, aby go chybić. Tutaj, wewnątrz, ich wybuchów nie było słychać, wyczuwało się je tylko po wibracjach konstrukcji.

Pomiędzy jednostkami przestrzeń pełna była przemykających wiązek ściąających i odrzucających, które spowalniały okręty przeciwnika albo spychały je z kursu, aby ułatwić robotę „grzechotkom”. Czasem trzy albo cztery okręty koncentrowały ogień na jednym celu i rozdzierały go w kilka sekund na strzępy. Czasem celna wiązka uszkadzała najpierw układy sztucznego ciężenia, a dopiero potem napęd. W takich razach załoga ginęła błyskawicznie od potężnych przeciążeń, a jednostka, koziołkując, wypadła z walki i ulatywała w dal, chyba że trafiała ponownie w wiązkę „grzechotki” albo technik ze Szpitala przechwytywał ją i ściągał bliżej, aby specjalne ekipy poszukały ewentualnych rozbitków.

Niezależnie od tego, czy ktoś ocalał czy nie, sam wrak też mógł się jeszcze przydać.

Niegdyś gładkie i lśniące poszycie Szpitala pokrywały obecnie czarne, głębokie wyrwy i poskręcane płyty. Ponieważ niektóre pociski nadlatywały sekwencyjnie po dwa albo i trzy, po czym uderzały kolejno w to samo miejsce (tak właśnie został zniszczony centralny autotranslator), wyrwy były tak wielkie, że zatykano je wrakami, aby następne głowice nie wnikały w głąb Szpitala. Operatorzy wiązek nie byli w tym wypadku wybredni, gdyż do tego celu nadawał się niemal każdy wrak.

Conway tkwił właśnie na kopule emitera wiązki, gdy w pobliżu zjawił się kolejny z nich. Z luku wystrzeliła w jego kierunku ekipa ratunkowa, która okrążyła ostrożnie kadłub i zniknęła w środku. Dziesięć minut później pojawiła się z powrotem. Coś holowała. . .

— Doktorze, przepraszam, ale jestem wyglupiony i nie wiem, co robić — odezwał się przez radio dyżurny zmiany. — Moi ludzie twierdzą, że stworzenie, które znaleźli we wraku, to jakiś całkiem nowy gatunek. Chcą, żeby rzucił pan na nie okiem. Przepraszam, ale dla nas jeden wrak nie różni się od drugiego i chyba ściągnęliśmy nie nasz. . .

Sześć części umysłu Conwaya, które nie miały żadnego pojęcia o wojnie, uznało, że to nie ma znaczenia. Sam Conway, chociaż był w mniejszości, również nie widział w zdarzeniu nic niezwykłego, jednak ani on, ani sierżant z ekipy ratunkowej nie mieli czasu na rozważania o etyce. Spojrzał szybko na znalezisko i polecił:

— Zabierzcie go do środka. Poziom dwudziesty czwarty, oddział siódmy.

Od chwili przyjęcia zapisów Conway musiał patrzeć bezsilnie, jak pacjenci wymagający opieki najwyżej wykwalifikowanych starszych lekarzy są operowani przez zmęczonych i zaganianych, chociaż pełnych dobrej woli nowicjuszy. Mimo braku wprawy robili jednak co mogli, gdyż nikogo lepszego nie było. Nie raz i nie dwa Conway miał już ochotę się wtrącić, ale powtarzał sobie, że teraz musi się zająć całością spraw. Prilicla mówił mu to samo. Reorganizacja pracy Szpitala była ważniejsza niż pojedynczy pacjent. W końcu jednak przyszła pora, aby machnąć na to ręką i powrócić do roli lekarza.

W Szpitalu pojawił się przedstawiciel całkiem nowego gatunku. O'Mara nie mógł mieć jego hipnotaśmy, a i sam pacjent, gdyby odzyskał przytomność, nic by nie podpowiedział z braku autotranslatora. Conway musiał zająć się tym przypadkiem i nikt nie był w stanie mu tego wyperswadować.

Oddział siódmy przylegał do sekcji, gdzie kelgiański lekarz wojskowy i Murchison dokonywali najrozmaitszych cudów na zbieraniu pacjentów FGLI, QCQL oraz Ziemiach, Conway poprosił więc oboje o pomoc. Wstępnie zaklasyfikował przybysza do typu TRLH, co było o tyle łatwe, że istota miała na sobie przezroczysty i do tego elastyczny skafander. Gdyby był solidniejszy, zapewne

nie odniosłaby tak poważnych obrażeń, chociaż z drugiej strony bardzo sztywny skafander mógłby pęknąć przy uderzeniu, a ten przyjął cios i wytrzymał.

Conway wywiercił najpierw w nim małeńki otwór, pobrał ze środka odrobinę znajdujących się tam gazów i zaślepił dziurkę. Potem umieścił próbkę w analizatorze.

— A ja myślałam, że QCQL to najcięższy przypadek — mruknęła Murchison, gdy ujrzała wyniki. — Ale zdołamy to odtworzyć. Trzeba będzie wymienić atmosferę w sali?

— Tak, poproszę — odparł Conway.

Włożyli lekkie skafandry operacyjne o rękawicach cienkich jak druga skóra i zwykła, tlenowa atmosfera ustąpiła miejsca mieszance oddechowej pacjenta. Zaczęli rozcinać jego skafander.

TRLH miał cienki pancerz, który okrywał grzbiet i zawijał się ku dołowi, chroniąc środkową część podbrzusza. Z odsłoniętych części korpusu wyrastały cztery grube kończyny o pojedynczych stawach i wielka, ale słabo wzmocniona kośćmi głowa z czterema wyrostkami, dwoma szeroko rozstawionymi, ale ruchliwymi gałkami ocznymi i dwoma otworami gębowymi. Z jednego sączyła się krew. Istota musiała zostać ciśnięta na jakieś twarde kanciaste występy, gdyż pancerz pękł w sześciu miejscach. Jedna z ran była bardzo głęboka i pełna odłamków kostnych, a na dodatek obficie krwawiła. Conway sprawdził przenośnym rentgenem zasięg obrażeń wewnętrznych i kilka minut później dał znak, że jest gotów do operacji.

Po prawdzie wcale nie był gotów, ale pacjent wyraźnie wykrawiał się na śmierć.

Wewnętrzna budowa i układ organów były odmienne od wszystkiego, z czym dotąd się spotkał. Co do tego zgodnych było również sześciu jego obecnych sublokatorów, jednak QCQL wysunął ciekawe przypuszczenie co do rodzaju metabolizmu właściwego istocie oddychającej tak żrącą mieszaniną gazów. Melfianin służył pomocą w naprawie uszkodzeń pancerza, natomiast FGLI, DBLF, GLNO i AACP ogólnym doświadczeniem. Niemniej nie zawsze byli pomocni, gdyż co chwila wręcz wykrzykiwali ostrzeżenia, aby uważać z tym czy tamtym, i niekiedy Conway zamierał nad stołem z drżącymi dłońmi, czekając, aż znowu będzie mógł wziąć się do roboty. Teraz, gdy nie ograniczał się wyłącznie do kwestii językowych, wszystkie dane zawarte w hipnozapisach atakowały go z całą mocą.

Były wśród nich także osobiste lęki i nerwice dawców wzmocnione dodatkowo tym, że tyłu ich spotkało się naraz. Z każdą minutą było coraz gorzej. Nie wszyscy dawcy mieli doświadczenie w leczeniu obcych, nie nawykli zatem do patrzenia na świat z cudzego, całkiem odmiennego punktu widzenia. Conway powtarzał sobie, że to nie są kompletne osobowości walczące o władzę nad jego umysłem, tylko czysta informacja. Był jednakże tak zmęczony, że ledwie panował nad tokiem swoich myśli. A potop obcych, mrocznych wspomnień nie ustawał. Pojawiły się nawet najbardziej prywatne urywki związane z życiem seksualnym

nieziemców. Było to tak niesamowite, że Conway omal nie zaczął krzyczeć... W pewnej chwili zorientował się, że stoi przygarbiony, jakby nagle wielki ciężar spoczął mu na barkach.

Poczuł, jak Murchison ściska mu dłoń.

— Co jest, doktorze? — spytała zaniepokojona. — Mogę jakoś pomóc?

Potrząsnął tylko głową, bo znajomość własnego języka nagle gdzieś uleciała. Niemniej wpatrywał się w twarz Murchison przez całe dziesięć sekund. Gdy odwrócił głowę, zachował w oczach obraz dziewczyny takiej, jaka była dla niego, Conwaya, a nie dla Melfianina, Kelgianina czy Tralthańczyka. Dojrzał w jej oczach troskę o jego i tylko jego osobę. Przypomniał sobie, kim Murchison jest dla niego, istoty ludzkiej, i uczepliwszy się tych myśli...- wypłynął na powierzchnię na chwilę dość długą, aby zakończyć operację,

Potem jednak nagle poczuł, jak rozpada się na siedem części i leci bezwładnie w mroki siedmiu różnych otchłani piekielnych. Nie poczuł nawet, że jego ciało wykręciło się nagle, jakby każdą kończyną zawładnął inny, obcy umysł. Nie widział, jak Murchison odciągnęła go od stołu, a Prilicla podjął wielkie dla tak kruchej istoty ryzyko i zaaplikował mu zastrzyk uspokajający.

Rozdział dwudziesty drugi

Obudził go brzęczyk interkomu. Całkiem przytomny stwierdził, że znajduje się w miłym, ciasnym i znajomym, bo własnym, pokoju. Wypoczęty, myśląc o śniadaniu, odsunął prześcieradło dłonią zakończoną pięcioma normalnymi palcami. Znowu był sobą. Jednak po chwili uświadomił sobie coś dziwnego i aż znieruchomiał. Wkoło było całkiem cicho. . .

— Aby oszczędzić panu pytań z cyklu „gdzie jestem” i „która godzina”, powiem od razu, że był pan nieprzytomny przez dwa dni — rozległ się z interkomu zmęczony głos O'Mary. — W tym czasie, a dokładnie wczoraj rano, wróg przerwał atak i jak dotąd go nie wznowił, ja zaś sporo dla pana zrobiłem. Dla pańskiego dobra zadbałem, aby zapomniał pan wszystkie hipnozapisy, nie grozi mi zatem pańska dozgonna wdzięczność. Jak się pan teraz czuje?

— Dobrze — odparł entuzjastycznie Conway. — Żadnych sensacji. . . i tyle wolnego miejsca w głowie.

— Gdybym był złośliwy, powiedziałbym, że to dla pana normalne, ale daruję sobie.

O'Mara starał się być jak zwykle oschły i sardoniczny, ale niezbyt mu to wychodziło. W każdym słowie pobrzmiwało olbrzymie wyczerpanie. Jednak Conway wiedział, że O'Mara nie jest kimś, kto łatwo się męczy, i że trzeba było naprawdę wiele, by doprowadzić go do takiego stanu.

— Dowódca floty chce widzieć pana u siebie za cztery godziny, proszę więc nie zabierać się chwilowo do żadnej operacji — ciągnął major. — Niemniej jest na tyle spokojnie, że może pan sobie zarządzić czas wolny. Ja idę spać. To tyle.

Conway stwierdził szybko, że cztery godziny to trochę za wiele, aby je spędzić, nic nie robiąc. Główna jadalnia pełna była Kontrolerów z obsady stanowisk uzbrojenia, brygad technicznych i uzupełnień dla załóg walczących jednostek. Zjawili się też wojskowi lekarze wspomagający personel cywilny. Rozmawiano głośno, nerwowo i aż nazbyt żywiołowo, a wszystkie dysputy krążyły wokół ewentualnych przyszłych ataków na Szpital.

Okazało się, że gdy siły Korpusu zostały już przyparte do bronionego obiektu, tuż obok formacji przeciwnika wyłoniły się nagle z nadprzestrzeni jednostki z załogami illensańskich ochotników. Nowe okręty były duże i dość topornie

zaprojektowane, ale wyglądały dzięki temu na bardzo ciężkie jednostki bojowe. Choć każdy dysponował siłą ognia jedynie na poziomie lekkiego krążownika, widok dziesięciu takich wyskakujących z niebytu ogromów całkiem pomieszał szyki napastnikowi, który wycofał się chwilowo, żeby przegrupowywać siły Korpus, który nie miał za bardzo czego przegrupowywać, zajął się wzmacnianiem uzbrojenia defensywnego Szpitala.

Conway nie miał jakoś ochoty włączać się do tych radosnych konwersacji, mimo że sprawa dotyczyła go w takiej samej mierze co wszystkich. Ponieważ O'Mara wymazał mu hipnozapisy i zaaplikował jeszcze nieco hipnozy uspokajającej, koszmar sprzed dwóch dni zbladł wyraźnie, a wraz z nim zanikły w znacznej mierze talenty językowe. Conway nie mógł zatem nawiązać żadnej rozmowy z rozrzuconymi po stołówce obcymi, a ziemskie pielęgniarki zostały zmonopolizowane przez Kontrolerów. Choć wypadło ich od dziesięciu do dwunastu na jedną, morale i jednej, i drugiej grupy wyraźnie wzrastało. Conway szybko więc skończył śniadanie, czując, że jego morale też wymaga podbudowania.

Myślał o Murchison. Jeśli akurat spała, to trudno, ale gdyby miała dyżur, to przecież mógł kazać ją zmienić, a wtedy...

Ku własnemu zdumieniu nie poczuł żadnych wyrzutów sumienia związanych z tak niecznym zamiarem nadużycia władzy. To jest wojna, pomyślał, a w czasie wojny ludzie mniej zważają na etykę, tak osobistą, jak i zawodową. Prawo dżungli i te rzeczy...

Jednak gdy zjawił się na oddziale Murchison, dziewczyna zdawała akurat dyżur, nie musiał zatem przyznawać się do karygodnych zamiarów. Tym samym donośnym, sztucznie radosnym głosem, który tak drażnił go u innych w stołówce, spytał Murchison, czy ma już jakieś plany na wieczór, zaproponował spotkanie i mruknął coś strasznie banalnego o tym, że nie można wiecznie tylko pracować...

— Plany na wieczór? Ja chcę spać! — zaprotestowała dziewczyna, po czym dodała bardziej rzeczowo: — Nie można tak... A dokąd pójdziemy? Co tu można robić? Wszystko zniszczone... Mam się przebrać?

— Poziom rekreacyjny nie ucierpiał. A tak jak teraz też wyglądasz wspaniale.

Regulaminowy strój ludzkiej pielęgniarki składał się z błękitnej bluzki i takich samych spodni. Jedno i drugie było dobrze dopasowane, aby nie sprawiało kłopotów przy wkładaniu oraz ściąganiu kombinezonu, i bardzo podkreślało kształty Murchison, jednak nie mogło zamaskować jej zmęczenia. Gdy zdjęła czepek i siatkę z włosów, Conway jęknął gardłowo i zaraz zaniósł się kaszlem. Krtań miał ciągle jeszcze podrażnioną po próbach naśladowania dźwięków wydawanych przez obcych.

Murchison zaśmiała się, potrząsnęła głową, aby włosy lepiej się ułożyły, i potarła policzki, żeby choć trochę je zaróżowić.

— Obiecasz, że nie zatrzymasz mnie za długo? — spytała pogodnie.

Po drodze na poziom rekreacyjny trudno było uniknąć rozmów na tematy zawodowe. Wiele sekcji Szpitala straciło szczelność, a nierozhermetyzowane były przepelnione. Ranni leżeli praktycznie na każdym korytarzu. Nikt nie przewidział takiej sytuacji. Nie oczekiwano, że przeciwnik ograniczy się do broni konwencjonalnej. Gdyby sięgnął po głowice atomowe, nie byłoby tylu pacjentów. I być może nie byłoby też samego Szpitala. . . Przez większą część drogi Conway nie mógł się skoncentrować na słowach Murchison, ale ona chyba też go za bardzo nie słuchała.

Poziom rekreacyjny nie zmienił się zasadniczo, chociaż wyglądał teraz całkiem inaczej. Sztuczna grawitacja była wyłączona, a ponieważ środek ciężkości Szpitala znajdował się wiele poziomów wyżej, wszystko, co zwykle zalegało na podłodze, zdryfowało pod sufit, tworząc przeświecającą lekko mieszaninę piasku i kul wody utkanych bąblami powietrza. Sztuczne słońce przeświecało z drugiej strony głęboką purpurą.

— Ale tu ładnie! — powiedziała Murchison. — I tak spokojnie. Poniekąd.

Czerwonawy blask nadał jej skórze ciepły, śniady odcień. Conway pomyślał, że może dziwna to barwa, ale bardzo miła dla oka. Wargi Murchison były teraz ciemnopurpurowe, a po krawędziach wręcz czarne i rozchyłały się lekko, ukazując oślepiająco białe zęby. Oczy zaś zrobiły się nie tylko duże, ale i lśniące, tajemnicze.

— To się nazywa romantyczny krajobraz — mruknął.

Odepchnęli się ostrożnie nogami i polecili przez wielkie wnętrza ku restauracji. Pod nimi przesuwaly się powoli wierzchołki drzew, a na ich drodze snuły się woale osiadającej im na twarzach i rękach mgły, gdyż podgrzewana w „górze” przez słońce woda parowała ku „dołowi”. Conway złapał dłoń Murchison i ścisnął ją delikatnie, ale ponieważ poruszali się z nieco różnymi szybkościami, zaczęli po chwili wirować razem wkoło wspólnego środka ciężkości. Conway ugiął powoli łokieć i przyciągnął dziewczynę do siebie. Szybkość ich obrotów wzrosła, objął ją więc drugą ręką w talii i prawie że przytulił.

Zaprotestowała, ale nagle, ku jego zachwytowi, zaczęła go całować i objęła równie silnie, a pusta zatoka, klify i purpurowe, zasnuwane wodą niebo wirowały wokół nich.

Conwayowi przebiegło przez głowę, że równie dobrze świat mógłby mu zawirować przed oczami za sprawą samego pocałunku. W końcu miękko osiedli na szczycie urwiska po drugiej stronie zatoki i rozdzielili się ze śmiechem.

Czepiając się sztucznej roślinności, dotarli do niegdyśszej restauracji. W środku zalegał półmrok, a pod przezroczystym dachem i blatami stolików zebrało się sporo wody. Srebrzyste wodne kule i kuleczki zwieszały się wkoło i kołysały niczym kruche nieziemskie owoce, ilekroć trącali któryś stół. Ponieważ sala była niewysoka i niewiele było widać, co chwila na coś wpadali, a wkrótce otoczyły ich całe chmury drobin wody, które rozszczipiały światło i kapały twarz

Murchison w jeszcze bardziej niezwykłym świetle. Całkiem jak we śnie, pomyślał Conway, śnie, który stał się cudowną jawą. . . Ciemna i kochana sylwetka płynącej obok Murchison nie pozostawiała miejsca na wątpliwości.

Usiedli przy jednym ze stolików, ale ostrożnie, żeby nie wytrącić całej wody spod blatu. Conway ujął dłoń dziewczyny. Drugą ręką przesunął po jej włosach.

— Chcę z tobą porozmawiać — szepnął.

Mimo zmęczenia odpowiedziała uśmiechem.

Conway spróbował powiedzieć wszystko, co od dłuższego czasu chodziło mu po głowie, ale nie wyszło mu to najlepiej. Zaczął od tego, że Murchison jest bardzo piękna i nie chciałby ograniczać ich znajomości tylko do przyjaźni i że to niemądrze z jej strony, że składa wyłącznie takie propozycje, bo on ją kocha i jej pragnie, i naprawdę zamierzał zająć się nią z takim poświęceniem i oddaniem, aby nie mogła mu powiedzieć nic innego, jak tylko „tak”. Tyle że zabrakło na to czasu. Myślał o niej nieustannie, nawet podczas operacji TRLH, i tylko dlatego wytrzymał do końca i zrobił, co należało. A w trakcie bombardowania wciąż się o nią niepokoił. . .

— I ja o ciebie — wtrąciła cicho Murchison. — Kręciłeś się po całym Szpitalu i za każdym razem, gdy czułam trafienie. . . Robiłeś, co trzeba, ale. . . bałam się, że zginiesz.

Jej twarz niknęła w cieniu, mokry uniform przylgnął do ciała. Conway poczuł, że zaschło mu w ustach.

— Byłeś wspaniały tego dnia, gdy operowaliśmy TRLH. Całkiem, jakbym pracowała z Diagnostyką. Siedem taśm. . . Tak powiedział O'Mara. A gdy ja poprosiłam go wcześniej chociaż o jedną, żeby ci pomóc, to odmówił, bo. . . — Zawahała się i odwróciła głowę. — Powiedział, że młode kobiety zbyt przebiegają wśród tych, którym pozwolą zapanować nad swoimi myślami.

— Zbyt przebiegają? — spytał nieco chrapliwie Conway. — Czy to wyklucza z ich wyborów przyjaciół?

Pochylił się odruchowo przy tych słowach, puścił krzesło i uniósł się ku sufitowi, aż trącił czołem jedną z przyklejonych do niego wodnych półkul. Jej napięcie powierzchniowe zelżało i woda spłynęła mu na twarz. Odgarnął ją na ile się dało i rozbił w chmurę kropelek.

Wtedy dostrzegł w kącie jedyny niepokojowy akcent tego wnętrza — stertę nie uzbrojonych pocisków przytwierdzonych do podłogi klamrami i dodatkowo, na wypadek gdyby klamry ustąpiły przy wstrząsie, oplecionych siatką. Nie wypuszczając dłoni Murchison, odepchnął się nogą i popłynęli w kąt, gdzie odszukał skraj siatki i ją uniósł.

— Trudno rozmawiać, polatując w powietrzu — powiedział. — Zapraszam do środka.

Może siatka nazbyt kojarzyła się z pajęczyną, a może jego głos zabrzmiał trochę jak namowy drapieżnego pająka, dość że Murchison wyraźnie się zawahała. Jej dłoń zadrżała.

— Wiem. . . wiem, co czujesz — powiedziała szybko, nie patrząc na niego. — Też cię lubię. Może nawet więcej. Ale to nie w porządku. Wiem, że nie znajdziemy lepszej pory, ale zaszywanie się tutaj wydaje mi się takie. . . samolubne. Nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich rannych na korytarzach i wszystkich ofiarach, które jeszcze nam przywiozą. Wiem, że to pompatyczne, ale teraz najpierw powinniśmy myśleć o innych. I dlatego. . .

— Dziękuję — mruknął zirytowany Conway. — Przypomniałaś mi o moich obowiązkach.

— To nie tak! — krzyknęła Murchison i nagle znów do niego przylgnęła. — Nie chcę ci sprawiać przykrości i nie chcę, żebyś mnie znienawidził. Nie myślałam, że wojna może być taka straszna. Boję się. Nie chcę, żebyś zginął i zostawił mnie samą. Proszę. . . przytul mnie. . . i powiedz mi, co robić. . .

Oczy jej lśniły, ale dopiero gdy przez twarz dziewczyny przewędrowała plamka światła, Conway zorientował się, że Murchison bezgłośnie płacze. Tego się nie spodziewał. Objął ją mocno i trwali tak przez dłuższy czas, aż w końcu odsunął ją łagodnie.

— Nie mam do ciebie pretensji, a to rzeczywiście nieodpowiednia chwila na rozmowę o uczuciach. Chodź, odprowadzę cię do pokoju.

Ale nie zdołał tego zrobić. Kilka minut później w całym Szpitalu rozległ się sygnał kolejnego alarmu, a głośniki obwieściły, że doktor Conway ma się zgłosić do najbliższego interkomu.

Rozdział dwudziesty trzeci

W izbie przyjęć, gdzie kiedyś trzech szybko mówiących Nidiańczyków radziło sobie ze złożonymi problemami związanymi z przybywaniem pacjentów do Szpitala, teraz mieściła się kwatera główna. Dwudziestu Kontrolerów mruczało nieustannie swoje do mikrofonów krtaniowych i wbijało oczy w ekrany ukazujące przeciwnika z daleka i z bliska, czasem nawet w powiększeniu rzędu pięciu tysięcy razy. Dwa z trzech głównych ekranów przedstawiały zgrupowania wrogiej floty. Na obraz jednostek nakładły się widmowe linie i figury geometryczne przedstawiające ich prawdopodobne kolejne ruchy. Na trzecim ekranie malował się uzyskany szerokokątną kamerą obraz kadłuba Szpitala.

Nadlatujący pocisk wyglądał na nim jak spadająca gwiazda. Potem nastąpił drobny błysk i w próżnię strzelała fontanna odłamków. Rozbrzmiewający w sali rozzwierający, metaliczny łoskot trafienia dziwnie nie pasował do czegoś tak mało spektakularnego.

— Wycofali się poza zasięg ciężkiej broni pokładowej Szpitala i rażą nas stamtąd raketami — powiedział Dermod. — Zamierzają w ten sposób zmieknąć naszą obronę i wymęczyć nas przed głównym szturmem. Gdybyśmy przeprowadzili kontratak, reszta naszych sił zostałaby unicestwiona. Przewyższają nas liczebnie tak bardzo, że możemy się im efektywnie przeciwstawić tylko przy wsparciu baterii Szpitala. Nie mamy zatem wyboru: musimy przetrzymać to bombardowanie i zachować siły na...

— Jakie siły? — spytał ze złością Conway.

Stojący za nim O'Mara chrząknął upominająco, a siedzący za biurkiem dowódca floty spojrział krytycznie na chirurga. Gdy znów się odezwał, patrzył wprost na Conwaya, ale nie odpowiedział na jego pytanie.

— Możemy też oczekiwać krótkich wypadów małych i zwinnych jednostek, które wprowadzą zamieszanie i się wycofają. To, żeby nie dać nam zasnąć. Należy się liczyć z kolejnymi ofiarami wśród Kontrolerów z obsady baterii Szpitala i wśród załóg okrętów. Ofiary poniesie też nieprzyjaciel. W związku z tym chciałbym coś wyjaśnić. Z tego, co wiem, zajmuje się pan również rannymi przeciwnika, doktorze. Poświęca im pan sporo czasu. Sam mi pan powiedział, że pracujecie ostatkiem sił...

— Co pan może o tym wiedzieć? — rzucił Conway. Oblicze Dermoda stężało jeszcze bardziej, ale tym razem odpowiedział na pytanie:

— Otrzymuję meldunki o pacjentach, którzy kładzeni są obok siebie, bo reprezentują ten sam typ fizjologiczny, ale mówią całkiem różnymi językami. Co zamierza pan przedsięwziąć. . .

— Nic! — odparł Conway, którego ogarnęła nagle zimna pasja. Chętnie potrzęsnałby tym nieczułym służbistą, aby zrobił się trochę bardziej ludzki.

Na początku sądził, że lubi Dermoda. Uważał go za myślącego i wrażliwego kompetentnego wyższego oficera, jednak w ciągu kilku ostatnich dni dowódca floty zaczął uosabiać w oczach Conwaya tę ślepą, niszczycielską siłę, która uwzięła się na Szpital. Podczas spotkań, które organizowano, gdy zaczął się kolejny atak, Conway coraz częściej ścierał się z Dermodem.

Jednak dowódca floty nie reagował zwykle na uwagi Conwaya, tylko patrzył na niego tak, jakby go w ogóle nie widział. Sytuacji nie poprawiły też uwagi O'Mary, aby Conway powściągnął nieco język i nie był taki napastliwy, gdyż Dermod ma teraz wojnę na głowie i działa pod wielką presją, można mu zatem wybaczyć chwilowy brak dobrych manier.

Conway beształ się właśnie w duchu za brak cierpliwości do tej umundurowanej zimnej ryby, gdy usłyszał oschły głos:

— Ale chyba nie poświęca pan rannym przeciwnika tyle samo uwagi, ile naszym?

— Czasem trudno ich odróżnić — powiedział Conway tak spokojnie, że O'Mara aż zerknął na niego z niepokojem. — Ani pielęgniarki, ani ja nie znamy się na typach skafandrów kosmicznych, a mundury bywają zbyt zniszczone albo przesiąknięte krwią, aby cokolwiek rozpoznać. Środki przeciwbólowe i uspokajające sprawiają, że mało który pacjent mówi artykułowanie. Może jest jakiś sposób, aby odróżnić krzyk bólu Kontrolera od krzyku wroga, ale ja go nie znam — mówił Conway, podnosząc głos. Ostatnie zdanie prawie że wykrzyczał: — Ani mój personel, ani ja nie zamierzamy zresztą robić żadnej różnicy między pacjentami. To szpital, do cholery! Czy pan tego jeszcze nie zauważył?

— Spokojnie, synu. To na pewno jest szpital — wtrącił się O'Mara.

— A także placówka wojskowa! — warknął Dermod.

— Jedno, czego nie rozumiem, to dlaczego właściwie nie sięgają ciągle po broń atomową? — spytał pospiesznie O'Mara, żeby zmienić temat.

W pokoju rozległo się echo kolejnego, tym razem odległego trafienia.

— Powód jest prosty, majorze — powiedział Dermod, patrząc wciąż na Conwaya. — Muszą się wykazać podbojem. To wymóg polityczny. Chodzi o zajęcie i okupację terytorium znienawidzonego wroga. Generałowie potrzebują prawdziwego triumfu, a nie pyrrusowego zwycięstwa. Nieważne, ile zdobędą i za jaką cenę, ważne, żeby dało się to przedstawić mieszkańcom Imperium jako wielkie osiągnięcie. Ponosimy przez to ciężkie straty. Tylko dziesięć procent z nich przeżywa

i trafia do Szpitala. Mamy to szczęście, że możemy udzielić im błyskawicznie pomocy medycznej i zajmujemy pozycje, które są stosunkowo dogodne do obrony. Przeciwnik ponosi wielokrotnie większe straty. Według moich szacunków są one dwudziestokrotnie poważniejsze niż nasze. Gdyby zniszczyli nas obecnie głowicą atomową, pojawiłyby się pytania, dlaczego nie zrobili tego wcześniej, bez takiej ofiary krwi. Imperator nie mógłby zapewne udzielić zadowalających wyjaśnień, a wówczas wojna, którą rozniecił, miast wzmocnić jego rządy, mogłaby położyć im kres...

— No to dlaczego nie spróbuje im pan tego wyjaśnić? — przerwał mu Conway. — Proszę powiedzieć im prawdę o nas i że mamy tu wielu rannych. Chyba nie myśli pan, że uda się wygrać tę bitwę? Dlaczego nie kapitulujemy?

— Nie możemy się z nimi porozumieć, doktorze — odparł dobitnie Dermod. — Nie posłuchają, a już na pewno nie uwierzą. Uważają, że i tak wiedzą, co zrobiliśmy na Etl i co wyczyniamy tutaj. Tłumaczenie, że próbowaliśmy pomagać Etlanom, a obecnie z konieczności bronimy Szpitala, nic nie da. Niedługo po naszym odlocie przez Etlę przetoczyła się cała seria epidemii, a ta placówka nie przypomina już z zewnątrz szpitala. Liczy się tylko to, co zrobimy, nie, co powiemy. A obecnie postępujemy zgodnie z tym, na co przygotował ich Imperator. Owszem, mogłoby ich zastanowić, skąd tylu obcych walczących po naszej stronie. Ich zdaniem obcy to niższe istoty, które nadają się tylko na niewolników. Ale nasi sojusznicy nie walczą jak niewolnicy... Tyle że teraz to chyba zbyt subtelna kwestia, aby coś z tego wynikło. Nasz przeciwnik nie myśli logicznie. Kieruje się przede wszystkim emocjami...

— Ja też! — warknął Conway. — Jednak ja myślę wyłącznie o moich pacjentach. Oddziały są przepełnione. Chorzy leżą na korytarzach, w magazynach i schowkach, wszędzie. I nie mają wystarczającej ochrony przed niespodziewanym spadkiem ciśnienia...

— Widzę, że nie potrafi pan już myśleć o niczym innym niż pańscy pacjenci! — odszczeknął się Dermod. — Może pana zdziwię, ale ja też o nich myślę, choć nie poddaję się emocjom. Gdybym postępował inaczej, dopuściłbym do głosu złość, a wówczas zamiast walczyć, szukałbym zemsty... — Szpitalem wstrząsnęła następna eksplozja, dowódca jednak nie przerwał, tylko podniósł głos. — ... musi pan wiedzieć, że Korpus Kontroli to formacja policyjna dbająca o pokój niemal całej zamieszkałej galaktyki. Czyni to, wykorzystując najnowsze zdobycze psychologii i nauk społecznych. Przede wszystkim kształtując świadomość jednostek i społeczeństw. Obecna walka szlachetnych Kontrolerów i lekarzy stawiających opór przewyższającej ich liczebnie bandzie dzikusów zostanie należycie nagłośniona, ale i tak potrwa, zanim opinia publiczna Federacji przychyli się ku wojnie. Nam już to nie pomoże, ale na pewno zostaniemy pomszczeni, doktorze! — Dermod zbladł ze złości, a głos zaczął mu drżeć. — Reguły międzygwiazdnej wojny nie przewidują opanowywania planet. Można je tylko niszczyć.

To mizerne Imperium ze swoimi czterdziestoma światami zostanie zmiażdżone, obrócone w perzynę, nic po nim nie zostanie...!

O'Mara nie odzywał się, Conway zaś nie mógł oderwać oczu od twarzy Dermoda, chociaż chętnie zobaczyłby reakcję psychologa na wybuch dowódcy floty. Nie przypuszczał, że ktoś tak wysoki rangą może do tego stopnia stracić opanowanie, i zaczynał się bać. Równowaga psychiczna i samokontrola Dermoda miały decydujące znaczenie dla działań wojennych. Tak samo jak w wypadku O'Mary, którego Conway mógł nie lubić, ale na pewno doceniał.

— Ale Korpus to tylko policja, pamięta pan? — podjął dowódca. — Staramy się traktować całą historię jako rodzaj zamieszek na międzyplanetarną skalę. W takich wypadkach wicherzyciele ponoszą zawsze cięższe straty niż policja. Sądzę, że nasz przeciwnik nie jest już zdolny dojrzeć prawdy i wielka wojna nas nie ominie, ale nie chcę czuć do niego nienawiści. Na tym polega zasadnicza różnica pomiędzy utrzymywaniem pokoju a dążeniem do wojny. Nie życzę sobie też, aby jakiś lekarz o wąskich horyzontach, którego zadaniem jest wyłącznie leczenie pacjentów, przypominał mi o ofierze krwi i cierpieniu moich ludzi. Nie wzbudzi pan we mnie nienawiści do istot, które różnią się od nas tylko i wyłącznie tym, że zostały okłamane! — Teraz Dermod prawie już krzyczał. Chociaż próbował, nie potrafił się opanować. — I nie obchodzi mnie, jak pan leczy naszych czy ich rannych, ale będzie pan słuchał rozkazów, które ich dotyczą! To jest obecnie placówka wojskowa, a tamci ranni są naszymi wrogami. Ci, którzy mogą się poruszać, muszą się znaleźć pod strażą, aby żaden nie dopuścił się sabotażu. Rozumie pan teraz, doktorze?

— Tak, sir — odparł cicho Conway.

Gdy kilka minut później opuścili z O'Marą izbę przyjęć, Conway ciągle czuł się nieswojo. Uważał, że źle ocenił Dermoda i że powinien go przeprosić. Pod lodową maską krył się naprawdę dobry człowiek.

— Lubię, gdy te zimne typy o silnej samokontroli upuszczają jednak czasem trochę pary — powiedział nagle idący obok O'Mara. — Biorąc pod uwagę napięcie, w jakim pracuje, to bardzo pożądane. Dobrze, że w końcu zdołał go pan rozzłościć.

— A ja?

— Panu brak jakiegokolwiek samokontroli. Mimo nowych obowiązków i stanowiska, na którym powinien się pan wykazywać co najmniej dobrymi manierami i minimum tolerancji na cudze poglądy, pan robi się coraz bardziej kłótlivy. Daje pan zły przykład. Proszę na siebie uważać, doktorze.

Conway oczekiwał po tym wszystkim chociaż odrobiny współczucia i uznania, że on też działa w trudnych warunkach, a nie krytyki z jeszcze jednej strony. Zaniemówił ze złości i głos wrócił mu dopiero wtedy, gdy O'Mara zniknął w swoim gabinecie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Następnego dnia Conway nie miał okazji przeprosić Dermoda. Wichrzyciele przypuścili najgroźniejszy ze wszystkich ataków i nie było czasu na rozmowy. Conway pomyślał cynicznie, że nazwanie wojny zamieszkami może znaczyć coś dla polityków, jednak poza tym nie zmienia praktycznie niczego. Rannych przybywało w zastraszającym tempie, tym bardziej że bitwa zaczęła się od zdarzenia, które dla obu stron było niemalże katastrofą.

Okrety przeciwnika otworzyły huraganowy ogień i otoczyły Szpital ze wszystkich stron. Podeszły tak blisko, że przemykały czasem ledwie kilkadziesiąt metrów od masywnego kadłuba. Jednostki Dermoda, czyli *Vespasian*, jeden wielki krążownik *Tralthańczyków* i szereg mniejszych okrętów, zakotwiczyły się wiązkami ściągającymi do poszycia Szpitala. Nie miały miejsca na manewry, które nie zakłóciłyby pracy zamontowanego poniżej ciężkiego uzbrojenia. Całkiem nieruchome, wspierały ogień ciężkich baterii.

Zapewne na to właśnie czekał dowódca przeciwnika. Wrogie jednostki przegrupowały się z wprawą świadczącą o długich przygotowaniach do tego manewru i trzy czwarte z nich skupiło ogień na jednym, stosunkowo niewielkim obszarze Szpitala.

Nawała ogniowa przedarła się przez płyty poszycia, skruszyła blokujące wcześniejsze przestrzelmy wraki i sięgnęła wewnętrznego kadłuba. „Grzechotki” rozdrabniały wyrzucane w przestrzeń większe kawałki wraków, a wiązki ściągające odrzucały je na boki, aby kolejne pociski mogły wnikać jeszcze głębiej. Obrońcy z początku dziesiątkowali podlatujące blisko jednostki przeciwnika, ale w końcu i oni ulegli. Kolejne wieżyczki zmieniały się w martwe zgliszcza, płataniny poszarpanego metalu i krwawych szczątków. W końcu cała sekcja kadłuba została pozbawiona wszelkiej osłony i jasne się stało, że ten atak zakończy się desantem.

Pod osłoną ognia jednostek bojowych podeszły do Szpitala trzy wielkie, nie uzbrojone transportowce.

Vespasian, który został czym prędzej przesunięty do obrony osłabionego obszaru, skierował się ku miejscu, gdzie pierwszy transportowiec miał dobić do Szpitala. Zebrał przy tym ciągi zarówno od nieprzyjaciela, jak i od swoich, ale

ledwie wielka jednostka desantowa wychynęła zza krzywizny kadłuba, krążownik dał pełny ciąg. . .

To, co stało się w następnych minutach, różnie później tłumaczono. Jedni mówili o błędzie pilota krążownika, inni o fatalnym trafieniu, które uszkodziło układ sterowniczy albo zbiło okręt z kursu. Nikt jednak nie sugerował, że kapitan Williamson świadomie i celowo staranował transportowiec. Wszyscy wiedzieli, że to kompetentny i rozsądny dowódca, który nie zrobiłby niczego tak nierozsądnego jak poświęcenie własnej jednostki. Szczególnie na tym etapie bitwy. . .

Vespasian uderzył większy, ale słabszy konstrukcyjnie statek w pobliżu rufy, wbił się głęboko w jego kadłub i nagle znieruchomiał. Wewnątrz transportowca doszło do eksplozji, przez chwilę widać było mgiełkę uciekającej atmosfery, po czym obie szczipione jednostki zaczęły z wolna koziołkować i dryfować w próżni.

Na moment wszyscy jakby zamarli, po czym pozostałe baterie obrońców zignorowały pomniejsze cele i skupiły ogień na drugim transportowcu. W ciągu kilku minut zdarły z niego szereg blach poszycia i zaczęły się wgryzać w kadłub. Tracący powietrze statek wolał się wycofać. Trzeci z transportowców zawrócił już wcześniej. Całość sił przeciwnika przerwała atak, chociaż nie oddaliła się zbytnio, a ostrzał Szpitala nie ustał.

Żadną miarą nie było to zwycięstwo Korpusu. Przeciwnik pospieszył się tylko i właśnie się dowiedział, że popełnił błąd. Cel nie został jeszcze wystarczająco „zmiękczony”.

Wiązki ogarnęły oba wraki i zatrzymały ich ruch obrotowy, a potem przyciągnęły do kadłuba Szpitala. Ekipy ratunkowe ruszyły na poszukiwania i niebawem wyciągnęły pierwszych rannych. Wszyscy oni musieli być dostarczani do Szpitala okrężną drogą, gdyż w zniszczonym obszarze kadłuba też trwała właśnie akcja ratunkowa. Szukano ocalałych pacjentów, którzy dostali się ponownie pod ostrzał. Niektórzy już po raz trzeci. . .

Doktor Prilicla dołączył do ekip ratunkowych, chociaż GLNO byli najbardziej delikatną rasą Federacji, a jedną z najszerzej znanych ich cech był zupełny brak odwagi. Jednak Prilicla całkiem sprawnie poruszał się w swoim cienkościennym skafandrze ochronnym między poszarpanymi, ograniczającymi widoczność blachami. Szukał oznak życia. Każdy umysł, nawet nieprzytomny, emanował w sposób, który GLNO mógł wychwycić nawet z pewnej odległości. Bezbłędnie odróżniał martwych od rannych. Wobec mnogości ofiar, które wykrwawiały się z wolna na śmierć albo których skafandry traciły powietrze, jego wskazówki pozwalały skierować wysiłki tam, gdzie to miało jeszcze sens. Prilicla uratował dzięki temu wiele istnień, mimo że dla niego, wrażliwego empaty, doświadczenie to było bardziej niż bolesne.

Major O'Mara wydawał się wszechobecny. Gdyby nie brak ciężenia, musiałby się pewnie wlec nadludzkim wysiłkiem z miejsca na miejsce, ale w tej sytuacji po prostu latał. O zmęczeniu świadczyło tylko to, że co rusz źle oceniał odległość

następnego skoku i zderzał się z drzwiami oraz ludźmi. Jednak kiedy odzywał się do ziemskich pacjentów, pielęgniarek i innych Kontrolerów, jego głos nie zdradzał ani krzty znużenia. Już sama jego obecność wywierała zbawienny wpływ nawet na nieziemców, bo chociaż nie rozumieli jego słów, to przecież wielu rozmawiało z nim kiedyś za pośrednictwem autotranslatora i zawsze im to pomagało.

Słoniowaci Tralthańczycy, krabowaci Melfianie i wszyscy inni obcy rozproszeni byli obecnie po różnych poziomach Szpitala. Na niektórych oddziałach kierowali ziemskim personelem, na innych wspomagali pielęgniarce i Kontrolerów. Byli tak samo jak oni zmęczeni i zaganiani i często nie rozumieli, co się do nich mówi, ale również dawali z siebie wszystko.

Jednak za każdym razem, gdy następny pocisk trafiał w Szpital, tracili kolejny kawałek przestrzeni...

Doktor Conway nie opuszczał już jadalni. Miał łączność z większością poziomów, jednak wiodące do nich korytarze albo zostały rozhermetyzowane, albo zablokowane rumowiskami. Poza tym Conway był ostatnim sprawnym starszym lekarzem i należało go chronić. Miał pod opieką licznych ziemskich pacjentów i kilkanaście najtrudniejszych przypadków obcych. Do niego też trafiali ranni spośród personelu.

Można powiedzieć, że obecnie prowadził największy i najbardziej zatłoczony oddział w całym Szpitalu. Ponieważ nikt nie miał czasu na regularne posiłki i wszyscy żywili się żelaznymi racjami, cała stołówka została zamieniona w salę szpitalną. Legowiska i wyposażenie operacyjne przymocowano klamrami do podłogi, ścian i sufitu, lecz pacjentom, którzy w większości od dawna pracowali w kosmosie, nie przeszkadzało, że sąsiedzi wiszą czasem tuż obok nich nogami do góry, a mniej poszkodowanym łatwiej było w ten sposób rozmawiać.

Conway był już tak otępiały, że nawet nie odczuwał zmęczenia. Hałasy i wstrząsy towarzyszące kolejnym trafieniom stały się elementem codzienności. Conway wiedział, że za każdym razem pociski wgrzają się coraz głębiej w kadrę i prędzej czy później przyjdzie chwila, gdy cały Szpital otworzy się na próżnię. Jednak nie chciał o tym myśleć. Robił co należało przy nowych pacjentach, chociaż kierowały nim już tylko odruchy wpojone długą praktyką lekarską. Mało co czuł, jeszcze mniej pamiętał, stracił też poczucie czasu. Ostatni przypadek obcego, przy którym musiał przyjąć zapis z hipnotaśmy, był osobliwym przerwaniem w monotonnej i krwawej harówce. Kolejnym było przybycie rannych z Vespasiana. Conway nie potrafił jednak powiedzieć, czy zdarzyło się to trzy dni, czy trzy tygodnie temu, ani co było pierwsze.

Niemniej ranni z Vespasiana często stawali mu przed oczami. Sam ciął kombinezon majora Stillmana na kawałki, które unosiły się potem wkoło stołu. Zdiagnozował dwa złamane żebra, strzaskany bark i czasowe upośledzenie wzroku, skutek lekkiej dekompresji. Major cały czas dopytywał się o dowódcę i zamilkł dopiero pod wpływem narkozy.

Pułkownik Williamson pytał nieustannie o swoich ludzi. Cały był w gipsie i prawie nic nie czuł. Poznał jednak Conwaya. Pamiętał imiona chyba wszystkich swoich podwładnych. Conway by tak nie potrafił.

— Stillman leży trzy łóżka na prawo od pana — powiedział. — Pozostali różnie.

Williamson przesunął spojrzeniem po szeregu wiszących nad nim pacjentów. Nie mógł ruszać prawie niczym prócz gałek ocznych.

— Paru nie rozpoznaję — powiedział.

Conway spojrzał na twarz pułkownika, która ciągle siniała po zderzeniu z wnętrzem hełmu. Szczególnie ciemne placki malowały się pod prawym okiem, na prawej skroni i żuchwie. Chirurg wykrzywił usta w coś na kształt uśmiechu i powiedział:

— A wielu z nich nie poznałoby teraz pana.

Zapamiętał kolejnego TRLH. . .

Przyniesiono go na hermetycznych noszach, pod namiotem wypełnionym trującą mieszanką, którą oddychał. Nawet przez podwójną powłokę namiotu i przezroczysty skafander widać było, jakie odniósł obrażenia. Rozległe i głębokie wgniecenia pancerza spowodowały przerwanie szeregu naczyń krwionośnych. Nie było czasu na przyjmowanie zapisu powstałego przy okazji leczenia poprzedniego TRLH. Pacjent był bliski śmierci z wykrwawienia. Conway wskazał na wolny kawałek podłogi i polecił przytwierdzić tam nosze, a sam zmienił ciężkie rękawice swojego skafandra na inne, przeznaczone specjalnie do operacji przez powłokę namiotu. Zewsząd wiele oczu śledziło każdy jego ruch.

Nacisnął na przezroczyste tworzywo, które poddało się miękko i rozciągnęło, nie tracąc nic ze swojej wytrzymałości. Przylegało do rękawic może nie jak druga skóra, ale nie gorzej niż zwykłe rękawiczki chirurgiczne. Ostrożnie, żeby nie rozdrzeć powłoki, Conway sięgnął po narzędzia z zestawu noszowego i zdjął pacjentowi skafander.

Taka metoda operowania pozwalała na przeprowadzanie całkiem złożonych zabiegów. Conway przekonał się o tym, ratując paru PVSJ i QCQL, którzy dochodzili do zdrowia parę łóżek dalej. Minusem była konieczność ograniczenia się tylko do tych narzędzi i leków, które znajdowały się pod okrywą jako wyposażenie samych noszy. Trzeba też było przywyknąć do lekkiego oporu stawianego przez tworzywo.

Usuwał właśnie odłamki pancerza z rany, gdy pobliskie trafienie rozkołysało na chwilę podłogę. Kilka minut później rozległ się alarm dekompresyjny i Murchison oraz kelgiański lekarz wojskowy pospieszyli sprawdzać szczelność namiotów tych chorych, którzy nie mogli zrobić tego sami. Spadek ciśnienia był niewielki, więc zapewne nie chodziło o przebicie, ale o wywołane wstrząsem pęknięcie którejś grodzi, jednak dla pacjenta Conwaya nawet to mogło okazać się groźne. Zaczął pracować dwa razy szybciej.

Wszakże gdy podwiązywał kolejne naczynie krwionośne, osłona zaczęła się wydymać pod wewnętrznym ciśnieniem, uniemożliwiając precyzyjne manipulowanie narzędziami. Po chwili dłonie Conwaya zostały praktycznie odepchnięte od pola operacyjnego. Różnica ciśnienia między wnętrzem namiotu a salą wynosiła co najwyżej kilogram na centymetr kwadratowy i Conway ledwie czuł zmianę w uszach, jednak tworzywo nadęło się jak balon i musiał przerwać operację. Wznowił ją dopiero pół godziny później, gdy przeciek został załatany i ciśnienie wróciło do normy. Jednak wtedy było już za późno...

Nagle coś zamazało mu pole widzenia, a po chwili z niebotycznym zdumieniem stwierdził, że płacze. Było to dziwne, ponieważ lekarze nie zwykli płakać po pacjentach, jednak tym razem zmęczenie, złość i żal okazały się silniejsze. Stracił pacjenta, który powinien żyć. Gdy zobaczył, że wszyscy chorzy wkoło mu się przyglądają, nie wiedział, gdzie się podziać.

Od tamtej pory stracił prawie kontakt z rzeczywistością. Gdy zamykał oczy, musiało minąć ileś sekund albo minut, zanim udawało mu się zmusić powieki do uniesienia, chociaż wydawało mu się, że czas przestał płynąć. Ci pacjenci, którzy byli wystarczająco sprawni, żeby w razie alarmu szybko wrócić pod swoje namioty, przemieszczali się od łóżka do łóżka, wykonując najprostsze prace przy ciężiej rannych albo rozmawiając tylko z unieruchomionymi. Czasem zbierali się gdzieś niczym wielka ławica ryb i pograżali w rozmowach. Conway jednak niemal cały czas był zbyt zajęty kolejnymi przypadkami albo treścią kolejnej hipnotaśmy, żeby zamienić z nimi więcej niż kilka słów. Niekiedy spoglądał tylko na śpiących współpracowników, Murchison i Kelgianina, którzy zawisali do drzemki w pobliżu głównych drzwi.

Kelgianin przypominał wtedy wielki, futrzany znak zapytania. Pomrukiwał przez sen w charakterystyczny dla DBLF sposób. Murchison dryfowała na końcu wijącej się trzymetrowej linki. Conway zauważył ze zdumieniem, że w warunkach nieważkości śpiący przybierali pozycję embrionalną.

Gdy tak patrzył z czułością na piękną dziewczynę połączoną ze ścianą nieproporcjonalnie cienką pępowiną, poczuł, że też rozpaczliwie chce mu się spać. Jednak teraz wypadał jego dyżur i do kolejnej zmiany zostało jeszcze sporo czasu, może pięć minut, może pięć godzin... tak czy tak, cała wieczność. Musiał się czymś zająć.

Prawie bezwiednie skierował się ku niegdysiejszemu magazynowi, gdzie przebywali pacjenci w stanie beznadziejnym albo nie rokujący prawie żadnych nadziei. Tylko tam zdarzało mu się wcześniej porozmawiać chwilę albo dwie z pacjentem. Jeśli rozmowa nie była możliwa, starał się zrobić cokolwiek, aby ulżyć umierającemu. W wypadku Tralthańczyków, Melfian albo innych jeszcze istot, których języka nie znał, mógł tylko zawisnąć obok w nadziei, że dzięki Prilicli pocują, że są wśród przyjaciół, którym szczerze ich żal.

Dopiero po pewnym czasie zorientował się, że wielu pacjentów podążyło za nim do magazynu. Byli wśród nich i tacy, którzy nie mogli sami się poruszać — holowali ich sprawniejsi. Z wolna otoczyli Conwaya. Patrzyli na niego przyjaźnie i z szacunkiem, ale stanowczo. Major Stillman przepchnął się na sam przód. Szło mu trochę niezgrabnie, w zdrowej ręce trzymał pistolet.

— To zabijanie musi się skończyć, doktorze — powiedział cicho. — Długo o tym rozmawialiśmy i podjęliśmy decyzję. Musi się skończyć, i to już, zaraz. — Odwrócił nagle broń i podał ją Conwayowi. — Może pan tego potrzebować, żeby powstrzymać Dermoda przed nieprzemysłanym działaniem, gdy będziemy mu wyjaśniać, do czego doszliśmy.

Zaraz za Stillmanem wisieli spowici w bandażu Williamson i człowiek, który go przyholował. Rozmawiali przyciszonymi głosami w języku, który był wprawdzie obcy, ale i z jakiegoś powodu znajomy Conwayowi. Zanim sobie przypomniał, gdzie go wcześniej słyszał, dostrzegł, że wielu pacjentów ma broń. Pistolety były normalnym wyposażeniem skafandrów, w których ranni trafiali na oddział. Szczątki pociętych ubiorów zrzucano po prostu na stos w przylegającym do byłej stołówki magazynku i Conway nigdy nie pomyślał, co oprócz nich tam leży... Dermod nie będzie mną zachwycony, przeszło Conwayowi przez głowę, ale zaraz ruszył w ślad za pacjentami do głównego wyjścia i dalej, do izby przyjęć.

Stillman prawie przez cały czas wyjaśniał, jak i co udało się ustalić. Gdy byli już niemal na miejscu, spytał prawie z obawą:

— Nie uważa mnie pan za... zdrajcę, doktorze?

Conwayem miotano w tej chwili tyle różnych emocji, że zdobył się tylko na jedno krótkie:

— Nie!

Rozdział dwudziesty piąty

Dziwnie się czuł, mierząc z pistoletu w dowódcę floty, ale był pewien, że to jedyne, co może jeszcze zrobić. Wszedł do izby przyjęć i torował sobie drogę pomiędzy zgromadzonymi przy pulpitych oficerami, aż stanął przed Dermodem. Uniósł broń w chwili, gdy zjawiła się reszta. Próbował też coś wyjaśnić, ale nie szło mu to zbyt dobrze...

— ...Chce pan więc, abyśmy się poddali, doktorze — powiedział Dermod, przenosząc spojrzenie z twarzy lekarza na wpływających wciąż do izby przyjęć rannych Kontrolerów. Wyglądał na ciężko urażonego i rozczarowanego, jakby właśnie zdradził go przyjaciel.

Conway spróbował raz jeszcze:

— Nie poddali, sir — wyrzucił z siebie, wskazując na mężczyznę, który wciąż holował Williamsona. — My... to znaczy ten człowiek potrzebuje dostępu do łączności. Chce nakazać wstrzymanie ognia...

Jąkając się z chęci jak najszybszego wyjaśnienia, co właściwie zaszło, Conway zaczął od przybycia ofiar kolizji *Vespasiana* i nieprzyjacielskiego transportowca. Wydobyte z rumowisk ofiary należały oczywiście do obu stron, jednak nie było czasu ani możliwości, żeby je rozdzielić. Potem, gdy lżej ranni zaczęli dochodzić do siebie, kręcić się po oddziale i pomagać w opiece nad innymi pacjentami, okazało się, że prawie połowa z nich to imperialni. Co dziwne, samym chorym w ogóle to nie przeszkadzało, a personel był zbyt zajęty, żeby cokolwiek zauważyć. Opiekowali się sobą nawzajem, wykonując prostsze, chociaż poważnie niemiłe czynności należące zwykle do pielęgniarek, a przy okazji rozmawiali...

Chodzi o to, że Kontrolerzy byli z *Vespasiana*, a *Vespasian* był na Etl i większość jego załogi znała lepiej lub gorzej etlański, który w Imperium pełnił tę samą funkcję, co uniwersalny w Federacji. Im więcej rozmawiali, tym więcej się o sobie dowiadywali. Gdy wyzbyli się początkowej nieufności, wyjawili, że na pokładzie staranowanego transportowca była grupa wyższych oficerów. Wśród tych, którzy przeżyli, znalazł się trzeci w kolejności dowódca sił imperialnych zgromadzonych wkoło Szpitala.

— ... przez kilka ostatnich dni moi pacjenci prowadzili rozmowy pokojowe — zakończył Conway prawie bez tchu. — Nieoficjalne, oczywiście, ale za to na wysokim szczeblu. Myślę, że pułkownik Williamson i Heraltnor to dość poważne osoby, aby ich słowo było wiążące.

Heraltnor rzucił Williamsonowi kilka słów po etlańsku i obróciwszy ostrożnie spowitego w sztywne opatrunki pułkownika twarzą do Dermoda, spojrzął z obawą na dowódcę floty Federacji.

— On nie jest głupcem, sir — powiedział z wysiłkiem Williamson. — Po odgłosach bombardowania i paru rzutach oka na pańskie ekrany poznaje, że nasza obrona jest u kresu sił. Mówi, że jego ludzie zdołają teraz wylądować w Szpitalu i nie uda się nam ich już powstrzymać. Rozkaz ataku zostanie zapewne wydany w ciągu paru najbliższych godzin, on jednak nie chce naszej kapitulacji, ale wstrzymania ognia. Wcale nie pragnie wygranej, tylko zakończenia walk. Mówi, że pewne rzeczy, które usłyszeli o tej wojnie i o nas, wymagają wyjaśnienia. . .

— On w ogóle sporo mówi! — warknął ze złością Dermod, lecz na jego twarzy malowała się nieśmiała nadzieja. Chyba jednak nie mógł jeszcze uwierzyć w tak wspaniały uśmiech losu. — Wszystko już obgadaliście, co? Dlaczego nikt mi o tym wcześniej nie wspomniał. . . ?

— Bo naprawdę liczyło się nie to, co mówiliśmy, ale co robiliśmy! — przerwał mu Stillman. — Na początku nie wierzyli w ani jedno nasze słowo. Ale ujrzeni tutaj całkiem co innego, niż się spodziewali. Przekonali się, że to Szpital, a nie monstrualna izba tortur. Wprawdzie pozory czasem mylą, a oni są szalenie podejrzliwi, jednak widok ziemskich i obcych lekarzy i pielęgniarek zapracowujących się dla nich na śmierć przeważał. No i widzieli jego. — Wskazał na Conwaya. — Same słowa nic by nie dały, w każdym razie nie tak szybko. Chodziło o to, co robiliśmy, co on robił. . . !

Conway poczuł, że palą go uszy.

— Ależ tak samo było na wszystkich oddziałach Szpitala! — zaprotestował.

— Proszę mi nie przerywać, doktorze — uciszył go z całym szacunkiem Stillman i podjął opowieść: — Wydawało się, że w ogóle nie śpi. Prawie nigdy z nami nie rozmawiał, ale zawsze miał czas dla pacjentów na mniejszej sali, chociaż w zasadzie byli bez szans. Jednak paru wyciągnął i wrócili na salę ogólną, do nas. Nie zwracał w ogóle uwagi, skąd kto się wziął, tylko pracował. . .

— Stillman! — warknął Conway. — Przesadza pan. . . !

— Ale nawet wtedy jeszcze się wahali — ciągnął major, puściwszy uwagę Conwaya mimo uszu. — Dopiero po tym, co było z TRLH, się przekonali. TRLH to obcy ochotnicy, którzy nie są szanowani w Imperium, więc i po nas imperialni oczekiwali tego samego. Szczególnie wobec obcych sojuszników wroga. Ale on zaczął zaraz operować, a gdy spadek ciśnienia na sali uniemożliwił mu to i pacjent zmarł, zauważyli jego reakcję. . .

— Stillman!! — krzyknął wściekły już Conway.

Jednak major darował sobie szczegóły. Zamilkł i spojrzał wyczekująco na Dermoda. Wszyscy wbili wzrok w dowódcę, oprócz Conwaya, który patrzył na Heraltнора.

Imperialny oficer nie wyglądał szczególnie dostojnie. Przeciętny, lekko siwiejący mężczyzna w średnim wieku, z masywnym podbródkiem i siatką zmarszczek wkoło oczu. Odprasowanemu zielonemu mundurowi Dermoda i wszystkim jego imponującym insygniom mógł przeciwstawić tylko wygniecioną białą koszulę przydzielaną pacjentom DBDG. Cisza przeciągała się i Conway coraz bardziej gorączkowo zastanawiał się, czy obaj oficerowie tylko skiną sobie głowami, czy może zasalutują.

Wyszło jeszcze lepiej: uścisnęli sobie dłonie.

* * *

Oczywiście minęło jeszcze trochę czasu, zanim udało się przewyciężyć początkową podejrzliwość. Imperialny dowódca był przekonany, że obrońcom udało się zahipnotyzować Heraltнора, ale gdy po wstrzymaniu ognia do Szpitala przyleciał oddział inspekcyjny, wątpliwości ulotniły się bez śladu.

Conway jednak nadal miał się o co martwić. Wielka część Szpitala była niedostępna po utracie hermetyczności, a on sam i personel mieli ciągle zbyt wiele pracy, chociaż udzielili im już pomocy imperialni lekarze i żołnierze korpusu inżynierskiego ich floty, którzy starali się jak mogli połączyć Szpital. Wciąż pracowali, gdy zaczęli wracać pierwsi z ewakuowanych. Przybywało zarówno personelu medycznego, jak i technicznego, wkrótce więc udało się uruchomić centralny autotranslator. Pięć tygodni i sześć dni po wstrzymaniu ognia imperialna flota odleciała, zostawiając swoich rannych w Szpitalu. Wiedzieli oni, że żadna inna placówka nie zapewni im równie fachowej opieki, a poza tym istniało ryzyko, że rychło znajdzie się dla nich całkiem inne zajęcie...

Podczas kolejnego z codziennych spotkań kierownictwa Szpitala, które składało się ciągle z Conwaya i O'Mary, ponieważ nikt starszy stażem jeszcze nie wrócił, Dermod próbował przedstawić im pokrótce złożoną sytuację, jaka się wytworzyła.

— Teraz, gdy obywatele Imperium znają już między innymi prawdę o Etlu, Imperator i jego rząd będą musieli upaść — powiedział z powagą. — Niemniej w niektórych sektorach panuje jeszcze spore zamieszanie i pokaz siły pomoże ustabilizować sytuację. Oczywiście byłoby dobrze, aby na samym pokazie się skończyło, dlatego namówiłem ich dowódcę, aby wziął ze sobą grupę naszych socjologów oraz specjalistów od kontaktów międzykulturowych. Wszyscy chcemy się pozbyć Imperatora, ale nie za cenę wojny domowej. Heraltнор domagał się, żeby i pan z nimi poleciał, doktorze, ale powiedziałem mu, że...

O'Mara jęknął rozgłośnie.

— Nie dość, że nasz genialny i cudami słynący doktor uratował tysiące istnień i uchronił galaktykę przed wielką wojną, to jeszcze został zaproszony. . .

— Dość tego wtykania szpilek, O'Mara! — uciął kwestię Dermod. — Naprawdę tak było. Albo prawie. Gdyby nie on. . .

— Siła przyzwyczajenia, sir — mruknął O'Mara. — Taki mój fach, żeby ściągać ludzi na ziemię. . .

Nagle na ekranie za biurkiem Dermoda pojawiła się futrzasta głowa Kelgianina. Dyżurny, już nie Kontroler, ale Nidiańczyk, poinformował, że do Szpitala zbliża się duży transportowiec DBLF z personelem klas FGLI i ELNT, no i Kelgianami, na pokładzie. Było wśród nich osiemnastu starszych lekarzy. Ponieważ Szpital był poważnie zniszczony i tylko trzy luki nadawały się do użytku, Kelgianin z ekranu chciał jeszcze przed lądowaniem omówić sprawę przydziałów oraz kwater i prosił o połączenie z naczelnym Diagnostykiem. . .

— Thornnastor nie doszedł jeszcze do siebie, a innych nie ma. . . — zaczął Conway, gdy O'Mara trącił go w ramię.

— Było siedem taśm — przypomniał. — Proszę nas nie zwodzić, doktorze.

Conway spojrział przeciągle na O'Marę, jakby chciał przeniknąć jego maskę sarkazmu. Nie był Diagnostykiem, a to, co zrobił dwa miesiące wcześniej, stanowiło akt czystej rozpacz i omal nie przypłacił tego życiem. Jednak słowa O'Mary oraz niemal serdeczny głos, jakim je wypowiedział, sugerowały, że to tylko kwestia czasu.

Zarumieniony z zakłopotania, co Dermod przypisał zapewne docinkom O'Mary, Conway ustalił szybko z Kelgianinem wszystko, co niezbędne, i przeprosił, że już musi iść. Za dziesięć minut miał się zobaczyć z Murchison na poziomie rekreacyjnym. Tym razem to ona poprosiła go o spotkanie. . .

Gdy wychodził, usłyszał jeszcze ponury głos O'Mary:

— Nie dość, że wybawił niezliczone miliony od wojny, to jeszcze zdobył dziewczynę. . .